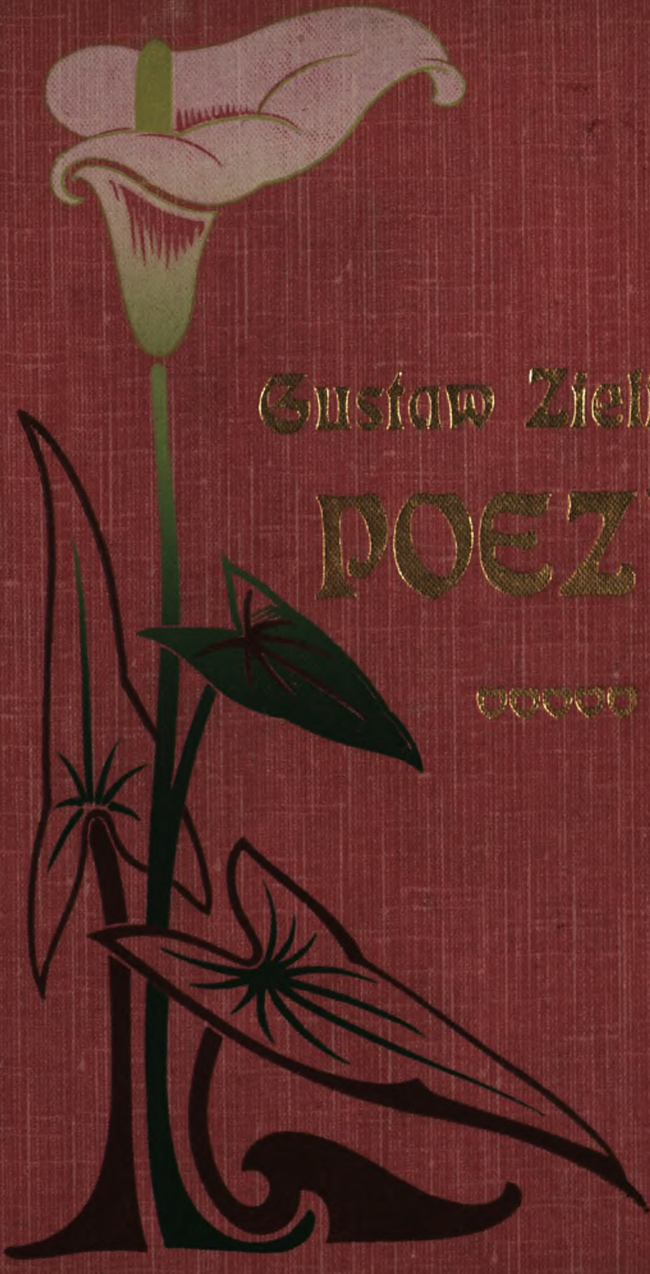


Gustaw Zieliński

POEZYE

POEZYE.

POEZYE
GUSTAWA ZIELIŃSKIEGO.

WYDANIE ZUPEŁNE,

POPRZEDZONE

ŻYCIORYSEM NA PODSTAWIE LISTÓW POETY SKREŚLONYM
I OCENĄ JEGO DZIAŁALNOŚCI

PRZEZ

DR. PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

(Z WIZERUNKIEM POETY.)

TORUŃ.
WŁASNOŚĆ I WYDANIE RODZINY.
1-go ROKU XX STÓLECIA.

POEZYE
GUSTAWA ZIELIŃSKIEGO.

WYDANIE ZUPEŁNE,

POPRZEDZONE

ŻYCIORYSEM NA PODSTAWIE LISTÓW POETY SKREŚLONYM

I OCENĄ JEGO DZIAŁALNOŚCI

PRZEZ

DR. PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

(Z WIZERUNKIEM POETY.)

TORUŃ.
WŁASNOŚĆ I WYDANIE RODZINY.
I-go ROKU XX STÓLECIA.

Druk S. Buszczyńskiego w Toruniu.

1/2 4.-



I.

W rodzinie Zielińskich herbu Świnka, do najwyższej godności państwowej, do jakiej żaden z potomków już nie doszedł, wzbił się zasługami publicznemi Grzegorz, wojewoda płocki (1559 do 1599 r.). Od jednego z synów jego, Walentego, kasztelana płockiego (1607—1646), pochodził Ludwik, kasztelan sierpski, którego syn Karol, podstoli rożański, stał się protoplastą tej gałęzi rodu steklińsko-skępskiej, co wydała Gustawa. Syn bowiem Karola, Jędrzej, podczaszy rożański, miał między innymi synami, Norberta, który pełniąc posługi rycerskie dla ojczyzny za czasów Kościuszki, otrzymał stopień pułkownika, ożenił się następnie z Kazimierą Zielińską, panną wykształconą, znającą biegle język francuski, — a z małżeństwa tego urodził się przyszły autor „Kirgiza".

Majątek Norberta Zielińskiego, początkowo dość znaczny, wielce uszczuplony został w skutek zmian

politycznych, zaszłych w kraju. Z działów familijnych otrzymał Norbert dobra Chrostkowo z przyległościami, w powiecie lipnoskim położone. W roku 1804 łącznie ze swoim szwagrem Sumińskim, nabył rozległy majątek w Kujawach z trzech kluczów składający się, to jest: Pakość, Markowice i Kołodziejewo, które były obciążone długiem kasy wdów w Berlinie i landszaftą pruską. Wojny Napoleońskie (1806—1812), przechody wojsk i zniszczenie kraju, nie dozwalały przez ciąg trwania Księstwa Warszawskiego opłacać przypadających od wierzytelności procentów. Gdy po roku 1815 Prusacy w moc traktatu wiedeńskiego zajęli tę część kraju, którą stanowiły departamenty: poznański i bydgoski, dostały się także pod ich panowanie i owe dobra Norberta w powiecie inowrocławskim. Rząd pruski, dążąc systematycznie do wygubienia żywiołu polskiego z ziem przez siebie zagrabionych, rozpoczął tę czynność od majątków Zielińskiego, jako jednego z większych właścicieli ziemskich, a w dodatku pułkownika polskiego, któremu operacyi nad Narwią w r. 1749 nie zapomniał. Za owe długi, kasie wdów i landszafcie należne, rozciągnął sekwestr na wszystkie dobra, zaprowadził kosztowną administracyę i w końcu sprzedał za bezcen na publicznej licytacyi, przyprawiwszy właściciela i niższych wierzycieli o stratę prawie całkowitego ich mienia.[1])

[1]) Wiadomość historyczna o rodzie Świnków... Zebrane i wydane przez G. i J. Zielińskich. Toruń 1881. Część II. str. 251—254.

W r. 1800 zaślubił Norbert Kazimierę, córkę Jana Zielińskiego z Kowalewa, generała buławy w. koronnej. Gdy w r. 1812 Napoleon na czele wielkiej armii ciągnął do Moskwy, miał chwilowo w Inowrocławiu główną swoją kwaterę. Obywatele okoliczni, pragnąc uczcić wielkiego wojownika i przypuszczalnego wskrzesiciela Polski, postanowili zebrać się licznie i powitać go w murach swego powiatowego grodu. Ponieważ jednak żaden z nich, nie był dość biegłym w języku francuskim, zadanie to spełnić musiała pani Norbertowa — jej się dostał zaszczyt na czele grona obywateli, powitania przybywającego „boga wojny“ mową stosowną.

Gustaw urodził się 1-go stycznia 1809 roku, w jednej z nabytych przez ojca na Kujawach wsi, Markowicach, w owczesnym departamencie bydgoskim Księstwa Warszawskiego. W 1820 r. utracił matkę, a macierzyńską opiekę nad osieroconemi dziećmi (Eufrozyną, Gustawem, Karolem i Stefanią), objęła rodzona ciotka, panna Maryanna Zielińska, również wykształcona i wiele taktu posiadająca osoba. Początkowe i średnie wykształcenie, pobierał najprzód w Toruniu, potem w Warszawie i Płocku. Posiadamy pare ciekawych szczegołów z tego szkolnego czasu, wiadomo nam też, że Gustaw należał zawsze do najlepszych wzorowych uczni, liczne odbierał nagrody i zapowiadał już wtedy swemi doskonałemi wypracowaniami, przyszłego poetę.

W 1827 r. gdy kończąc szkołę wojewódzką

w Płocku, przygotowywał się do egzaminu dojrzałości, dla otrzymania patentu, ciężko zachorował i był między życiem a śmiercią. Nie przeszkodziło to mu jednak w otrzymaniu patentu mimo nieukończenia egzaminu — grono profesorów bowiem, jako pilnemu i wzorowemu uczniowi, jednomyślnością patent mu przyznało, a owczesny rektor szkoły wojewódzkiej Morikoni, w przemówieniu na popisie uczniów, d. 24 czerwca t. r., zwracając mowę do tych, którzy szkołę z patentami kończyli, o Zielińskim w ten pochlebny odezwał się sposób:

«Trzecim jest Zieliński Gustaw, przybyły do klasy V-ej z Warszawy i ciągle u nas odbierający nagrody. Kiedy koledzy jego egzamin składali, on już za umierającego ogłoszony, dawał przykład prawdziwie chrześcijańskiej cierpliwości, przy czystem zapewne sumieniu, rzadkiej gotowości na śmierć i religijnego poddania się niecofnionym wyrokom Nieba. Cóż to za obraz godny naśladowania! Młodzieniec, przed dojrzałością, pewny że konać musi, w bólach zgonu przytomny zupełnie, żądał przygotowania na drogę wieczną. Prosił, aby jego nauczyciel religijny, uczynił mu tę ostatnią przysługę, a za przyjacielem swoim powtarzał z widoczną radością, ostatnie ku Bogu westchnienia. Tak umiejący umierać, zapewne żyć będzie dobrze, jeżeli nam dobre Niebo uratować go pozwoli. Za ten zaś ratunek wdzięczność należną, odebrać powinien niezmordowany w czynieniu dobrze, Doktór Lubelski i ty dobry uczniu Kajetanie Porado-

wski, który w najgorszym czasie nie odstępowałeś bezwładnego, i wy także uczniowie klasy VI-ej, co pomimo przezornych przestróg, abyście się nie narażali na zarazę, zawsze otaczaliście łoże mającego wam ubyć przyjaciela.

«Szkoła i kraj, tracił w nim może Krasickiego drugiego. Nie śmiem zuchwałych czynić przepowiedni, ale roboty, które nasz Zieliński zostawia w szkole, już go mogą postawić w dobrych autorów rzędzie.

«Nie złożył jeszcze ostatniego egzaminu, ale znajomy nam dobrze; jednomyślnością z grona nauczycieli, ma przyznany patent — i zapewne nie powstydzi nas w Warszawie. Ten patent i nagrodę, oddasz mu Julianie Dombski, który na powinność tylko wołany, odstępowałeś chorego. Wszakże co do tego, poradzimy się wprzódy doktora, czyli w stanie dzisiejszym, rozrzewnienie nie wznowiłoby słabości» [1]).

Z tego przemówienia rektora Morikoniego, nietylko wnosić możemy, jak Zieliński był ceniony przez swoich nauczycieli i kochany przez kolegów, ale także, jak ojcowskie serdeczne stosunki, panować wówczas musiały między profesorami, a ich uczniami. To też ta epoka w kraju, wydała nam wielu zacnych obywateli, znakomitych uczonych, pisarzy i literatów.

Drugi szczegół z tej epoki szkolnej Gustawa,

---

[1]) Z brulionu mowy rektora Morikoniego, znajdującego się u syna Gustawa, Józefa.

znamy z jego własnego opisu, który w jednym z listów znacznie późniejszych do siostry pisanych, umieścił. Oto, razu pewnego jemu i pięciu jego kolegom w Płocku, przyszła „romantyczna“ myśl, zwiedzenia pieszo Nieborowa i Arkadyi. Wracając z wycieczki, wstąpili do Kunek, gdzie przez wzgląd na ich „poświęcenie“ i przez litość nad ich sfatygowanemi nogami, p. Sulkowski kazał zaprządz do potężnej bryki, a upakowawszy chłopaków „jak cielęta“, odwieść polecił do Płocka. Droga szła przez Korzeń, gdzie mieszkali pp. Zawiszowie. Jeden czy dwóch malców, dobrze znajomi w tym domu, zaproponowali złożyć gospodarstwu uszanowanie. Zajechali więc do dworu, zabawili chwilę i ruszyli do Płocka. „Prawda — dodaje Gustaw — że z tej wizyty, bardzo słabe pozostało dla mnie wspomnienie, bo nieznany, w nieznajomym domu pierwszy raz i tak krótko bawiąc, nie mogłem zatrzymać w pamięci, ani miejsca, ani osób, — ale do dziś dnia jeszcze nie mogę wstrzymać się od śmiechu, gdy sobie wspomnę, co ci państwo pomyśleli sobie, ujrzawszy wysypujący się z bryki, taki rój studentów“. . .

Jednym z kolegów w Płocku, był Ignacy Orpiszewski z Kujaw, z którym potem bardzo długie różnej natury utrzymywał stosunki; kolegami zaś, którzy w 1827 r. jednocześnie z nim szkołę wojewódzką z patentami kończyli, byli: Hieronim Bońkowski, Wincenty Sławęcki, Kajetan Kowalski, Julian hr. Dombski i Roman Wilamowski. Z po-

między nauczycieli w Płocku, znani są z tego czasu z nazwiska, Jacob i Niemirowski.

W r. 1827, zapisał się Gustaw na wydział prawa i administracyi uniwersytetu warszawskiego, i w ciągu trzech lat ukończył w nim nauki.

Owoczesny wydział prawny w Warszawie, nie odznaczał się obfitością katedr, ale celował doborem profesorów; każdy prawie z pomiędzy nich, był, lub stał się prawdziwą ozdobą naszej literatury naukowej. I tak: Jan Wincenty Bandtkie, dziekan wydziału, jest twórcą historyi prawa polskiego, którą w uniwersytecie przez lat kilkanaście wykładał i w dziełach drukiem ogłoszonych rozwinął. Prócz tego przedmiotu, któremu cztery godziny tygodniowo poświęcał, Bandkie uczył także, Instytucyj prawa rzymskiego wedle kodeksu Justyniana. Wacław Aleksander Maciejowski, przyszły autor „Historyi prawodawstw słowiańskich“, wykładał wtedy w uniwersytecie „Digesta“ dogmatycznie i egzegetycznie, pięć razy na tydzień, a nadto objaśniał dzieło Gaja. Romuald Hube, młody jeszcze natenczas, ale zwracający na się uwagę w świecie naukowym swojem ogromnem odczytaniem i bystrością krytycznego rozumu, zaznajamiał słuchaczów z historyą prawa rzymskiego, germańskiego i gallijskiego. Fryderyk hr. Skarbek, zarówno głośny w belletrystyce, jak w dziedzinie nauki gospodarstwa społecznego, miał odczyty o ekonomii politycznej, o finansach i policyi. Ksiądz Franciszek Ksawery Szaniawski, znany z licznych swoich drobnych rozprawek, tłómaczył

obowiązujące wtedy prawo cywilne, oraz prawo kanoniczne.

Po tych uczonych profesorach, którzy ogłoszonemi dziełami nazawsze się upamiętnili w dziejach piśmiennictwa, wspomnieć należy i tych, co głównie wykładami swojemi dawali się poznać studentom. Nie mówię tu o zacnym Klemensie Urmowskim, którego Gustaw Zieliński napewno już słuchać nie mógł, bo chociaż prelekcye jego były zapowiedziane w programacie na rok szkolny 1827/8, ale Urmowski złożony chorobą, rozpocząć ich nie mógł; zmarł zaś 4 października 1827 roku. Przedmioty przezeń wykładane, rozebrali pomiędzy siebie: Hube i Szaniawski. Do tych profesorów, co się dziełami ogłoszonemi nie zapisali na kartach literatury, należeli: Aleksander Engelke i Stanisław Kunatt. Pierwszy z nich wykładał: Zasady procesu sądowego, zarówno cywilnego jak kryminalnego, konstytucyę Królestwa Polskiego, oraz naukę notaryatu; drugi zaś, objaśniał kodeks prawa handlowego, a nadto, miał odczyty o nauce administracyi i statystyce. Prelekcye bywały często dwugodzinne.[1]) Studentów na wydziale prawa i administracyi było dużo. W r. 1827/28 liczono ich 318, a w roku następnym 368. Wobec możności zużytkowania nabytej w uniwersytecie wiedzy, możności, która w ówczesnych stosunkach autonomicznych Królestwa

[1]) Wiadomości powyższe wzięte są z programatów uniwersyteckich (Index praelectionum), oraz z „Posiedzeń publicznych królewskiego uniwersytetu“.

żadnych prawie nie doznawała ograniczeń, cyfra powyższa zbyt wielką się nie wyda.

Czy Gustaw Zieliński prócz słuchania wykładów na obranym wydziale, uczęszczał także na odczyty z historyi literatury polskiej Kazimierza Brodzińskiego i z literatury powszechnej Ludwika Osińskiego, nie wiemy napewno; ale wolno zrobić takie przypuszczenie, ze względu na zamiłowania jego literackie, niebawem objawić się mające. Posiadamy jego zdanie o poezyach Brodzińskiego, które, jakkolwiek pochodzi z czasów po uniwersyteckich, można przytoczyć już tutaj, gdyż maluje usposobienie młodzieńca trwałe, istniejące już w dobie studyów. Poezye tedy Kazimierza z Królówki, „słodyczą i melancholią nacechowane“, czyniły na Gustawie „miłe wrażenie“, ale wywoływały zarazem pewne krytyczne uwagi. Najlepszą definicyą twórczości autora „Wiesława“, widzi Zieliński w wierszu *Do konika polnego,* gdzie „tęskny i smutny“ śpiewak, kochający zacisze wiejskie, a zmuszony do przebywania w mieście, porównywa się do owego owadu, opiewanego tak często przez poetów greckich i rzymskich. „Poezye Brodzińskiego — mówi dalej Zieliński — przepełnione uczuciem, nie są jednak dziełem imaginacyi zdumiewającej, przenoszącej nas w świat inny; czytając je, zdaje nam się, że poglądamy na życie okiem smutnem i że chwila radości wybija z ostatnią życia godziną. Uczucia miłości, przyjaźni, i cnót innych domowych i obywatelskich, autor wystawia nam ciche, łagodne

a czasami zbyt wyrachowane; — czasem przybliża się do Schillera, ale nie ma ani ognia, ani mocy niemieckiego poety. Brodziński jest poetą narodowym, ale nigdy nie stanie się europejskim. W najmniejszym jego wierszyku, przebija się miłość narodowości, np. przy oddaniu medalu Kopczyńskiemu!... Słowem, Brodziński jest czuły, smętny, kochający do najwyższego stopnia to wszystko, co jest narodowe. Jest to śpiewak wiejski, przyjaciel włościan; im poświęcił najznaczniejszą część poezyj swoich, miłośnik cichego ustrojenia i spokojnego domowego pożycia".[1])

Rzecz naturalna, że nie tylko z utworami Brodzińskiego zapoznał się Zieliński w Warszawie, lecz także z całym szeregiem naówczas młodych poetów, zdobywających sobie uznanie i wawrzyny. Trzy lata pobytu Gustawa w uniwersytecie, były właśnie najgorętszemi z całej doby walki romantyków z klasykami. Almanachy i wydawnictwa peryodyczne, dawały pole do popisu swieżym talentom i półtalentom; a dzienniki: najprzód „Gazeta polska" w r. 1827, potem „Kuryer polski", prowadziły namiętne spory o zagadnienia literackie, a pod ich pokrywką, o kwestye społeczno-polityczne. Przemowa Mickiewicza do krytyków i recenzentów warszawskich z r. 1829, dodała oliwy do ognia, i walkę dwu obozów uczyniła tem gwałtowniejszą. Nie pomógł pojednawszy głos Franciszka Moraw-

---

[1]) „Dziennik mojego życia". Styczeń 1833. § 14 (z rękopisu).

skiego, który w dwóch listach poetyckich: do klasyków i romantyków, proponował drogę pośrednią; w ogniu walki, takie odezwy nie mają nigdy powodzenia; trzeba się decydować na jedną lub na drugą stronę.

Że Gustaw Zieliński interesował się temi sporami i że stanął po stronie nowatorów, to chyba nie może ulegać wątpliwości. Czy i sam pisywał już wtedy wiersze, nie jest rzeczą pewną; najdawniejsze bowiem z dochowanych jego poezyj, pochodzą dopiero z r. 1832.

Zdaje się, że zajęty studyami prawniczemi, zaznajamiając się przytem z literaturą bieżącą, nie miał ani czasu, ani ochoty do tworzenia na własną rękę. Gdy się po skończonym trzechletnim kursie, przygotowywał do egzaminu na stopień magistra, wybuchła rewolucya listopadowa i pociągnęła go za sobą. Skończywszy lat 21, będąc tedy już prawnie pełnoletnim, zaciągnął się Zieliński jako ochotnik do korpusu artyleryi; przeniesiony został w stopniu podoficera, do bateryi 6-ej lekkiej pieszej, zostającej pod dowództwem kapitana Kożuchowskiego. Podczas kampanii r. 1831, znajdował się w potyczkach pod Paprotnią i Królikarnią, oraz, w walnej bitwie pod Warszawą w dniach 6 i 7 września; poczem przedstawiony został do stopnia oficera. W październiku, przeszedł z korpusem jenerała Rybińskiego, granicę pruską pod Brodnicą.[1])

---

[1]) „Wiad. histor. o rodzinie Świnków", Część II. str. 259.

Kilka miesięcy przebywał w okolicach Lubawy, nie wiedząc, co dalej począć ze sobą. Rodzina, której mienia on jedynym był spadkobiercą, nie życzyła sobe, aby się za innymi puścił do Francyi; na usilne tedy żądanie ojca, wiekiem i niemocą nachylonego, powrócił Gustaw w początkach r. 1832 do kraju. Powstał nowy kłopot, co miał robić, żeby się nie rozpróżniaczył i młodości nie zmarnował. Myślano więc o tem, jakby go osadzić na gospodarstwie. Ojciec nie mógł mu oddać majątku, bo go obrócić musiał na zaspokojenie wierzycieli; stryj Józef, choć bogaty, również tego nie mógł, gdyż wszystkie jego wsie, prócz Wierzbicka, były wydzierżawione.

Gdy tak starsi przemyśliwali nad losem Gustawa, wyszło w maju 1832 r. rozporządzenie rządowe, że wszyscy wogóle wojskowi, którzy służyli w czasie rewolucyi, mają być do armii rosyjskiej powołani; zaciąg ten miał być z dniem 1 sierpnia owego roku ukończony. Wyjątek stanowić mieli, kalecy i niezdatni do służby wojskowej, oraz ci, co posiadali majątek, zabezpieczający zupełne utrzymanie. Ponieważ Gustaw nie mógł się bronić, ani kalectwem, ani niezdatnością, trzeba więc mu było dać jakąś posiadłość. Po wyczerpaniu rozmaitych kombinacyj zdecydowano, że stryj sprzeda mu ze swego majątku folwarczek, a właściwie kolonią Kierz, a Gustaw wykupi siedzącego tam zastawnika. Tak się też stało; w końcu maja, czy też w początku czerwca r. 1832, osiadł Zieliński w nowej

swej siedzibie i własności, a delegacya zaciągowa zjechawszy na miejsce, uznała, że mu ta majętność zapewnia dostateczny sposób utrzymania; poczem wydała mu świadectwo, uwalniające od służby wojskowej.

Jak gospodarował młodzieniec 23-letni, niech objaśni własne jego opowiadanie: «Rozpocząłem więc zawód gospodarski, chociaż śmiechu warte było to gospodarstwo, — najprzód zbyt małe, żeby się warto było seryo niem zająć, powtóre — odebrałem je w nędznym stanie. Powierzyłem je więc rozumowi i uczciwości ekonoma; sam zaś mając już punkt oparcia, oddałem się głównie dalszemu kształceniu i pracy naukowej.

«Dom mieszkalny miałem wcale porządny: z sieni był pokój, razem bawialny i jadalny, otynkowany biały; mebelki skromne, ale porządne, wogóle czystość jak największa; obok tego pokoju moja sypialnia, gdzie stało łóżko, stołek do pisania, biblioteka z kilkuset tomów złożona i kanapa, na której sypiał gość, jeśli nie trafił, i służyła na wypoczynek przed rogowym kominkiem, na którym już od jesieni palił się ogień wesoły. Z sypialni było wejście do małego pokoiku, służącego za garderobę, z którego drzwi szklane prowadziły na ogród; ogród miał kilkaset sztuk drzewa owocowego. Po drugiej stronie sieni była kuchnia, razem dworska i czeladnia, a obok kuchni alkierz, mieszkanie ekonoma i jego żony, która pełniła obowiązki gospodyni i kucharki. Była to stara dworka,

2

swój fach dobrze znająca, i kierująca nie tylko swoim mężem, ale i całem gospodarstwem. Ze mną nie miała wielkiego kłopotu, bo byłem prawdziwie gościem u siebie; a jeżeli się gość trafił, to na niczem nie zbywało. Słowem jako gospodyni, doskonale się wywiązywała ze swego obowiązku, zważywszy na ograniczone środki, jakiemi mogła dysponować.

«Mieszkając na Krzu, czas mój dzieliłem pomiędzy Chrostkowem i Wierzbickiem; w Chrostkowie mieszkał ojciec, ciotka Maryanna, siostra Gorska z dziećmi, ciotka Sumińska z córkami — było to towarzystwo kobiece; w Wierzbicku mieszkał stryj Józef i zawsze miał kilku rezydentów; zresztą i gości nie brakło — było to męskie towarzystwo. W okolicy mało kogo znałem: bywałem tylko u Chełmickich w Płomianach i Fabiankach; dalsze zaś wycieczki, od czasu do czasu robiłem w Ostrołęckie do stryja Feliksa, do Płocka i Warszawy, gdzie mając dosyć kolegów i znajomych, przypominałem sobie dawne czasy szkolne i akademickie. Znudziwszy się zaś towarzystwem, z upodobaniem wracałem do mojego Krza, do książek, do pracy, i tak nieraz cały tydzień upłynął niepostrzeżenie, dopóki mnie jaki list, lub przyjeżdżający znajomy, z mojej siedziby nie wyciągnął. Miewałem i gości, i nieraz Kierz samotny zawrzał życiem młodzieńczem».[1]) Nie brakło tu wprawdzie i trochę

[1]) „Dziennik mojego życia" (z rękopisu). Ustęp ten pisany był około r. 1823.

swawoli młodzieńczej, do jakiej sposobność nastręczały synom szlacheckim, stosunki pańszczyzniane; lecz nie prowadziła ona Gustawa, już wtedy poważnie usposobionego, do wybryków rażących — zaspakajała tylko krewkość młodocianą.

II.

Stan Królestwa był opłakany. Prócz spustoszeń, dokonanych przez wojnę, cholera i pomór na bydło, spowodowały wielkie zubożenie i okropny upadek na duchu. Lipnoskie, gdzie Zielińscy mieli swoje majątki, przedstawiało się Gustawowi jako ruiny: pola w znacznej części nie poobsiewane, inwentarze z samych „braków“ (tj. sztuk wybrakowanych) złożone, bo co lepsze, rekwizycya wojenna zabrała; dachy poobdzierane, płoty popalone; wogóle zaś — bieda, brak gotówki i kredytu, utrudnienia w komunikacyi, broń odebrana, granica od Prus szczelnie zamknięta i niepodobieństwo zyskania paszportu. Ponieważ łatwości w zasiągnięciu wieści skądkolwiek niebyło, a z drugiej strony, z powodu powszechnej biedy, należało wziąć się do pracy, aby stawić czoło pierwszym potrzebom. Lipnoskie, żyło przez pierwsze lata po rewolucyi, w „błogosławionej niewiadomości tego wszystkiego co się na bożym świecie działo“; tylko wtedy budziło się, lubo chwilowo, z uśpienia, gdy jakie „nowe postanowienie rządowe, usuwało lub ścieśniało, którą z dawnych swobód konstytucyjnych“.

Dochowane poezye Zielińskiego z r. 1832, są przeniknięte smutkiem, nie tyle jednak z pobudek ogólnych, narodowych, ile z osobistych. Dwudziestoczteroletni młodzieniec, przedstawia się w nich jako człowiek, który doznał ciężkich rozczarowań i w miłości, i w pragnieniu sławy; do rozpaczy wszakże nie doszedł, gdyż podtrzymywała go wiara w dobroć i sprawiedliwość Boga, oraz zaufanie w uczuciu przyjaźni. Oto najwydatniejsze wspomnienie z kampanii 1831 r.

Hymn wojny zabrzmiał, rozniecił bój krwawy,
Żądza wielkości, niebezpieczeństw, sławy,
Zawrzała w piersi, umysł wzniosła młody.
Wojna! — dwa bratnie krzyknęły narody;
Wojna! i mściwem starły się ramieniem.
Lecz wśród wysileń i odwagi cudów
Bój się zakończył . . .
A sława, wielkość — zostały złudzeniem.
Tak w lat niedługich przemiennej kolei.
Tyle już zwodnych widziałem nadziei;
Młodość i miłość, i sława przebrzmiała,
Tylko się przyjaźń wierną dochowała.

Ile do tego stanu rozczarowania i pozbycia się złudzeń, przyczyniła się owczesna poezya bajroniczna, a ile samo życie i jego zawody — trudno wyśledzić. W każdym razie, z poezyj ówczesnych Gustawa, wyziera dusza skłonna do refleksyi, niezbyt pochopna do wypowiadania swych uczuć najgłębszych, a jednak czuła, serdeczna i smętna. Poeta prosi Najwyższego, by w myśli jego wszczepił „nadziei kwiat“ *(„Do Boga“);* druhów za-

chęca, by wzajem sobie uczucia wierności aż po za grób dochowali (*„Do przyjaciół“); z* ukochaną rzewnie się rozstaje, bo może na zawsze (*„Pożegnanie“);* wieszczowi młodemu radzi, by z iskry czucia wzniecił płomień, a zostawiwszy ziemi „mgły i ciemność“, wzleciał w niebo z ogniem słońca (*„Do młodego poety“);* w rozmowie ojca z synem, uwydatnia wiecznotrwałość tworów bożych, a znikomość dzieł ludzkich (*„Tulipan i fiołek“);* tłómaczy z Schillera wiersz p. t. *„Podział ziemi“,* gdzie dla poety dóbr ziemskich pozbawionego, otwarto dostęp do Boga, jeżeli przyjść do niego zechce.

Ten sam nastrój refleksyjny odnajdujemy w „Dzienniku“ Gustawa, rozpoczętym 1-go stycznia 1833 r. w dzień urodzin. „Kto przeżył lat 24, — czytamy tu — a w kilku z nich był wystawiony na próby, temu już ubiegłe życie służyć może za probierczy kamień dla lat późniejszych. Dziennik ten uważać można jako latarnię magiczną, przez którą przesuwać się będzie mnóstwo osób i wypadków; złudzenie zmysłów krótko trwać tu będzie, ale z nich wypłynie *ocean długowiecznych rozmyślań.* Nie chcę innej nagrody za moją pracę, nad to słodkie przekonanie, że jest dziełem myślącej istoty, — *żem pracował nad poznaniem ludzi i samego siebie“.*

Istotnie, w dzienniku tym, bardzo mało znajdujemy opisów ludzi i wypadków. Zieliński notował tylko takie rzeczy na marginesie, dla przypomnienia samemu sobie; ale tekst sam wypełniał,

już to sprawozdaniami z przeczytanych książek, wyłącznie belletrystycznych, już to uwagami nad charakterem osób przez siebie poznanych, już to refleksyami nad własnem swem usposobieniem. Nie myśląc tu wyczerpywać całej zawartości dziennika, postaram się w kilku wyjątkach, dać poznać znamienne cechy każdej z trzech wymienionych kategoryj.

I tak, najprzód co do książek. W ciągu pierwszych miesięcy r. 1833, znajdował się Gustaw wśród ustawicznych podróży, odwiedzając, to bogatych stryjów Józefa i Feliksa, to Dominika Kuszla i wiele, wiele innych osób, czasami tylko, jakby dla odpoczynku, zaglądając do wioski Kierz, którą dla niego wydzierżawiono. Pomimo to, czytał bardzo dużo i robił krótkie o przeczytanych książkach notatki.

Jedna z pierwszych takich notatek w „Dzienniku", odnosi się do drugiego tomu komedyj Fredry. Oceny są krótkie i dobitne, więcej jakby przedmiotowo sprawozdawcze, niż wyrażające upodobanie samego Gustawa. Oto opinie szczegółowe:

«Z pomiędzy pięciu w tym tomie zawartych komedyj, pierwsze naznaczam miejsce sztuczce p. t. *„Odludki i poeta"*. Jakkolwiek W. A. Schlegel w swojej sztuczce dramatycznej, nowszą komedyą nazwał, „zstąpieniem do pracy i rzeczywistości", ja uważam, że to nie może być do wzmiankowanej zastosowane. W tej komedyjce, charaktery poety i odludków, doskonale są pojęte i utrzymane.

Ostatni, różnią się pomiędzy sobą sposobem myślenia; obadwa stronią ludzi, ale co w pierwszym, tj. Astolfie, jest skutkiem nienawiści, to w Czesławie — zniechęcenia; nie kocha ludzi, nie szanuje, ale też nie nienawidzi. Poeta, widzi ludzkość w przeciwnem świetle — zapatruje się na piękny dar życia, z punktu najwznioślejszego. Wszystkie te trzy charaktery są prawdziwie poetyczne; jedynie charakter oberżysty i intryga miłosna wiążąca tę sztukę, są nacechowane komicznością. Wogóle sztuka piękna, wzniosłych myśli wiele; pomysł prawdziwie oryginalny widać samego autora; toby mu tylko można zarzucić, że mowa Astolfa mizantropią nacechowana, często o wiele jest mocniejszą, niż obrona Edwina (poety). *„Pierwsza lepsza“*, — pomysł nowy, komiczność nie z osób, jak w pierwszej, ale z osnowy komedyi wynika; szczegółowe sceny wyborne: lekość, dowcip i piękne obrazy uczuć, zalecają ten utwór dramatyczny. *„List“,* — komiczność więcej naciągnięta niż naturalna, kilka scen wybornych; wogóle, mniej się podoba niż dwie poprzedzające. *„Nowy Don Kiszot“,* — krotochwila, utwór wesołej chwili, często grzeszy dwuznacznością; stąd, obok dowcipu płaskość; może zabawić, ale nie wszystkim się podobać; wogóle jestto sztuka niższego rzędu. *„Mąż i żona“,* — komiczność wyższa, intryga dobrze prowadzona. Sceny wystawiające prywatne życie osób wyższego tonu, po mistrzowsku skreślone; ustępuje jednak dwom pierwszym co do poezyi. Wogóle Fredro

wiele pokazał zdatności do komedyi, z prób, które drukiem ogłosił; mniej jest pięknym w tych, w których naśladował Moliera; ostatni, jako twórca komedyi francuskiej ma wiele zalet, ale rzadko naśladowcy umieją zalety naśladowanych autorów sobie przyświoić; najczęściej chwytają ich błędy, a stąd, to samo co w oryginalnym autorze zachwycać nas będzie, w naśladowcy znudzi i mniej korzystne da wyobrażenie o jego talencie. Zawód, który sobie obrał Fredro, nie jest łatwy, aby zyskać imię polskiego pisarza komedyj — komedyj, któreby teatrowi całej Europy podobać się mogły; ale talent, zyskać może chlubny wieniec w tych szrankach ucywilizowanego świata».

Wszak te zdania wyglądają raczej jak fragmenty szkicu literackiego, nie jako wyraz bezpośredniego wrażenia z rozczytania się w komedyach Fredry. Więcej uczucia osobistego znajdujemy w obszernych sprawozdaniach z dramatów Schillera; widać, że poeta ten, żywo przemawiał do umysłu naszego młodzieńca, że go wzruszał głęboko. Wprawdzie i wobec niego, nie traci Zieliński niezależności krytycznego zdania; wprawdzie *„Zbójców“* poczytuje za utwór „niebezpieczny dla młodzieży, gdy pierwsze władze umysłu rozwijać się zaczną“; ale zamiłowanie, z jakiem się rozpisuje o dramatach Schillera, tłómaczenie z nich celniejszych wyjątków, świadczy dobitnie, że czytanie ich sprawiało mu wielką przyjemność. O *„Maryi Stuart“* wyraził się, że mu się całkowicie podobała i że mniej tu zna-

lazł „niestosowności“, niż w innych arcydziełach wieszcza niemieckiego.

Obok dramatów Schillera, do żywego wzruszyły go, *„Cierpienia młodego Werthera“*, tak, że czytając je, „łez kilka uronił“; pomimo to, robi Goethemu ten sam zarzut co *„Zbójcom“*, że „rozumowaniem uświęca zasady, za występne przez towarzystwo przyjęte, — że rozmyślaniami o samobójstwie, może do naśladowania stać się powodem“. Można w tych opiniach odczuć wpływ poglądów Brodzińskiego.

Z poetów polskich, najwyżej cenił Gustaw Mickiewicza, Malczewskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego; trafne robił spostrzeżenia nad przechwalonemi wówczas wierszami Odyńca, a bardzo surowo oceniał ramoty takie, jak *„Edyp“* Humnickiego, lub *„Ragana“* Rautenstrauchowej.

Sam pisywał coraz więcej; ale niewiele z owoczesnych jego poezyj doszło do nas: 10 pieśni, dwa tłómaczenia, wreszcie pewna część dramatu.

Pieśni, jak i w roku 1832, dotyczyły stosunków osobistych; często malowały uczucia przykre, rozczarowanie i zobojętnienie, (*„Nic mnie nie smuci, nic nie uwesela“, „Do Adama Pisarzowskiego“*); jak poprzednio, znajduje poeta pewną ulgę w uczuciu przyjaźni, ale częściej niż poprzednio miłość jej mu udziela, (*„Pocałunek“, „Kto milczy zezwala“*). Chwile jednak pogodne bywają rzadkie; częściej daleko, jakaś tęskna zaduma osiada w duszy młodzieńca. Czy to w skutek rozmyślań nad powsze-

chną zmiennością objawów życia? . . . (*„Dumka“*, *„Podróż“*, *„Rozstanie“*).

Z przekładów, mamy tłómaczenie znanego wiersza Arnaulta: *„Do listka“*, a z Schillera: *„Pożegnanie Joanny d'Arc“* i ustęp z *„Maryi Stuart“*.

Co do dramatu historycznego *„Zbigniew“*, to ponieważ wykończony został znacznie później, tu tylko zanotuję, że praca szła powoli, sceny były przerabiane zdaje się nieraz i że część ich tylko zdecydował się Gustaw na czysto przepisać. Przejdźmy teraz do charakterystyki osób, jaką w „Dzienniku“ Gustawa znajdujemy. Wybieram w tym celu najprzód, przedstawienie jednej indywidualności wybitnej, a potem, ocenę całych grup towarzyskich.

W uniwersytecie jeszcze zabrał Zieliński znajomość z młodzieńcem ubogim, pracowitym, wciąż się kształcącym, a nadzwyczajnie podejrzliwym, Zygmuntem Komarnickim, który już w r. 1830 dał się poznać przekładem I-go tomu „Literatury dramatycznej, A. Wilhelma Schlegla“, a później miał osięgnąć pewne imię jako historyk, tłómacz kroniki Dytmara, Gallusa itd. W listach do osób trzecich, wypowiadał Komarnicki zdanie, że Gustaw nie darzy go taką przyjaźnią, na jaką zasłużył — a nie darzy go może dla jego ubóstwa, lub braku „słodyczy“, zarówno w słowach jak wejrzeniu. Dało to Gustawowi pochop do skreślenia charakterystyki przyjaciela:

«Zygmunt, poświęciwszy się zupełnie naukom, przejął się zasadami filozofii niemieckiej, i jakkol-

wiek za swoje własne uznał w samym sobie myśli i gruntowne podstawy zdań prawdziwych filozofów, nie potrafił się jednakże ustrzedz błędów tychże, które również stały się jego duszą. Przytem, zapał z którym broni swoich teoryj, posuwany aż do dotknięcia osobistości przeciwnika, odstręcza od niego serca osób, przyjaźń z nim zawrzeć pragnących. Przekonanie o swojej własnej wartości, z wielu względów jest chwalebne, bo prowadzi nas do cenienia samych siebie; ale posunięte do tej ostateczności: że wszyscy nie dzielący naszego zdania są głupimi, — okrywa nas śmiesznością zarozumiałości, a ta wada jest jedną ze sprężyn, poruszających namiętnościami Zygmunta. Czas przepędziwszy w ustroniu naukowem, nie miał zręczności nabycia poloru świata *(l'usage du monde),* a broniąc teoryj społeczeńskich bez względu, czy one są zastosowane w praktyce, lub czy być mogą, sprawdza na sobie łacińskie przysłowie: *ex libris doctus.*[1]) Długie przytem pamiętanie uraz, podejrzliwość i chęć odznaczenia się szczególną jakąś oryginalnością, cierpkość wyrazów i gwałtowność namiętności, cechują burzliwego młodzieńca, który nieledwo dąży do tego, aby się wadził nie tylko ze światem, ale i sobą samym. Każdy ma wady, bo nikt nie jest bez „ale“. Jednakże i Zygmunt ma cnoty, które chcąc wykryć, z nim żyć potrzeba. Poświęcenie się całkiem przyjaźni, nieinteresowność, są pięknemi odcieniami w jego życiu. Na wyrzuty

---

[1]) = mądry z książek — książkowy uczony.

jakimi w liście swoim mnie obarczył, nie zasłużyłem. Przyjaźń, którą dla niego powziąłem, nie miała żadnej interesowności na celu, lecz nie miała tego hartu, jaki podobne uczucie duszom zbliżonym nadawać powinna. Nie zrywam jej, ale przynajmniej starać się będę dać poznać Zygmuntowi, całą niestosowność podejrzeń niezasłużonych; niech wie, że serce moje, ceniące ludzi podług zasad filantropii, nie tego się spodziewało po jego współczuciu".[1])

Rzeczywiście, dał mu to poznać w liście z 24 stycznia 1833 roku, powiadając: „Zrobiłeś mnie człowiekiem interesowanym, który w wyborze przyjaciół, szuka błyszczących i pochlebców. Czy zasłużyłem na ten zarzut? — zapytaj swojego serca. Przypomnij sobie chwile naszego poznania, gdyśmy zawierali przyjaźń; miałaż tam miejsce interesowność? Żyliśmy pewien czasu przeciąg pod jednym dachem, miałeś sposobność odsłonić tajniki duszy mojej. Widziałżeś mnie wtenczas ubiegającym się za darami Plutusa? szukającym związku z ludźmi,

[1]) Po powrocie z Syberyi i odziedziczeniu Skępego po śmierci stryja Józefa, Zieliński powołał do siebie Komarnickiego, dając mu w Skępem, nietylko przyzwoite utrzymanie jako sekretarzowi, bibliotekarzowi, a wreście nauczycielowi najstarszego syna Józefa, ale niejednokrotnie dopomagając mu przytem. — W 1863 r. Komarnicki, odpłacił Zielińskiemu za tę przyjaźń i troskliwość mu okazywaną, brzydką niewdzięcznością, skutkiem której Skępe musiał opuścić, a Zieliński odtąd zerwał z nim wszelkie stosunki przyjaźni. *(Przyp. Wyd.)*

których nic prócz złota nie zdobiło? Nie umiejąc sam napawać słodyczą słów moich, nie wymagam tego po żadnym z moich przyjaciół, a nawet milszy sercu memu jest ten, który acz cierpką prawdę, ale mi ją odsłoni, nad tego, któryby słodyczą wyrazów pochlebstwo przystrajać umiał. Nie jestem kobietą, abym podobną monetę chętnie przyjmować i nagradzać potrafił. Nie, Zygmuncie, — wyrzuty twoje nie są słuszne; gdyby nimi być miały, nie byłbym godzien twojej przyjaźni; przyjąłem je do serca, bom się ich najmniej spodziewał. Jesteś drażliwy, zwłaszcza w dysputach; chciałbyś, aby wszyscy podzielali twoję opinię; ja niezawsze na twoję opinię, ja niezawsze na twoją wiarę przystać mogłem. Jam nie winien, że także lubię być niepodległy w mojem zdaniu; tu jest zaród wyrzutów: czyli są prawdziwie, nad tem się zastanów; teraz masz moją rękę jako zakład zgody. Niech plotki, intrygi, niesnaski i inne godne kobiet zatrudnienia, zaginą z ubiegłym rokiem; nie przystoją nam wcale, bo nie są godne serca przyjaciół". Nastąpiły potem wyjaśnienia, a że Zygmunt zamieszkał niedaleko Gustawa u Chełmickich, ucząc ich dzieci, mogli się częściej widywać osobiście — przyjaźń się utrwaliła i spotęgowała.

Z zarysów towarzystwa, warto poznać to, co zapisał Zieliński o Płocku i Warszawie: «Przeciwieństwo, jakie postrzegać nam się daje pomiędzy wyobrażeniami naszemi o życiu społecznem a samem życiem przez niektóre towarzystwa przyjętem, działa

mocno na nas, a mianowicie na nasze uczucia. Wszystko, co ma kierunek nienaturalny, przymuszony, razić nas musi, a im więcej na nas działa, tem bardziej wykrywamy całą niestosowność. Życie w mieście mocno się różni od wiejskiego, a każde zosobna ma cechy charakterystyczne sobie tylko właściwe. Lecz wstępując w koła towarzystw wiejskich, jeśli się przeniesiemy z salonów Warszawy do salonów Płocka, zdaje nam się, że przechodzimy z teatru Opery na widownię maryonetek. Są to dwa obrazy podobne do siebie: też same grupy, światło i koloryt, ale z tą jedyną różnicą, że jeśli pierwszy do doskonałych oryginałów porównamy, drugi zaledwie złą kopią być może. Dobry ton, podług wyobrażeń koteryj płockich, jestto przedstawiać się oczom drugich w lepszem świetle, niż się jest w istocie; a drogą do tego celu wiodącą, jest pogarda, z którą wyżsi są dla niższych, chęć pokazania dostatków gdzie jest cierpiąca mierność, i brylowania dowcipem i nauką tam, gdzie jest płaskość i wiadomości encyklopedyczne. Aby zaś dopiąć zamierzonego celu, gotowi własnemu przekonaniu założyć wędzidła, zgwałcić nawet najświętsze uczucia. Stąd szczególniej kobiety, będąc ciągle dręczone nieukontentowaniem, niespokojnością, zazdrością i rywalizacyą, są ofiarami sposobu życia, do którego nie są stworzone. Czas w bezczynności przepędzany, musi być poświęconym obmowie i zbieraniu plotek całego świata. A zatem, jeśli Płock podzielimy pod względem tonu na stopnie, którego najwyż-

szym będą urzędnicy celniejsi, a najniższym klasa rzemieślnicza, przekonamy się, że ogniwami łańcucha, łączącego ze sobą wszystkie te stopnie, są plotki, a stąd bardzo trafnie nazwano Płock *stolicą plotek.*[1])

«Poznawszy klucz koteryj płockich, potrzeba nam poznać jeszcze osoby, też koterye składające. Tu dopiero występują na jaśnią najprzewrotniejsze zasady, ale przez modę lub fałszywe pojęcie rzeczy uświęcone maksymy, nie postępem światła, ale cofaniem się oświaty napiętnowane; uczucia uszlachetniające duszę człowieka, przetworzone w poczwary i dziwolągi. Młody człowiek przyjemnej powierzchowności, umiejący dobrze tańczyć i cokolwiek po francusku (a przynajmniej udający, że ten język posiada), który rozprawia o wszystkich naukach tonem dyktatorskim, chociaż ich nie zna tylko z okładek, który nadewszystko posiada dar wielemówienia — choćby bez sensu, zna intrygi kobiet i w ich słabości uderzyć potrafi, który każdego przekrzyczy i zagłuszy, jeśli śmie powstać przeciw tak fałszywym zasadom, — taki niezawodnie śród salonów Płocka, nie tylko że stanie się celem uwielbień kobiet, zazdrości mniej szczęśliwych towarzyszy, intryg panien i młodych mężatek, ale nadto, uzyska tytuł człowieka uczonego, stanie się niejako *luminarium* tamecznego horyzontu, będzie poszukiwany, przyjmowany uprzejmnie przez szcze-

---

[1]) Później nazwał Zieliński to miasto: *„stolicą nudów".*

gółowe koterye, dopóty, dopóki kto nowemi zasługami, dawnych jego nie zagasi. Młoda zaś panna, której wdziękom hołd niesie wszystka młodzież miejscowa, która ukształcenia nabierała na jednym z pensyonów warszawskich, jakkolwiek szybko przejmuje wady towarzystw płockich, ukrywa to ściśle, a zachwycone oko, widzi piękność ozdobną naiwnością, skromnością anielską, dobrocią, talentami i rozsądkiem, — lecz chwila przyjemnego błędu prędko przemija, a kto z upodobaniem przypatruje się tej pięknej maskaradzie, niech nie czeka chwili demaskowania, bo nuda, niesmak i ckliwość zalegną mu duszę, gdy ujrzy złość i kokieteryą pod maską dobroci i skromności, a niedorzeczność, chełpiącą się obszernemi wiadomościami. Wogóle kobiety, a mianowicie stare: matki i mężatki, są z profesyi intrygantkami, *komerami,* plotkarkami — słowem, doskonale odgrywają rolę osób komedyi Skeridana: *„Szkoła obmowy“*. Baby trzęsą wiadomości brukowe i drobne a często brudne kawałki wszystkich osób Płock zamieszkujących; — a ten ocean wyrazów jest ściekiem złości, kłamstw i głupstwa. Matki, mające córki na wydaniu, łowią swemi instrygami młodzież; schwytany, jeśli nie jest zupełnie zgodny z widokami córki i matki, nie bywa odrazu oddalony, — idzie do rezerwy, póki się lepszy nie zdarzy. Panny śpiewają: *raz tylko w życiu kochamy,* ale to uczucie miłości tak święte w ich ustach, najmniej ma zgody z serduszkiem. Jestto towar wystawiony na licytacyą, z tą tylko

różnicą, że nie woźny, ale całe miasto wywołuje: kto da więcej! . . . Młodzież usadza się, aby bałamucić panny, — panny, aby bałamucić chłopców. Matki oburzają się na samo wspomnienie wyrazu tego: *„bałamut“*, ale jednak same sobie nie wierzą, czyby nie dały się zbałamucić, — mężatki nie widzą w tem nic zdrożnego. Słowem, w tym chaosie bałamuctwa i plotek, jak w kraju, złym finansowym systematem rządzonym, najwięcej cierpi *ultimus consumens*[1]), a w Płocku do tej cierpiącej klasy konsumentów — mężów i starych mężczyzn policzyć należy. — Niema reguły bez wyjątku — i tam są ludzie, ale tych niestety z latarnią Dyogenesa szukać potrzeba».

Dla porównania przyjrzyjmy się obrazkowi stosunków warszawskich, jak się przedstawiły młodzieńcowi, gdy ponownie w drugiej połowie r. 1832 stolicę odwiedził. «Dojeżdżając — powiada, — zwróciłem uwagę na przeszłość i doświadczyłem na sobie, jak prawdziwem jest to przysłowie łacińskie: *mutantur tempora et nos cum illis.*[2]) Kiedyś! . . . (było to właśnie gdym jechał pierwszy raz zapisać się do uniwersytetu), gdym ujrzał wierze Warszawy, znajdowałem się w zachwyceniu, jakiego Brutus doznał, do ojczyzny wracając; ledwo nie ucałowałem tej ziemi, na którą przybywałem. A dzisiaj! . . . poglądałem na Warszawę z daleko innem uczuciem; przed oczyma memi rozciągał się

[1]) = ostatni konsument.
[2]) = Zmieniają się czasy a my z nimi.

widok obszerny, niedawno miejsce krwawych wypadków; gdzieniegdzie krzyże i mogiły — zburzone domy i kościoły. — Okopy i inne przedmioty fortyfikacyjne, zwróciły myśl do tych dni niefortunnych, w których tysiące braci naszych broniło swobód narodowych. I ja miałem miejsce w szeregach obrońców wolności, i z ciekawością dziecięcia przypatrując się miejscom, które broniłem, przypominałem sobie wszystkie, najdrobniejsze nawet w tych walkach zaszłe okoliczności. Warszawa bardzo mało się zmieniła od czasu gdy w niej zamieszkiwałem, — ubyło tylko ruchu, jaki był przed rewolucyą; dziś mając mniej handlu i ludności, mniej jest przyjemną i zajmującą, jak była kiedyś . . . Do ozdób najcelniejszych tej stolicy, niezawodnie Teatr Wielki należy. Na jednym z największych placów, podług struktury koryncklej wystawiony, zdumiewać może oko patrzącego, wspaniałym swoim portykiem. To tylko można zarzucić, że architekt nie mógł tu rozwinąć całej swojej sztuki — musiał korpus i drugie skrzydło teatru zastosować do gmachu już dawniej postawionego; stąd wiele załamków, które między dachami postrzegać się dają, osłabiają ów efekt, jaki sprawia pierwszy rzut oka na fronton Wielkiego Teatru. Wewnętrzne urządzenie teatru pod względem ozdoby, odpowiada zewnętrznej gmachu tego okazałości; lecz jest nadzwyczajnie zmniejszony, i dzisiejsza sala dla widzów przynajmniej o $^1/_3$ część mniejsza, aniżeli plan jej przez architekta był dany. Głos,

a mianowicie śpiew, dobrze się odbija, bowiem podług zasad akustyki urządzono widownią; lecz zadziwiło mnie nieotrząśnienie się z zasad despotyzmu literackiego. Jest to rzecz mała; nie każdego może zwróciła uwagę, lecz mnie mocno zainteresowała, — pomiędzy parterowemi lożami a lożami pierwszego piętra są portrety, a mianowicie: Szekspira, Rasyna, Moliera, Mozarta, Kochanowskiego i Bogusławskiego. Co za pomięszanie! co za nieład nielogiczny! Bogusławski może mieć miejsce, ale nie w rzędzie Szekspira; Kochanowski nie ma żadnych zasług dramatycznych; Mozart, mógł znaleźć inne miejsce jako muzyk; Rasyn źle odbija obok poety angielskiego; — słowem, przeniesiono bezwzględnie z dawnego narodowego teatru te nazwiska. Nam zapytać się trzeba, czy temu winien gust urządzającego teatralną salę, czy . . . że dramaturgia u nas żadnego dotąd nie uczyniła postępu, i że na scenie naszej wystawiane płody prawdziwych poetów, obok bezgraczy dramatycznych, zarówno zabawiały publiczność. Bywały przykłady, że więcej „*Chłop milionowy*“ sprowadzał widzów na teatr, aniżeli tragedye Szekspira lub Schillera.

«Widzenie się z dawnymi kolegami musiało być przyjemne, — jesteśmy bowiem jak rozbitki na niezmierzonej oceanu przestrzeni, których łodzie okrążywszy świat cały, znów się spotkają, aby się znów, ale już na wieki rozdzieliły. Adam Pisarzowski w roku jeszcze zeszłym będąc u mnie, zabrał mi zbiór moich poezyj i czytywał je kole-

gom będącym w Warszawie. Te kilka prób mojego pióra przyjęto z zapałem; zrobiono mnie drugim Mickiewiczem, lubo ja w pokorze ducha, mogę o sobie powiedzieć, żem nie wart Mickiewiczowi rzemyka u trzewików zawiązać; jednak bądź co bądź te pochwały zachęcają mnie do dalszej pracy w tym zawodzie».

Wyższe towarzystwa stolicy, bynajmniej nie zachwyciły smętnego i rozmyślającego młodzieńca. Nastrój satyryczny przeważał w nim tak samo, jak w obrazku stosunków prowincyonalnych. Oto próbka:

«Weźmy kilkanaście osób formujących kompanją, które przy blasku lampy argauckiej w pięknie umeblowanym salonie, zatrudnia się rozmową, przerywając ją tylko w czasie, gdy krąży herbata i sucharki, a mamy główny zarys całego towarzystwa. Jest to szkielet, któremu dopiero rozmowa życia nadaje. Każdy z siedzących w tem kole, zdaje się jakby przyrosły do miejsca, które wtenczas opuszcza, kiedy żegna towarzystwo, lub kiedy potrzeba go zmusi zbliżyć się do więcej oddalonej osoby. Rozmowa nie jest powszechną, — osoby bliżej siebie siedzące, tworzą nowe w towarzystwie towarzystwo i tym sposobem kompania podziela się na mnóstwo drobnych kołek, a każde z tych kołek inna obraca sprężyna; słychać tylko niekiedy śmiech mocniejszy i wydatniejsze wyrażenia, napół lub zupełnie francuskie. Zobaczmy o czem rozmawiają. — Matrony, których córki znajdują się w kompanii i stare kobiety, rozprawiają o różnych wydarzeniach

dnia tego, które często nikogo interesować nie mogą; opowiadają o różnych osobach i tym, dowcipnie łatki przypinają; udzielają sobie nawzajem ploteczki i bajki, których przez dzień nazbierały; nareszcie parę słów o osobach kompanią składających. W innem miejscu: obok starej damy siedzi młody chłopiec i rozpowiada jej wszystko, co widział, co słyszał w dniu tym bruki szlifując, gdzie był, jak się bawił — słowem baje, trzy po trzy bez sensu, bez ładu; nareszcie kłamie, prawi grzeczności, a stara, wszystko to za dobrą przyjmuje monetę. Po takiej próbie, młodzieniec wydziera się przypadkiem z jej towarzystwa, i zmęczony, znudzony, obtarłszy pot z czoła, przenosi się do innego kółka, gdzie po znudzeniu, zabawić się i odpocząć spodziewa. — Tu znowu słychać poważniejszą rozmowę; jest to kilku mężczyzn letnich, opowiadających sobie to, co widzieli w innych krajach, lub to, co się dzieje w stolicy; z ważniejszych wiadomości, dotyczących polityki, czasem przechodzą do rozmów mniej poważnych, lub mięszają się w rozmowę której z bocznych kompanij. — Na ustroniu, kilku młodzieży zabawia się różnemi farsami i opowiadaniem różnych awanturek warszawskich. Lecz nic zabawniejszego, jak zachowanie się młodzieży z pannami! Słyszysz mnóstwo wyrazów, ciągłe śmiechy, ale zaręczam, że ani słowa nie zrozumiesz; jakieś to niby żarciki, jakieś *bons mots* dowcipne, pewny gatunek galanteryi, ale w tem wszystkiem brakuje sensu, zdrowego rozsądku. Aby mieć co

gadać przez wieczór cały, drobną materyą pochwyconą w takie ubierają farby, że zdaje się, że to coś wielkiego, a jest niczem, — jedynie sposobem na zabicie czasu. — Ujrzysz wśród tej koteryi człowieka młodego, który mało mówi, lub sam siedząc na uboczu zadziwionem okiem na towarzystwo pogląda — zaręczam ci, że to wieśniak. — Po kilku godzinach tych nudów czyli też zabawy, po tysiącznych wzajemnych grzecznościach ze strony gospodarza i gości, po mnóstwie dygów i ukłonów, po galanteryi młodzieży, słychać turkot pojazdów rozwożących towarzystwo. Czyli te grzeczności i okazywania sobie wzajemnej przyjaźni były szczere? — tego nie umiem powiedzieć, bo to do mnie nie należy, a zresztą któż to mógł dojrzeć, gdy noc swym płaszczem obłudę i nieszczerość osłoniła. Wiele było wrzawy, po nich czczość nastała».

Satyryczne to usposobienie, nie przeszkadzało jednak młodemu sensatowi brać udziału w zabawach, a chociaż odrzucał różne a liczne projekty ożenienia jakie rodzina osnuwała, chętnie zbliżał się do pięknych panien. Nie lubił prawić im „duserów“, ale zachowaniem się całem, rozmową, czasami śpiewem, zwracał na siebie ich uwagę. Jedno z przelotnych takich upodobań, zapiszę tutaj własnemi słowy Gustawa, wraz z drobnemi nawet okolicznościami, jako dość znamiennemi.

«W dniu 25 maja, jadąc do Włocławka, napotkałem Juliana R., który bając mi niektóre rzeczy, zapytał w końcu: — Czy będziesz u p. Eustachego

Chełmickiego? — Mam zamiar go odwiedzić — odpowiedziałem. — Lepiej nie bądź u niego, bowiem mocno jest zaambarasowany; a wogóle nie życzę ci być u żadnego z Chełmickich, bo swoją bytnością mógłbyś im tylko sprawić nieprzyjemność. — Nie wchodząc w powody, których skutkiem były ostrzeżenia Juliana, a nie chcąc się nikomu obecnością moją narazić, powiedziałem Julianowi, że bardzo wdzięczny mu jestem za jego przestrogę, że będę tylko w Włocławku, aby niektóre sobie załatwić sprawunki, i odwiedzę panią Rutkowską ze Spethala, do czego obowiązywało mnie wybranie na podopiekuna. — Po tych słowach rozstaliśmy się z sobą. Nie wstępując do Fabianek ani Szpethala, przybyłem do Włocławka i zrobiłem wizytę Bielskim; tam dowiedziałem się, że p. Eustachy Chełmicki ma przy sobie córki. Zaraz na myśl wpadła mi ta uwaga, czyli gadanina Juliana nie miała na celu, aby mnie oddalić od sposobności widzenia Wandy Ch., której opisy powabów z różnych ust do mnie dochodziły. Postanowiłem oddać figiel za figiel, a dowiedziawszy się, że w dniu tym samym panny Chełmickie miały być z ojcem w Fabiankach, nie czekając nic więcej, pośpieszyłem do miejsca, w którem myślałem zastać ten wzór piękności. Omyliłem się, — nie było jej gdym przybył do Fabianek, ale spodziewano się ich wizyty w dniu następnym, a w tym dniu musiałem koniecznie być w Szpethalu; tem tylko słodziłem sobie chwile, że u Rutkowskiej krótko

zabawię i pospieszę zobaczyć Wandzię. Lecz pani Rutkowska tak mnie długo u siebie zabawiła, że musiałem w jej domu zanocować, a dla mnie każda chwila wiekiem się zdawała. Nazajutrz tj. 27-go, opuściłem Szpethal w zamiarze powrócenia do domu; jakieś przeczucie jednak natchnęło mnie, aby odwiedzić Fabianki. I co to jest zbieg wypadków! — śród kobiet grona ujrzałem tę, której tak dawno oczy moje szukały . . . Przybyły kuglarz pokazywał różne sztuki, — goście i domowi otoczyli zręcznisia, a ja obrałem sobie miejsce naprzeciw ślicznej Wandzi, karmiąc oczy jej powabami i nie spuszczając z uwagi najmniejszego jej skinienia. Jej wzrok czasem na mnie rzucony, przekonywał mnie, że lubo nigdy nie widzieliśmy się z sobą, aleśmy się już dawnej znali. Przy obiedzie, jakiś proszek wpadł w jej oczko; gdyby mój całus mógł je wyleczyć i gdyby na niego zezwoliła, jakżebym chętnie jej zaczerwienione pocałował oczko! Po obiedzie zaczęto gry różne; we wszystkich starałem się najbliżej stanąć koło niej, albo trzymając jej rączkę, jakże byłbym rad choć tym sposobem w jej duszę przelać moje uczucia. Po grze skończonej wykupywano fanty: Wandzia osądziła, ażeby ten czyj fant był, ukląkł i ziemię pocałował — wypadło na mnie. Dopełniłem, z tem przekonaniem w sercu, że składam hołd jej wdziękom. Inny fant kazał mi deklamować; wybrałem scenę z *„Precyozy“*, a gdym deklamował:

Serca — to jej zdobycz cała,
Bo kto się raz do niej zbliżył,
Tego niepojętą władzą
W wiecznych więzach zatrzymała.
Urok głosu go zachwyca,
W nocy, świeci blask jej lica;
Tarczę duszy, śmiałe czoło,
Jedwab włosa oplótł wkoło;
Sama Miłość, łuk szkarłatny
Rzędem pereł nawiązała;
Ciemne oko — iskry sieje,
Na jagodzie — róża pała.

«Miałem na myśli obraz Wandy, gdyż te wierszy kilka jest zupełnym opisem jej wdzięków, a ona z wlepionemi we mnie oczyma i z jakąś interesowniejszą uwagą, słuchała tych przezemnie deklamowanych wierszy. — Później tańczono. Wańdzia potknąwszy się o nierówną posadzkę, na kolana upadła; jakże była tem zaambarasowana! — chciała nas przekonać, że ten przypadek nie z jej winy nastąpił. Któż z nas temu nie wierzył; ja sam ją wymawiałem i byłbym chętnie sto razy stłuczone miejsce pocałował. W grze „lisa", gdym się z pytką uganiał za jednym z młodzieży, dosyć mocno uderzyłem ją w rękę; nie umiałem słów znaleźć, aby ją przeprosić za moją niezręczność, choć ona się o to nie gniewała. Słowem: zachwycony, rozkochany, w całem gronie nikogo nie widziałem prócz Wandzi i jej anielskich powabów. Odjeżdżającej, pocałunek gorącej miłości złożyłem na ręku, a ostatnie jej spojrzenie z odjeżdżającego rzucone pojazdu,

spotkało się z mojem. I Jan Jakób Rousseau nie był szczęśliwszy ze swoich miłostek w zamku Thun, z panną Goton i Grafenried, jak ja w tym dniu byłem».

Uczucie to jednak nie stało się trwalszem; [1]) w Warszawie Gustaw zwrócił uwagę na inną piękność, tak, że go posądzano, iż poważniejsze robi o jej rękę starania. I wtedy atoli, przemijającem okazało się upodobanie. Możnaby o kilku miesiącach r. 1833 powtórzyć słowa, któremi Zieliński charakteryzował jeden z nich — marzec. «Jakieś nieprzewidziane zdarzenia spychały mnie z tej drogi, którą sobie iść zamierzyłem. Musiałem jeździć, kiedy najwięcej miałem ochoty kosztować chwili spoczynku; musiałem siedzieć, kiedy najwięcej miałem chęci podróżowania . . . Pod względem sprzeczności z sobą samym, tak wiele doświadczyłem, że nie byłbym w stanie wynurzyć tych uczuć, które mną kolejno miotały. Nie jestem nawet w stanie zdefiniować się, jakim ja byłem w tym miesiącu; miałem chwile, które mnie całkiem przywiązywały do życia; były i takie, w których toż życie było dla mnie ciężarem.

[1]) Gdy jednak w dwa lata potem dowiedział się na Syberyi, że Wanda w kilka miesięcy po śmierci ojca, wyszła za p. Welca, dotknęło go to mocno i w liście do siostry swojej, krok ten potępił: „jeżeli tylko miłość i chęć najprędszego stanięcia w rzędzie mężatek, mianą była na celu, jeżeli wyższe, szlachetniejsze zamiary, nie kierowały uczuciami narzeczonej, to wówczas, nic jej wytłómaczyć nie może przed opinią świata, przepisującego rok i sześć niedziel żałoby, osobom tracącym krewnych najbliższych“.

Raz, rzucałem się pomiędzy towarzystwa, i słuchałem z uwagą i jakąś przyjemnością, plotek i bajek, które mi prawiono; lecz ileż razy, życzyłem sobie okupić nawet spokojność i ustronie, którego znaleźć nie mogłem. Tęsknię, — lecz za kim i po kim, tego nie wiem. Boleśnie wspominam ubiegłe szczęśliwsze chwile; mógłbym być szczęśliwy przynajmniej na czas jakiś, gdybym się zakochał; bo niema przykrzejszego stanu, jak kiedy *w sercu dosyć ognistem,* otrętwienie panuje. Ale cóż? — nie trafiłem na tę, której oko byłoby dla mnie elektryczną iskrą miłości. Jedni wmawiają we mnie, że się kocham, — ci nie znają miłości; inni są przekonani, że ja kochać nie mogę, — ci mnie nie znają. Ja zaś trafiam, szukam, ale nie mogę nigdzie znaleźć tej, której memu sercu potrzeba; możebym znalazł, — ale *zimny rozsądek* taką jest przeszkodą, że często czucie zagłuszy. Ważne więc mam do rozwikłania zadanie: czy byłbym szczęśliwy, gdyby czucie wzięło górę nad zimnym rozsądkiem, czy jestem szczęśliwszy, odwrotnej trzymając się drogi?»

Tymczasem zbierała się burza, która miała nietylko myśli, ale i życie młodzieńca srodze zawichrzyć.

III.

Dążność do odzyskania niepodległości kraju, do walki z trzema zaborczemi mocarstwami, żywo i namiętnie odzywała się w sercach emigrantów naszych we Francyi, pobudzając do przedsięwzięć

szlachetnych w zasadzie, lecz zgubnych w skutkach. Z początkiem roku 1833, miała się na różnych punktach zaboru rosyjskiego, rozwinąć wojna partyzancka, obmyślona przez Józefa Zalewskiego, który się odznaczył walecznością w r. 1831. Emisaryusze, młodzi zapaleńcy, którym się zdawało, że jak tylko pokażą się w znanych sobie stronach, rozrzucą proklamacyę i dadzą hasło do powstania, to wszyscy chwycą za broń i wypędzą wrogów, z otuchą wielką zbliżali się do kraju; lecz w miarę napotykanych przeszkód, chłodli i cofali się z drogi. Sam przewódca wyprawy, Zalewski, wraz z swymi pomocnikami, został aresztowany w Galicyi, tak, że zaledwie kilku tylko przedarło się do Królestwa i na Litwę. Jednym z takich był Kalikst Borzewski, działający w powiecie lipnoskim, jako z tej okolicy pochodzący. W końcu marca 1833 r., odbyła się rewizya w Ugoszczu u p. Borzewskiej, tak ścisła, że nie zważając na stan niebezpiecznie chorej pani domu, jej nawet łóżko przetrząsano. Wypadek ten, rzucił popłoch na całą okolicę, a nikt się nie domyślał przyczyny rewizyi; przypuszczano, że to jest jakiś środek rządowy, aby tajemnie przygotowanemi najściami domów, zdobyć materyał dowodowy, pozorujący prześladowania obywateli, zwłaszcza, że od czasu do czasu, dochodziły wieści o aresztowaniu różnych osób, na które najmniejsze nie padało podejrzenie, jakoby brały udział w rewolucyi.

W tymże miesiącu, przesunęło się przez Lipnoskie kilku emisaryuszów; u Gustawa Zielińskiego

w Krzu, był także jeden, podobno Horodyski, dążący w Augustowskie, a nie znalazłszy go, szukał go w Chrostkowie. Czy miał on do Gustawa jakie polecenie z Francyi od kolegów Zielińskiego, czy też rekomendacye od obywateli dalej go przesyłających? — jakie były jego szczegółowe zamiary? — o tem młodzieniec nasz, nigdy się nie dowiedział, ale zato pewnem się stało, iż na trop tego właśnie emisaryusza, wpadł kapitan żandarmeryi z Włocławka Jurgaszko i zwrócił swe śledcze oczy na Zielińskiego. W tym także mniej więcej czasie, zjawiło się dwóch emisaryuszów (Wołłowicz i Piszczatowski) u Eustachego Chełmickiego w Witoszynie, mających zamiar przedrzeć się na Litwę.

Pomimo to, o ruchu partyzanckim w Lipnoskiem było głucho; ci, co widzieli emisaryuszów, nie umieli czy nie chcieli nic powiedzieć i zachowali doskonale tajemnicę: dopiero ogłoszenie rządowe, ostrzegające, iż wszyscy mający jakiekolwiek stosunki z przybyszami, usiłującymi wznowić w kraju zaburzenia, oddani zostaną pod sąd wojenny, dało do myślenia ogółowi, iż się przygotowują jakieś ważne wypadki. Niebawem też, przesadne wieści o zastępach zbrojnych, zaczęły krążyć po kraju i budzić nieokreślone nadzieje. W końcu kwietnia, Kalikst Borzewski przybył do Prus zachodnich w okolice Brodnicy i tam zaczął swój oddział rekrutować, głównie pomiędzy emigrantami z Królestwa, którzy wyszedłszy do Prus z wojskiem, r. 1831, tam się u obywateli miejscowych zawiesili

szukając utrzymania jako oficyaliści. Borzewski, zbierając i uzbrajając swych partyzantów, spotkał się z Arturem Zawiszą, wracającym z kongresówki i wybierającym się w podróż powrotną do Francyi. Zawisza, młody, zdolny, zapalony, pierwej od Borzewskiego dostał się był do kraju i w chłopskiem przebraniu dotarł do Warszawy. Tu, przez policyą schwytany, potrafił ujść z aresztu; wieść niesie, że mu do tego pomógł generał Witt, ówczesny gubernator stolicy, który wiedząc, że schwytany jest Zawiszą, kazał go osadzić w domu zarobkowym, skąd więzień mógł łatwo uciec. Mając sposobność przypatrzenia się dobrze wyniszczonemu stanowi kraju i apatycznemu usposobieniu mieszkańców, Zawisza doszedł do przekonania, że szaleństwem byłoby zagrzewać ich teraz do powstania. Spotkawszy się z Borzewskim, nie ukrywał swego poglądu i oznajmił, że wraca do Francyi. Borzewski oburzył się, twierdząc, że to jest zdradą sprawy narodowej tak nic nie zrobiwszy, odstępować od przedsięwzięcia, przysięgą stwierdzonego. Zawisza, dotknięty boleśnie zarzutami, oświadczył Borzewskiemu, że pójdzie razem z nim do Polski, z postanowieniem, iż z niej już nie wróci, cokolwiek go spotka. Oddział Borzewskiego składali: Kajetan Kowalewski student uniwersytetu, Kurella uczeń szkoły politechnicznej, Wojtkiewicz powstaniec z Litwy, Siedlecki, Zając żołnierz z wojska polskiego, Moroz dezerter rosyjski i Aksamitowski służący Kurelli. Uzbroiwszy partyzantów w dubeltówki i pistolety,

Borzewski razem z Zawiszą, przeprawili się przez Drwęcę na tratwie w bliskości Radzik i wkroczyli do Królestwa, w nocy dnia 3 maja. Na znak, że rozpoczynają walkę, napadli posterunek kozacki stojący na granicy, a złożony z trzech ludzi: jednego zabili, drugiego ranili wystrzałami przez okno do budy kozackiej danemi i pod zasłoną nocy ruszyli w głąb powiatu Lipnoskiego.

Gustaw Zieliński drugą połowę kwietnia przepędził w Warszawie. Tam go doszły wiadomości o wkroczeniu jednego czy dwu oddziałów do Królestwa, o ich rozproszeniu zaraz na granicy, o otruciu się dowódcy Dziewickiego, wziętego do niewoli, o powieszeniu czy też rozstrzelaniu dwu innych emisaryuszów. Nie mając podówczas jasnego wyobrażenia, ani o celu, ani o doniosłości tych działań, Gustaw był pewny, że wszystko już się skończyło, że to był jakiś wybryk szalony niewielkiej liczby jednostek i z tem przekonaniem wrócił do domu. W dniu 4 maja, będąc u stryja swego w Wierzbicku, gdzie było parę osób, mówiąc o tych wypadkach, mniej więcej takie wyraził zdanie. Obecny tam podobno podsędek z Lipna zaprotestował, uważając rzecz za daleko ważniejszą, bo oto właśnie nadszedł raport urzędowy do Lipna, że jakaś banda wtargnęła w Lipnoskie, że wymordowała posterunek kozacki itd. i że teraz należy się spodziewać doniośliejszych wypadków. Odtąd, nowe wieści nadchodziły z każdą nieledwie godziną; to o pojawieniu się oddziału partyzanckiego w róż-

nych miejscowościach, to o jego sile, którą rozgłos coraz to dalszy nadzwyczaj pomnażał. D. 6-go maja, Gustaw wrócił do siebie na Kierz, aby się usunąć od słuchania wieści, niecierpliwiących go przesadą swoją; a że lubił kwiaty i sprowadził sobie niemało cebulek, nie mając ogrodnika, sam zajął się urządzeniem przed oknami w ogrodzie kwietnika i sadzeniem cebul i flanców. W dniu 7-go maja po obiedzie, kiedy w najlepsze zajęty był ogrodnictwem, dostrzega przez płot dzielący ogród od podwórza, zajeżdżającą bryczkę i wysiadających: Wilczewskiego z Jastrzębia i Ostrowskiego ze Złotopola. Pobiegł ku domowi drzwiami od ogrodu, aby się obmyć, gdyż był ziemią powalany, i przywitać gości. Zastanowiła go ta wizyta, bo ci panowie dotąd u niego nie byli, i on właściwie, jako młodszy i świeżo wchodzący w stosunki obywatelskie, powinien był złożyć im odwiedziny. Po krótkiej nic nieznaczącej rozmowie i zapytaniu, czy Gustaw nie ma dokładnej mapy Polski, zaczęli się dowiadywać co tu u niego słychać.

— Nic, — odpowiedział Gustaw — bo tu nikogo nie widzę; ale gdzie się tylko ruszę, to spotykają mnie wieści o oddziale, który miał wkroczyć i to z takiemi przesadzonemi okolicznościami, że nieledwie przypuścić muszę, iż to jest tylko urojenie.

— Otóż my możemy panu coś dokładniejszego o tem wszystkiem powiedzieć, bo właśnie od nich jedziemy. Jest tu Borzewski i Zawisza, i je-

szcze jeden dawny kolega i przyjaciel pański, którego nie pamiętamy; koniecznie chcą się z panem widzieć i nas tu w tym celu przysłali. Znajdują się tu niedaleko w lesie lubowieckim. Sami pana zawieźć nie możemy, bo nie chcemy na siebie zwracać uwagi przez częste kręcenie się na jednem miejscu, ale tu przyjdzie leśny z Lubowca, Kamiński, który pana zaprowadzi.

Po odjeździe owych panów, Gustaw biedził się z myślami co robić. Ciekawość, żeby się rzetelnej prawdy dowiedzieć i zobaczyć dawnych kolegów uniwersyteckich, przemogły nad radami chłodnego rozsądku. Poszedł więc w kierunku Lubowca i niebawem spotkał Kamińskiego, który mu się przedstawił jako dawny wojskowy i oświadczył, iż ma polecenie zaprowadzić go do pana dowódcy. Kiedy weszli w las lubowiecki i zwrócili się w gęstwinę, Kamiński kazał Gustawowi ukryć się w gąszczu, gdyż ujrzał zdala jakichś ludzi, sam zaś poszedł naprzód by się dowiedzieć, kto są oni, a powróciwszy oznajmił, iż są to właśnie partyzanci, co przyszli do bagienka po wodę. Był to Zawisza z Aksamitowskim: obaj mieli pistolety za pasem. Przywitawszy się z Zawiszą jako kolegą uniwersyteckim, Gustaw poszedł z nim w las, a wodę ponieśli Kamiński i Aksamitowski. Po półgodzinnej drodze, stanęli w obozie w lesie chrostkowskim, w miejscu najbardziej oddalonem od wszystkich mieszkań ludzkich. Kamiński miał tę ostrożność, że obierając schronienie dla oddziału

wskazał je poza granicami lasu lubowieckiego, aby sam jako leśny, mógł ujść podejrzenia i odpowiedzialności. Obóz nie miał nic poetycznego: kilka dubeltówek opartych o sosny, kilka płaszczów rzuconych na ziemię, ognisko wygasłe i parę butelek próżnych, — to i wszystko. Za nadejściem Zawiszy i Gustawa, podniósł się z płaszcza na którym leżał, wysoki dowódca, któremu Zieliński został przez Zawiszę po wojskowemu, z ręką przyłożoną do czapki, zameldowany. Inni, otoczyli przybysza i rozpoczęły się powitania: z Kowalewskim, jako dobrym kolegą od ław szkolnych i uniwersyteckich, i z Borzewskim, z którym Gustaw był na jednej pensyi w Toruniu, lubo znacznie młodszym. Po powitaniach i przypomnieniach, rozpoczęła się ogólna rozmowa. Borzewski wypytywał Gustawa, jako niedawno z Warszawy przybyłego, czy tam dużo jest wojska. Zieliński wiedział tylko ogólnie, że wojska nie brak, ale nie umiał oznaczyć, ani jego liczby, ani rozpołożenia. Następnie, mówiono o rannym znajdującym się w obozie. Był nim Kurella, młody, wysoki, silnie zbudowany, ogorzałej prawie czarnej twarzy; w napadzie na posterunek kozacki na granicy, dostał loftką w piersi od któregoś ze swoich; pierś spuchła i ogromnie się zaogniła, — cierpiał silnie, co widać było na obliczu, ale mężnie znosił to cierpienie. Ponieważ za dni parę obóz miał ruszyć dalej, Borzewski prosił Zielińskiego, aby się zajął wywiezieniem i ułatwieniem ucieczki rannemu. Gustaw odrzekł: że musi się nad tem zastanowić

i że nazajutrz da odpowiedź. Borzewski i Zawisza dawali mu proklamacyę, ale ten jej nie przyjął, oświadczając: że wprawdzie jej sam nie czytał, ale z opowiadania innych wie o jej treści.

— Kiedy znasz proklamacyę — rzekł Borzewski — to wiesz, w jakim celu przychodzimy; powinieneś nas wspierać wszystkiemi siłami.

— To niepodobno — odpowiedział Zieliński.

— Dlaczego?

— Bo kraj nie ma możności, ani chęci wspomagania was; macie na sobie dowód najlepszy, Weszliście w środek powiatu, rozrzuciliście proklamacye, bawicie tu już dni kilka, a dotąd się nikt z wami nie połączył.

— Jesteśmy zawiedzeni; myśmy się zupełnie czego innego spodziewali.

— Nic innego spodziewać się nie mogliście, bo to powinno było wam być wiadome, że kraj zniszczony wojną, zbiedniały, zdziesiątkowany przez wojnę i cholerę, którego cały kwiat młodzieży zginął lub wyszedł za granicę, któremu wszelką broń odebrano, — że kraj taki, ani pomyśleć nawet nie może o robieniu powstania. Ale chciejcie mnie panowie objaśnić, czy wasze rachuby tylko na wywołanem w kraju powstaniu były oparte?

— O! nie; rewolucya była przygotowana i miała jednocześnie wybuchnąć w całej Europie . . .

— Dotychczas wszędzie spokojnie; wiecie zapewne o wypadkach we Frankfurcie nad Menem,

ale to wyglądało więcej na burdę uliczną, niż na ruch rewolucyjny.

— Tak, to się nie powiodło; ale to jeszcze nie koniec . . . to wkrótce nastąpi.

— Więc dlaczegoż nie czekacie, aż cała Europa będzie w płomieniu? poco było napadać posterunek kozacki? Tym sposobem obudziliście czujność władz i użycie środków, które dla was i dla nas będą mieć najsmutniejsze następstwa.

— My napadliśmy kozaków jedynie w tym celu, żeby zrobić rozgłos i żeby dać hasło innym oddziałom do rozpoczęcia kampanii.

— Zdaje mi się, że się w tem zawiedziecie, bo chociaż już czas pewny upłynął, w najbliższych okolicach nic nie słychać, aby się miało coś podobnego objawić. Mojem zdaniem, jak teraz widzę te rzeczy, to nie pozostaje wam nic innego, jak wrócić tam, skądeście przyszli; tym sposobem siebie ocalicie, a kraju nie narazicie na większe nieszczęścia.

Borzewski protestował, ale widać było zwątpienie na jego twarzy; Zawisza milczał.

Po tej rozmowie, Zieliński pożegnał oddział, obiecawszy przywieźć im piwa, gdyż w miejscu odległem od wody, cierpieli niedostatek napoju. Kamiński wyprowadził go na drogę; Gustaw poszedł do Chrostkowa, siedziby swego ojca.

Położenie było niebezpieczne. Rząd obmyślił wszelkie środki, aby jak najprędzej stłumić partyzantkę. We wszystkich wsiach, ustawione były warty; po drogach krzyżujących, ruszyć się nie było można bez legi-

tymacyi. Tymczasem ściągały się wojska piesze i konne do Lipna, celem robienia obławy, a kozacy odbywali po kraju patrole. Każdy krok oddziału partyzanckiego, w skutek licznych denuncyacyj, był wiadomy władzy; siedząc tylko cicho w lesie, mogli się na jakiś czas od poszukiwań uwolnić. Osoby, na które padało podejrzenie, że miały jakąkolwiek styczność z partyzantami, ulegały aresztowaniu. Wywiezienie zatem Kurelli i dostawienie żywności do lasu, połączone było z niemałem niebezpieczeństwem. Należało we wszystkiem zachować ostrożność największą, nawet ze służbą, żeby się który z czem nie wygadał, gdyż policya i żandarmerya były nadzwyczaj czujne.

Dnia 8 maja rano, wrócił Zieliński z Chrostkowa do siebie, a nad wieczorem kazawszy włożyć w brykę: sądek z piwem, szynkę, chleb, masło, jakoby dla ojca, sam wsiadł na wierzchowca; furman miał bowiem z Chrostkowa, wrócić tego samego dnia na Kierz, a Gustaw, zanocować w Chrostkowie i dopiero nazajutrz przyjechać konno. Gdy wjechano w las chrostkowski do miejsca, gdzie odchodziła droga wiodąca do obozu partyzanckiego, Gustaw kazał furmanowi zatrzymać się, a przekonawszy się niby, że nie wziął ze sobą kapciucha z tytoniem, polecił mu wrócić poń na Kierz, sam zaś miał zawieźć brykę do Chrostkowa. Kiedy furman zniknął mu już z oczu, Zieliński zawrócił bryczkę i pojechał do obozu, gdzie oddał wiktuały. Oddział, miał jeszcze tej nocy ruszyć dalej, pozosta-

wiając rannego Kurellę, którego nazajutrz rano miał Zieliński odwiedzić i naradzić się co dalej począć. Z tem pojechał do Chrostkowa, a furman ledwo w godzinę po nim przybył z kapciuchem i zaraz powrócił z bryczką na Kierz, zostawiwszy panu wierzchowca. Nikt się ani domyślał, co się stało z baryłką piwa i wiktuałami: w Chrostkowie o tem nie wiedziano, a na Krzu nikt nie podejrzewał, że one gdzieindziej mogły się zostać, a nie w Chrostkowie.

Nazajutrz, 9 maja rano, Zieliński wyjechał konno z Chrostkowa i udał się wprost do miejsca, gdzie stał obóz. Oddziału już nie było, tylko Kurella w gorączce, ze spalonym językiem i wyglądający tak, jakby miał godzinę tylko do śmierci. Ten widok tak przeraził Gustawa, że zrobiło mu się słabo i był blizki zemdlenia; leżał obok Kurelli z kwadrans, nim przyszedł do siebie, choć przytomności ani na chwilę nie stracił. Co on miał ratować Kurellę, to Kurella ratował jego, dając mu trochę pozostawionej przez towarzyszy na dnie kubła wódki. Przyszedłszy do siebie, Gustaw nabrał przekonania, że z Kurellą nie jest jeszcze tak źle. W ciągu dnia, miał się nim zająć leśny Kamiński, a pod wieczór odprowadzić do Zielińskiego, który odjechał uspokojony; ale poprzednie przejścia tak go znękały, że zabłądził w lesie i dużo nadłożył drogi. Nie wiedząc gdzie się znajduje, wyjechał z lasu na drogę w chwili, gdy kilkoro ludzi szło z Lubowca do Chrostkowa na nabożeństwo; — spotkanie to

w owym czasie, mogło mieć dla Zielińskiego nieprzyjemne następstwa. — Wieczorem, już się zmierzchało, kiedy dano mu znać, że przyszedł posłaniec z listem z Sumina. Był to właśnie Kurella. Gustaw dla odwrócenia wszelkich podejrzeń, zawołał gospodynią, — kazał dać kolacyę mniemanemu posłańcowi i wysłać go spać na szopę; nazajutrz miał się stawić po odpowiedź. Na drugi dzień, gdy przyszedł rano po tę rzekomą odpowiedź, opowiadał Gustawowi, w jakich to on był obrotach z powodu ciekawości gospodyni, zarzucającej go pytaniami, na które on, nie znając osób, ani okolicy Sumina, nie wiedział co rzec — plótł więc, co mu ślina do ust przyniosła. Zieliński zmyślając, że ma zamiar jechać w kierunku Sumina, powiedział głośno Kurelli, że go może zabrać ze sobą; jakoż wziął go na kozioł i ruszyli bocznemi drogami przez Jarczewo, Chodorążek, Chlebowo do Jastrzębia. W podróży tej, najtrudniejszym punktem do przebycia było Chlebowo, bo tam stała warta, ale na szczęście odbywał się jarmark w Lipnie. Wiele ludzi jechało i szło przez Chlebowo do Lipna, więc nie zważano i na naszych podróżnych, sądząc, że spieszą na jarmark. Przekonał się też w tej podróży Zieliński, jak wytrzymałej natury był Kurella, siedzący na koźle. Każde trącenie o kamień, zadawało mu z powodu rany, bóle nieznośne; żeby przed furmanem nie zdradzić się: nie syknął, nie stęknął, a twarz wykrzywioną bólem ku Gustawowi odwracał, — było to istne dla niego

męczeństwo. Przybywszy do Jastrzębia, nie zastano właściciela Wilczewskiego — był w Lipnie na jarmarku. Znajdował się tylko Stanisław Romocki z Łążyna z którym Zieliński wtedy się dopiero zapoznał, jemu oddając Kurellę. Sam zaś, pośpieszył do Lipna by Wilczewskiego uprzedzić, iż nie znając nikogo nad granicą pruską, osądził za najstosowniejsze, zawieźć rannego emisaryusza do Jastrzębia. Ponieważ Wilczewski nie miał w Lipnie koni, więc go zabrał z sobą Zieliński i zawiózł do jego domu, gdzie zastano jeszcze Romockiego. Zanim Gustaw odjechał, już Wilczewski kazał założyć do bryki i puścił się z Kurellą w kierunku granicy pruskiej.

Na tem się skończyły stosunki Zielińskiego z emisaryuszami. Wprawdzie, spotkał się raz jeszcze z Zawiszą (pod nazwiskiem Ciechomskiego), d. 27 maja u Chełmickich w Fabiankach, na imieninach czy jakiejś zabawie, ale o polityce nic z nim nie mówił, a nawet się nie spytał, co myśli robić dalej.

Losy oddziału partyzanckiego były smutne. Wyruszywszy nocą z lasu chrostkowskiego, przeszedł on przez Skępe około jeziora i tam na moście spotkał wartownika Niemca, który przerażony widokiem ludzi zbrojnych, zeznał potem do protokółu: iż widział ułanów polskich na koniach i to w liczbie pięćdziesięciu. Zrobił się tedy ogólny alarm. Wojsko nadesłane z Lipna, łącznie z całemi gminami, rozpoczęło obławy po lasach; partyzanci, nie mogli już wysiedzieć w boru, gdyż obława

wytropiłaby ich łatwo. Obywatele więc okolic Dobrzynia nad Wisłą, rozebrali ich pomiędzy siebie i przechowywali. Zielińskiemu podsuwano myśl, wywiezienia wszystkich do Prus. Borzewski zgodził się na to, ale Zawisza nie; więc Borzewski oddał mu komendę. W początku tedy czerwca, zebrał Zawisza w Zarzyczewie oddział, zmniejszony ustąpieniem Borzewskiego i Kowalewskiego, a powiększony Palmartem, Dąbkowskim, Weberem i Luboradzkim. Z tym oddziałem, przeprawił się przez Wisłę i doszedł do lasów krośniewickich tam, otoczony przez wojsko, po dzielnym oporze, dostał się do niewoli; jeden tylko Siedlecki ratował się ucieczką; reszta — uwięziona.[1])

Życie Gustawa Zielińskiego, od maja r. 1833, weszło w zupełnie nową fazę — osiedzieć się na miejscu już nie mógł. Czekało go albo uwięzienie, albo też dobrowolne a tajne opuszczenie kraju. Aresztowania osób, mających stosunki z emisaryuszami, rozpoczęły się jednocześnie z wkroczeniem oddziału partyzanckiego w Lipnoskie, ponieważ mniej więcej szły tym porządkiem, jak się kto wcześniej lub później „skompromitował". Gustawa kolej jakoś mijała; ale on nie dowierzał szczęściu i trzymał się na uboczu: mało w domu, więcej przesiadując w Chrostkowie i Wierzbicku. Gdy

---

[1]) Całe to opowiadanie o stosunkach Zielińskiego z emisaryuszami, jest prawie dosłownem powtórzeniem własnej jego relacyi, spisanej około roku 1863, a dołączonej do jego „Dziennika".

nadeszła wiadomość o ujęciu Zawiszy i jego towarzyszów, Gustaw już był pewny, że katastrofa nieunikniona, tem bardziej, gdy aresztowania rozpoczęły się na większą skalę. Ostrożność radziła wydalić się w dalszą okolicę; nastręczyła mu się po temu sposobność, gdyż na koniec czerwca wezwany został do Warszawy, w interesie nieletnich Rutkowskich, jako podopiekun. Przed wyjazdem, wyznał ojcu całą prawdę. Ojciec chciał się dla niego poświęcić, radząc, ażeby w razie aresztowania winę złożył na niego — że kiedy oddział był w lesie chrostkowskim, z jego to rozkazu dał pomoc rannemu. Tej obrony Gustaw przyjąć nie mógł, raz: że się opierała na kłamstwie, a powtóre: że kompromitując ojca, bynajmniej nie ocalała syna; postanowił więc „iść prawdą i zdać na Boga swoją przyszłość“. Dnia 17 czerwca, zaopatrzony w paszport, pożegnał ojca i ciotkę, która całując go ze łzami, przeczuciowo powiedziała: „już ja cię więcej, mój Guciu, nie zobaczę“. Z oczyma łez pełnemi, Gustaw pożegnał ich i w dwa dni potem 19-go czerwca był już w Warszawie.

Sprawa nieletnich, wizyty u krewnych i znajomych, kawiarnie i restauracye, spacery i kąpiele, wypełniły mu czas do końca miesiąca. Przełożył wtedy z „Feuilles d'automne“ Wiktora Hugo ładny wiersz *„Do młodej kobiety“;* ale niezbyt szczęśliwie. Dnia 1 lipca opuścił Warszawę, pożegnawszy znajomych w ogródku na Pradze. Przez Zegrze i Rożan, przybył do stryja Feliksa w Suchcicach, a stąd

zabrał się z podkomorzyną Zielińską do jej majątku — Przetyczy, gdzie zabawił od 8-go do 13-go lipca, czytając dużo i tworząc trochę poezyj okolicznościowych. Następnie przeprawiwszy się przez Bug, na Czarną, Ożarów, udał się do Żukowa, skąd znowu wrócił do Przetyczy, ażeby tu przez koniec lipca i połowę sierpnia zabawić.

IV.

Ani daty, ani miejsca aresztowania Zielińskiego nie znamy; wiadomo tylko, że nastąpiło ono pod koniec 1833 r. Przewieziony do Warszawy, przesiedział częścią w cytadeli, częścią w ludwisarni przeszło pół roku; wyrokiem sądu wojennego z d. 29 lipca 1834 roku, skazany został na osiedlenie w Syberyi, i zaraz w parę dni potem, z liczną partyą jak on politycznych przestępców, wywieziony. O tem wywiezieniu, mamy wiadomość w przechowanym współczesnym liście Karola Zielińskiego, b. generała wojsk polskich, datowanym d. 2 sierpnia 1834 r. z więzienia u Karmelitów na Lesznie. Pisze on w takowym co następuje: „Wszystkich tych nieszczęśliwych co wywożą do Rossyi, kują na Pradze w kajdany; ten sam los spotkał Gustawa i Chełmickich. Żona Chełmickiego z domu Nałęcz, tak dopilnowała chwili wywożenia, że wpadła dość wcześnie na Pragę, aby się rzucić w objęcia męża obarczonego kajdanami. Pęcherzewski i inni obecni urzędnicy, stanęli jak posągi wryci, nieśmiejąc, ani

ich rozłączać, ani przyśpieszać odjazdu. Scena była prawdziwie rozczulająca, w której moc duszy kobiety, okazała się wyższą nad mężką. Bo gdy widziała rozpaczającego męża, niemogącego się uspokoić i ciągle wołającego: „O moja żono! — o moje dzieci!“ zdobyła się na te prawdziwie szczytne wyrazy: „Bądź spokojny, zostawiasz im matkę, zostawiasz im Polkę; pomnij, że dziś cnota w kajdanach, a zbrodnia swobodnie się przechadza“, Gustaw, nie stracił słyszę nic ze swej szlachetności i przytomności; uśmiechał się tylko, potrząsał kajdanami, nazywając je bransoletkami“. Szczegóły tej przymusowej podróży, pomieścił w listach do siostry (Górskiej z męża), pisanych w roku 1835. Jako obraz wrażeń 26-cio letniego młodzieńca, wyrwanego z pośród zajęć gospodarskich i prac poetyckich, zasługują one na poznanie. Przytaczam je więc dosłownie.

«Opuściwszy Warszawę wieczorem 29 lipca, na drugi dzień o tej samej godzinie, przejechaliśmy granice Królestwa Polskiego pod Brześciem, a w dziesięć dni później, stanęliśmy w Moskwie. Przejazd ten niewiele miał dla mnie powabu; nie nastręczyło się nic oczom moim, coby mogło zagłuszyć najsilniejsze wrażenia, że opuściłem to wszystko co było drogie sercu mojemu i że was może nie tak prędko zobaczę. Piasczyste równiny Litwy, nędzne kurne chaty włościan litewskich, i gospodarstwo wiejskie na niższym niż u nas stopniu stojące, jeszcze więcej do melancholii myśl moją uspo-

sabiały. Minąwszy Mińsk, wstąpiliśmy na trakt wypadków historycznych 1812 roku. Każde miejsce, grające wielką rolę w świetnych dziejach Rosyi ostatniego wieku, zastanawiało myśl moją i dziwiło, że ręka Wszechmocnego, tak niepozorne wybrała miejsca, na rozstrzygnienie tak wielkich zadań historyi. Olbrzymie mury Smoleńska, noszące całą cechę dalekiej starożytności, jeszcze zachowały wyłom ostatniej walki pod tem miastem stoczonej. Nadbrzeża Dniepru, przez który trzy razy przejeżdżaliśmy, są piękne a nawet malownicze; poza Smoleńskiem aż do Moskwy, kraj coraz piękniejszy, coraz bogatszy — obszerne i dobrze zabudowane miasta i sioła, ziemia dobra i urodzajna, przytem przemysł mieszkańców, w innym razie i w mniej pośpiesznej podróży, mogłyby dla badacza przyczyn, stać się przedmiotem dłuższej rozwagi; lecz ja, przyznać się mogę, że dopiero ze snu mojego przebudziłem się, gdy o dwie mile od Moskwy, w całej kolosalnej wielkości, ujrzałem tę północną stolicę, najeżoną tysiącami wież i wieżyczek, i błyszczącą złotemi kopułami Kremlinu.

«Przyznać się muszę, że zewnętrzna okazałość Moskwy silniejsze na mnie uczyniła wrażenie, aniżeli wewnętrzna, którą dosyć dobrze poznałem w przejeździe kilkakrotnym wdłuż i poprzek, dla odbycia koniecznych form meldowania. Lubo miasto jest ogromne, ulice szerokie i dobrze brukowane, lubo wiele znajduje się pysznych gmachów, jednakże zdaje mi się, że połowa miasta jest dre-

wnianą, i chociaż dosyć jest piękna ich powierzchowność, jednakże z czasem każdy dom drewniany zmienia formy, a tym sposobem dla oka traci widok symetryi i porządku — warunków, których w każdem wielkiem mieście żądamy. Prawdziwie pięknym i do uszanowania pobudzającym, jest na wzgórzu śród miasta wznoszący się starożytny Kremlin, i lubo w r. 1812 wiele ucierpiał, staraniem władców Rosyi przywrócono mu dawną, starożytną powagę. Dziś przestał być fortecą: fosy dawniejsze zmieniono w ogrody, — na basztach herb państwa połyska. Moskwa wiele ma bulwarów — ale czy to wina ziemi czy klimatu, drzewa mają jakiś kształt karłowaty i po większej części są brzeziną, która nie jest dobrą na upiększenie spacerów publicznych.

«Po trzydniowym odpoczynku w Moskwie, udaliśmy się w dalszą drogę. Tu dopiero nastręczyły mi się widoki, więcej na moją działające wyobraźnią, bo już nosiły cechę innej części świata, innych ludów, innych religij i zwyczajów, nieznanych mi wcale, lub niedokładnie pojętych z książek, najczęściej kłamstwami zapełnionych.

«Nim przystąpię do wyszczególnienia dalszych wypadków mojej podróży, muszę ci opisać jedno z wrażeń, jakiego w Moskwie doznałem. Trzeba ci wiedzieć, że miasto to, zapewne ze wszystkich chrześcijańskich, największą posiada liczbę kościołów i klasztorów panującego wyznania. Architektura cerkwi rosyjskich jest odmienną od naszych ko-

ściołów — można przyznać, że jest bardzo piękną. Jest to budynek piętrowy, nad którym w miejscu gdzie ołtarz się znajduje, wznosi się wieża, po większej części pięciokopułowa, a prócz tej, jest druga daleko wyższa, służąca zarazem za wielkie drzwi wiodące do świątyni i za dzwonnicę. Każda z dzwonnic posiada najmniej ośm dzwonów na tony ułożonych, co stanowi oktawę, a często na jednej dzwonnicy można znaleźć rozmaitej wielkości dzwony, w liczbie dwudziestu i więcej. Monastery czyli klasztory greckiego wyznania, przedstawiają pozór fortecy, ząbkowanym otoczonej murem i najeżonej basztami. Bardzo piękny opis monasteru, jest w poemacie Kozłowa p. t. *„Czerniec“ (Mnich),* z którego niektóre wyjątki na nasz język przełożyłem. Następujący, który umieszczam, a który dosyć jest wiernym przekładem, jest oraz obrazem, jakiego żaden malarz lepiej zdjąć nie potrafi:

Po za Kijowem, kędy Dniepr szeroki
Szumiącą falą uderza w brzeg kręty,
Pośród zarośli na górze wysokiej,
Stoi Zakonu dom święty.
Wokoło niego mur zbrojny ząbkami,
Baszta na każdym podnosi się rogu,
A w samym środku gmach święcony Bogu,
Z pozłoconemi wieżami.
Rząd cel zakonnych i ciemne przechody,
Dalej kaplica koło świętej bramy,
W kaplicy obraz słynący cudami,
A obok, zimny zdrój wody:
Niosący zdrowie jego kryształ czysty,
Mruczy pod cieniem lipy wiekuistej.

«W Moskwie tedy, cerkwi i klasztorów liczba jest podobno 270, a nawet kto wie, czy nie więcej. Było jakieś święto — kiedy rozległ się jednocześnie odgłos dzwonów we wszystkich kościołach, wzywając na nabożeństwo. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy pierwszy raz usłyszałem ten ogrom nieznanej, dzikiej harmonii: to całą siłą słuch mój uderzając, to słabnąc, kiedy się tylko w głuchy szum zamieniała, to w ryczących olbrzymich tonach, to w cienkich, drgających, metalicznych dźwiękach, — zdawało się, że jakąś czarodziejską siłą powietrze w rozhukany ocean harmonii zmienione, miotało słuchem moim i mojemi uczuciami; dopiero pojąłem (bo sam czułem), ten piękny ustęp o dzwonach w romansie Wiktora Hugo: *Notre dame de Paris.*

«Po wyjeździe z Moskwy traktem kazańskim, pierwsze znaczniejsze miasto na drodze naszej, był Włodzimierz, dawniej stolica udzielnego księstwa, dziś gubernii tego nazwiska. Odległość 175 wiorst, przebyliśmy w półtora dnia, ale żadna droga nie dała się nam tak we znaki: bo też nie możesz sobie wyobrazić trudów, jakie przezwyciężyć trzeba było. Wam w Polsce, nieznane poczty rosyjskie: można przyznać, że niema lepszych w całym świecie pod względem szybkości; nieszczególne na pozór konie, mogą w najtęższym galopie od stacyi do stacyi, przebiegać wiorst do 30 — tak mocno zbudowane i wytrzymałe. Ale bryczki pocztowe, które tu nazywają *„telegami“*, są najniegodziwsze! są one zu-

pełnie podobne do tych, jakiemi u nas markietani rosyjscy towary przewożą: bez dyszla, tylko w hołobli; koła dosyć wysokie, siedzenie na osi. Trakt wiodący z Moskwy do Włodzimierza, przechodzi same prawie grunta białyczkowate; grunt podobny na wiosnę i z jesieni, formuje nadzwyczajne błoto i topiele; mieszkańcy chcąc temu zaradzić, dali na trakcie *mostowanie,* ale z okrąglaków lekko ziemią przysypanych; wiorsty, mile, a nawet stacye całe, po samych okrąglakach trzeba przejeżdżać. Wyobraź więc sobie, trójkę koni lecących bez upamiętania, trzęsącą po dylach telegę, od której na łokieć czasem w górę odskakiwałem — dodaj do tego upał dnia, i chmury pyłu nas okrywającego i duszącego, a jeszcze nie będziesz miała dokładnego wyobrażenia naszej podróży. Ból piersi, z pewnym rodzajem kłócia połączony, potłuczenie i rozstrojenie całej fizycznej ciała budowy, było wypadkiem tej drogi. Jakeśmy ją minęli, zdawało nam się, że nowe rozpoczęliśmy życie. Największemu memu nieprzyjacielowi nie życzyłbym podobnej przejażdżki. Cierpiący mizererę pewnieby ozdrowiał, a kto wie czyby i umarły nie zmartwychwstał, przejechawszy paręset wiorst podobnym sposobem.

«Jedziemy dalej traktem kazańskim i mijamy Włodzimierz; aż do samego Niżnowgrodu najprzyjemniejsze widoki przedstawiają się oku podróżnego: kraj ludny, bogaty, dobrze zagospodarowany, ziemia najurodzajniejsza, mogąca iść na równi z ukraińską, — słowem wszystko, wszystko nosi cechę wiecznie

płodnej matki natury. Jeżeli myśl człowieka zapuści się od skutków do przyczyn, jeśli zbliży się do Twórcy wszechrzeczy, na każdem miejscu, w każdym przedmiocie uderzającym umysł i zmysły nasze, napotyka tę symetryczną, harmonijną cudowność, ten wyrachowany porządek i zadziwiać się tylko musi nad nieograniczoną opatrznością ręki Przedwiecznego; — zdaje się, że świat tworząc, nie zapomniał On o najmniejszym jego zakątku: że odmawiając mu jednych darów, starał się tysiącem innych wynagrodzić. I w tych okolicach przez które przejeżdżaliśmy, wszystkimi darami przyrodzenia opatrzonych, brakuje tylko łagodniejszego klimatu; ale gdyby też nad tą ziemią miało przyświecać Grecyi lub Italii słońce, byłby to drugi raj na ziemi. Nie mogę tu pominąć pięknego widoku, który mnie w przejeździe zachwycił, tj. romantycznego położenia wołości „Worsma“, należącej do grafa Szeremietiewa. Wołość obszerna w kształcie miasteczka, mająca pięć cerkwi, położoną jest na brzegu obszernego jeziora, przez które dwie rzeki przepływają; śród jeziora na wyspie, wznosi się monaster podobny wyżej opisanemu. Archipelag drobnych wysepek połączonych mostami, stanowi komunikacyę świętego ustronia z resztą ziemi; wyspy wszystkie, ocienione drzewami, zdają się być klombami najpiękniejszymi, cudownie na powierzchnią wody rzuconymi; dodaj do tego: wzniosłe góry podnoszące się po drugiej stronie jeziora, a będziesz mieć wyobrażenie, tego razem do marzeń wzno-

szącego i zachwycającego obrazu; cóż dopiero, gdybyś nań poglądała z wierzchołka góry, na którą wjeżdżałem i gdybyś była w tem usposobieniu duszy, w jakiem ja byłem naówczas! . . .

«Na całej drodze wiodącej od Moskwy do Niżnowgrodu, odległości 450 wiorst, napotykaliśmy nieprzeliczone mnóstwo ludu, jadącego lub pieszo idącego do Niżnowgrodu lub stamtąd wracającego, czego przyczyną był jarmark zwany „makarejski". Niżnowgród czyli Niżna jest miastem dosyć pięknem; leży nad ujściem rzeki Oki do Wołgi. Oka pod Niżną będzie miała szerokość Wisły, ale głębokość nierównie większą. Jakież było moje zadziwienie, kiedy spuszczając się z nadbrzeżnej góry, na której część miasta położona, ujrzałem całą przestrzeń wody na Oce, od mostu aż do jej ujścia wynoszącą ze dwie wiorsty, zasłaną statkami; ta masa tysiąca łodzi, zdawała się miastem pływającem z nieprzejrzanym lasem masztów (najmniejsze z tych statków wyrównywają naszym berlinkom); a cóż dopiero ten ruch handel prowadzącej ludności, ta masa towarów Wschodu i Zachodu, to zmieszanie się ludów Azyi i Europy — jakiś urok, jakąś nowość miały dla moich europejskich oczu. Zdaje mi się, że nie mogę ci dać lepszego porównania nad to, że w takim jest stosunku nasz jarmark łowicki (który jest najpierwszym w naszym kraju), do jarmarku makarejskiego w Niżnowgrodzie, w jakim jest Królestwo Polskie, do całego imperyum rosyjskiego. O dwieście wiorst za Niżną, rozpoczyna się

gubernia kazańska. Lubo dzisiejsza granica Azyi i Europy ustanowiona jest łańcuchem gór Uralskich, podług mego zdania, rozpoczyna się Azya z początkiem gubernii kazańskiej; wszystko nagle się zmienia: ludy, odzież ich, religia, zwyczaje zupełnie odmienne od europejskich. Ich pokolenie już zbliżone do mongolskiego.

«Przestrzeń cała od gubernii kazańskiej aż do Tobolska, osiadła jest różnymi ludami: na wstępie zamieszkują Czuwacze i Czeremisy; za Kazaniem — Tatarzy; dalej w wiatskiej gubernii — Wotiaki; w permskiej — Czeremisy i Tatarzy; w tobolskiej — Czuwacze, Tatarzy i inne narody, które jak Ostiaki i Samojedy, zamieszkują tylko głęboką północ Syberyi. Nie sądź jednak, aby te ludy, których język, religia, obyczaje, zwyczaje i zabobony, najmniejszego podobieństwa nie mają ze Słowianami, były wyłącznymi właścicielami tej ziemi, na której zamieszkują. Może to było przed wiekami, lecz dziś tworzą tylko pewne familie, pewne osady, gdy cała przestrzeń jest Rosyą i rosyjskim osiedloną narodem. Jak drobne granatów odłamki, wkropione w skałach granitu, tak te narody nikną na wielkim obszarze Słowiańszczyzny.

«Czuwacze, Czeremisy i Wotiaki, o których pewnie nigdy nie słyszałaś, najwięcej na siebie zwrócili moją uwagę. Jaki ich ród i pochodzenie, jaka ich przeszłość, pamiątki i początek? — niech to będzie zostawione badaniom uczonych; ja zaś chcę ci dać wierny obraz tego, na com patrzył włas-

nemi oczyma. A mianowice co do ich ubioru: ten nie ma nic w sobie ani azyackiego, ani europejskiego; zdaje się być osobnym, właściwym ludowi, który go używa. W przejeździe latem, nie mogę widzieć, jakim jest ich ubiór zimowy; letni zaś mężczyzn składa się: z koszuli na spodnie opuszczonej, której długość kolan sięga; koszula ta, od wierzchu do dołu w różne desenie wyszyta jest taśmami i sznureczkami, po większej części ponsowego koloru, lecz prócz tego i inne kolory na wyszyciach postrzegać się dają. Koszula ta wielkie ma podobieństwo do ornatów naszych księży. Głowę nakrywają kapeluszem u wierzchu zwężonym lub czapką z pilśni, mającej do szlafmycy podobieństwo; na nogach łapcie łyczkowe. Ale daleko dziwaczniejsze i oryginalniejsze jest ubranie kobiet. Na głowie noszą pewien rodzaj czółek, drobnemi metalowemi blaszkami nabijanych; czółka te, sięgają od ucha do ucha, tył zaś głowy jest osłoniony; przy uszach noszą kolczyki (ale nie takie jak nasze damy europejskie): jest to pęk kółek, najczęściej mosiężnych, rozmaitej wielkości, z których niektóre mają do pięciu cali średnicy; te pęki kółek są zawieszone przy uszach, a od nich idzie pod brodę pewien rodzaj podpaski. Ubiór ich zwierzchni podobnym jest także do koszuli, mniej jednak wyszywanej niż u mężczyzn, kolan tylko sięgającej; na przodzie noszą tablicę, która całe osłania piersi, a która również nabitą jest nieprzeliczoną liczbą tych blaszek metalowych, do drobnej monety podobnych. Taką tablicę, podobno

wolno tylko nosić samym kobietom zamężnym; jaka zaś prawdziwa różnica zachodzi w ubiorze pomiędzy panną a mężatką, nie miałem nikogo, ktoby mnie w tem dostatecznie objaśnić potrafił. Od kolan, nogi obwinięte są płótnem lub szmatami niezmiernie grubo i zbandażowane najczęściej dosyć grubym postronkiem; na nogach, równie jak mężczyzni, noszą łapcie łyczkowe. Słowem, spojrzawszy na ich nogi, ten rodzaj obandażowania tak je czyni nieforemnemi, że z pierwszego wejrzenia sądzić można prędzej, że to słoń idzie, aniżeli kobieta. Przytem, jak mi powiadano, wszystkie kobiety noszą porteczki, lecz ponieważ tego z pod zewnętrznego nie widać ubioru, a naocznie się przekonać nie miałem sposobności, przeto musiałem wierzyć temu, co mi powiedziano. W ludach tych, tak mężczyzni jak i kobiety, są przystojni i piękni. Religia ich, o ile się zdaje, miała podobieństwo z dawną religią Germanów i Gallów, i lubo dziś wszyscy są chrześcijanami, jednakże pokątnie oddają cześć dębom, i zachowują pomiędzy sobą mnóstwo niechrześcijańskich obrzędów i zabobonów. Jakim zaś jest ich język?... nie mogę sądzić, bo słysząc ich mówiących, ni jednego nie pojąłem wyrazu — zdawało mi się, że słyszę i patrzę na ludzi z księżyca przybyłych. Jaka zaś cecha odróżniająca te trzy narody, których o ile się zdaje, początek z jednego źródła wypływa, i na czem ta różnica polega? — nie moja w tem głowa.

«Wjechawszy w granice gubernii kazańskiej,

przebywaliśmy wzgórzystym krajem nadbrzeża wielkiej i majestatycznej Wołgi, matki rzek rosyjskich, przez którą przeprawa wypadła nam w blizkości Kazania. — Kazań, stolica niegdyś hanów tatarskich, należy dziś do celniejszych miast Rosyi: ma około 40 cerkwi, uniwersytet, cytadelę i wielkie rządowe fabryki. W cytadeli postrzegać się dają szczątki zamku dawnych hanów, a wieża jedna, która się dotąd w całości dochowała, oryginalną swoją budową, zupełnie jest różna od wszelkich porządków architektonicznych w Europie znajomych. Wystaw sobie bowiem, że masz sześć pudełek kwadratowych rozmaitej wielkości; ustawiwszy te pudełeczka jedno na drugiem aż do najmniejszego, będziesz mieć wyobrażenie budowy tej wieży; nie będąc jednak jej blizko, nie mogłem z oddalenia dostrzedz drobniejszych szczegółów, które równie, a może i więcej niż główna budowa, są interesujące. Za Kazaniem rozpoczynają się siedziby Tatarów; wsie obszerne, sterczące wieżyczki czyli minarety ich meczetów, częste wrota czyli kołowroty na wielkiej drodze, które stanowią granice ich posiadłości (wygradzają się bowiem tak jak u nas holendrzy), przytem pola obsiane po większej części owsem i tatarką: oto wszystko, co na kilkadziesiąt milowej przestrzeni, oku podróżnego przedstawić się może.

«Przebywszy rzekę Wiatkę, rozpoczyna się kraj lesisty, — od stacyi jednej do drugiej, czasem w przestrzeni wiorst trzydziestu, ciągłym czarnym, posępnym przejeżdża się borem, obfitującym w zwie-

rzynę rozmaitego rodzaju, aż nareszcie przybywa się do miasta Permy, stolicy gubernii tego nazwiska. Ze wszystkich miast gubernialnych, któreśmy przebyli, najmniej podobała mi się Perma; lubo miasto dosyć obszerne i nad znaczną rzeką Kamą połcżone, jednakże całe prawie drewniane i niebrukowane, aprzytem — ani jednej traktyerni. Nie pamiętam, żebym się kiedy tak porządnie wypościł jak w Permie, gdzie 24 godzin wypoczywaliśmy.

«We trzy dni po wyjeździe z Permy, wjechaliśmy w pasma gór uralskich. Nikt może z większem upragnieniem nie czekał tej chwili, jak ja, kiedyśmy się ku górom zbliżali; nie widziałem bowiem nigdy wyższych nad nasze chrostkowskie, ciekawy byłem wrażenia, jakie na mnie sprawią uralskie. Wystawiałem naprzód sobie, że ich wierzchołki giną w obłokach, że ich grzbiety wiecznym są śniegiem pokryte; wyobrażałem sobie przedwcześnie ten wspaniały widok olbrzymiej natury, w obliczu której dopiero całą naszą nicość poznajemy. Lecz jakżem się zawiódł! Góry te w miejscu naszego przejazdu nie były wysokie, a największa ich wyniosłość wiorsty nie przechodziła. Przez trzy dni prawie przebywaliśmy te góry, świerkowymi lasami obrosłe, ciągle pnąc się na ich wierzchołki i na dół zjeżdżając. W dolinach pomiędzy górami, nad strumieniami z gór wypływającymi, widzieliśmy obszerne fabryczne osady: fryszerki żelaza, kopalnie i przemywalnie złota, alabastru i innych kamieni, aż do pięknego miasteczka Ekaterynburga, które

właściwie jest także osadą fabryczną. W kilka dni później, przebywszy granice Syberyi, w dniu 1-ym września (1834 r.) o czwartej po południu, zupełnie zdrowi, stanęliśmy w Tobolsku, stolicy Syberyi.

«Niepodobna jednak, abym ci nie opisał prawdziwie zachwycającego widoku, jakiego doznałem w przejeździe gór uralskich. Jednego poranku, nim słońce weszło, gdy wszystko ciemną mgłą było pokryte tak dalece, że przedmioty na kilkadziesiąt kroków odległe stawały się niewidzialnymi, pierwszy raz wjechaliśmy pomiędzy gór pasma. Kiedyśmy się podnieśli na wierzchołek góry, weszło słońce, mgły opadły i najpiękniejszy zabłysnął poranek. Mgła nie opadła zupełnie — my tylko byliśmy nad jej granicą; ona pokrywała całą przestrzeń, wyjąwszy najwyższych wierzchołków gór jodłami obrosłych, na których odbijały się promienie wschodzącego słońca. Te wierzchołki gór na jaśnią wydobyte, wydawały się nakształt wysp rozrzuconych na niemającym końca oceanie, a świeży poranny wietrzyk, wzruszając mgły tumany, nadawał im postać bałwanów wzburzonego morza. Lekkość mgły, pozwalała w części rozpoznawać przedmioty pod nią się znajdujące, lecz złudzenia optyczne i imaginacya, w miejscu świerkowych i jodłowych lasów, tworzyła zamki, miasta i ogrody. Było to coś zachwycającego! — raz zdawało mi się, że widzę jakąś czarodziejską krainę podwodną; to znów przeniosłem się w te czasy, gdzie Bóg — zepsuty ród ludzki karał potopem, a telega, na której je-

chałem, zdawała mi się być arką zbawienną śród powszechnego zniszczenia; to znów... ale pomyślisz sobie może: szczęśliwi, mający bujną imaginacyę! oni tam widzą róże, gdzie kwitnie rumianek; niebo im się uśmiecha w oczach jakiego koczkodana, a tam sobie tworzą ideał, gdzie nędzna ziemskość panuje! Prawda, zjechaliśmy z góry, znów nas mgły odziały, zachwycenie znikło, — została naga rzeczywistość! . . .

«Oto masz wszystkie mojej podróży szczegóły i uwagi, które w przelocie mogłem uczynić. Dzisiaj, przypomnienia tej drogi są dla mnie jak pamiątka snu, którego tylko szczegółowe obrazy zachowała nasza pamięć w chwili przebudzenia. Góry, rzeki, miasta, wsie, urodzajne pola, odłogi, lasy, stepy — ciągle się przemieniając, ciągle niknąć i znów się ukazując mojemu oku, wzbudzały we mnie różne, dziwaczne, niepojęte uczucia. Dodaj do tego: wspomnienia przeszłości, przyszłości marzenia, ruch ciągły myśli przenoszącej w różne czasy, miejsca i stosunki imaginacyą, porywającą w jakieś nadziemskie nie istniejące krainy, to znów ze szczytu strącającą nas do przepaści — wystaw sobie na raz jeden, ten ogrom uczuć i wrażeń, — a gdzież jest człowiek, którzyby je wszystkie zachował i którzyby je dokładnie potrafił opowiedzieć! Tak — sen to był tylko... niekiedy przyjemny, a często niemiły; przeminął — i niewyraźne tylko pozostawił pamiątki.

«Chciałbym ci dać obraz Tobolska więcej zajmujący, więcej poetyczny, zapatrując się na miasto

i jego okolice z wyższego punktu, to jest z wierzchołka wieży sobornej, położonej w górnej części miasta. Miejsce z którego poglądam, przeszło stóp 300 wyniesione nad powierzchnią rzeki; dolne i górne miasto jest pod mojemi stopami, a wzrok błądzi naokół w kilkomilowej przestrzeni i zachwyca się widokiem cudnej panoramy, której opis o ile zdolność moja, starać się będę do rzeczywistego przybliżyć obrazu. — Chciałbym z największą dokładnością dać ci wyobrażenie miejsca, z którego na dół poglądam i uważam, że najlepiej, jeżeli wezmę Płock na porównanie. Jeżeli znasz dobrze miejscowość Płocka, to wiesz, że katedra stoi na górze, której bok jeden podmywa Wisła, a drugi skopany w tarasy, schodzi do drogi wiodącej od przewozu do miasta. Załam więc góry w tem miejscu jest prawie pod kątem prostym. Jeżeli więc sobie wystawisz, że Wisła jest to Irtysz, nad którym spadzisto wyższa jeszcze podnosi się góra; jeżeli przypuścisz sobie, że ta góra pod kątem prostym załamąna ciągnie się daleko, a w miejscu gdzie w Płocku nowe miasto i kościół dziś ewangielicki że to jest dolina, której część zajmuje miasto dolne, a Irtysz w półokrąg opasuje, wtenczas wyobrazić sobie powinnaś, jaki cudowny widok być powinien, gdybyś z wierzchołka tumskiej dzwonnicy poglądała na dół: na miasto, na łąki, na dwie wielkie łączące się rzeki i na okolicę niknącą we mgle widnokręgu.

«Na zachód, dolne miasto, którego widzę każdą ulicę, każdy dom, każdy ogródek, które zwę-

żone u stóp moich coraz się rozszerza, którego główne ulice długie i szerokie, z jednego prawie dobywając się punktu i rozchodząc się w oddali, porównać można do promieni rozwiniętego wachlarza, którego przedziały zajmują ulice poprzeczne, cerkwie, domy i łaźnie, którego przedziały nakształt chińskiej dziwacznej materyi, pokazują ci się w różnych kształtach, farbach i deseniach. Jeden kolor ciemno-brunatny jest tłem całego obrazu, na którem dopiero wyraźniej: białe, żółte, czerwone i zielone odbijają się kolory. Ta farba brunatna, jest to farba czasu wypiętnowana na drewnianych budowlach, rozpierzchnionych śród małych kwadratowych ogródków warzywnych. Tu, tło zielone ogrodów, zdaje się być więcej charakterystycznym kolorem obrazu, na którym domy i łaźnie są tylko rzutem brunatnym; tu znów, gdzie więcej ściśnione są domy, zdaje ci się widzieć sam brunatny kolor bez odmiany; tam znów, plac obszerniejszy robi pewną przerwę w widokach tego obrazu, a dziewięć białych cerkiew (!) z wybiegłemi wieżami, blaszanym dachem, pozłoconemi kopułami i kopułkami, z mnóstwem odskoków i załamków w budowie, dwie ogniowe czterokątne wieżyce i dwadzieścia kilka murowanych domów tu i owdzie rozrzuconych, białych, żółtych i różowych, jeżeli wrócim się do porównania wachlarza:... te cerkwie, te domy, ta rozmaitość kolorów, ten blask odbijającego się słońca od złoconych wierzchołków świątyń, porównać można do kwiatów fantastycznych rzuconych

na tle brunatnem materyi, która coraz więcej zamienia się w zieloność, oddalając się od środkowego punktu i zlewa się nareszcie z pysznym łąk kobiercem otaczającym miasto, którego obwódką: z lewej strony nadbrzeżna wysoka góra, a z prawej Irtysz, półokręgiem smug całe miasto oblewający. Zresztą, dziwna jakaś harmonia panuje w całym tym obrazie: te cerkwie dziwne w budowie, noszące w ozdobach i konstrukcyi piętno wschodniego gustu, te domy nie mające drzwi od ulic, oddzielone od siebie długimi parkanami, zamknięte same w sobie: z ogródkiem, stajniami i łaźnią, z których każdy śród miasta zdaje się tworzyć oddzielną siedzibę, ta cichość i posępność, która nad całem panuje miastem, którą ledwie czasem głos dzwonu bijącego godziny lub turkot dorożki na chwilę rozerwie, nareszcie ten brak ruchu ludności, który jest właściwem miast życiem, — to wszystko, azyatyzmu na sobie nosi już znamię. Cały ten obraz nie ma już nic wspólnego z Europą i choć historya nas uczy, że Azya była tej ostatniej piastunką, Europa dziś może być jej nauczycielką; lecz tu poglądając na te nizkie, zamknięte, rzadko jednopiętrowe domy, jakże je możem porównać z wybiegłemi, wysmukłemi, siedmio lub dziewięcio piętrowemi kamienicami? Czemże te cerkwie ozdobne, różnobarwne, eleganckie, obok ciężkich, poważnych, osiadłych, gotyckich i romańskich kościołów?! Europejskie miasta tworzą masę kamieni nagromadzonych przez wieki — azyatyckie porównać

można do tych wegietacyj, które co kilkadziesiąt lat się odnawiają, na których grobie nowe powstaje pokolenie i znów niknie, i znów się odradza, i tylko warstwę do warstwy przykłada. Tam, poglądając z wysokości, widzimy podobną gorejącej lawie masę jaskrawo czerwonych dachów; tu przeciwnie, dachowka nieznana; gdzieniegdzie blacha dom kryje, a najczęściej deski naczernione latami są pokryciem wsiąkających w ziemię domów; a tak poziomość i ciemna barwa — kolor żałoby, są całą charakterystyką dzisiejszego wschodu.

«Patrząc na Tobolsk z wysokości tej, z której ja poglądam, zdaje się widzieć plan miasta misternie z mozaiki ułożony, który skończonym jest zupełnie, ale brak mu jeszcze ostatniego wyszlifowania. Miejsce, na którem dziś miasto, było niegdyś starem Irtysza korytem, lecz rewolucye czasu zmusiły go widać do odstąpienia od wyniosłych i spadzistych swych brzegów, i kazały szukać innego łożyska. Irtysz więc w tem miejscu tworzy półokrąg, którego średnicą są oberwane, spadziste nadbrzeżne góry; miasto leży w kolanie pomiędzy górą a Irtyszem i dotyka brzegów tej rzeki; większą zaś część tego półokręgu zajmują łąki, śród których wznosi się wioska Podczuwasze, zamieszkana przez samych kowali; dalej obóz, w którym teraz dwa garnizonne bataliony obozują; dalej nad rzeką wieś Czuwasze, gdzie latarnia pożarowa, magazyny solne i przewóz na trakcie do Europy; po drugiej stronie rzeki, widać wężem płynący Tobół, który naprze-

ciw Tobolska wlewa się do Irtysza. Dalej po nadbrzeżnej łące, gdzieniegdzie rozrzucone jurty tatarskie; tam znów daleko widać minarety meczetu, dalej las jak się piętrami podnosi, dalej wzgórza okryte, nareszcie mgła, która zasłania brzegi widnokręgu.

«Mając ten obraz przed oczyma, w uczuciu poetycznem zawołałem:

Pod memi stopy miasto, ciche, zasępione,
Jak ludzie co w niem żyją. Niebo mgłą zaćmione,
Szumiąca dwóch rzek fala, — a w obłoków sinie
Las okiem nieprzejrzany, jak w wieczności ginie.
Tam ręka ludzka jednej trawki nie dotknęła,
Gdzie dziewicza natura daje ślady życia;
Tam w pierwszym dniu stworzenia myśl Boga spoczęła,
A nikt się nie odważył dobyć jej z powicia.
Piękny to obraz — dla mnie on musi zaginąć, —
Czuję go, lecz mych uczuć nie mogę rozwinąć;
Widzę, lecz próżno wodzę błędnemi oczyma,
Gdzież przedmiot, który moją uwagę zatrzyma?
Czemu, spytajcie myśli, śród rozkoszy łona
Tworząc ideał szczęścia, nagle w głaz zmieniona
Jest jak szronem dotknięta róża na dolinie,
Która swych boskich listków nigdy nie rozwinie,
Jak piękność, której serce wczesna śmierć zastudzi,
Która się już dla świata nigdy nie obudzi . . .

«Dałem ci obraz Tobolska od strony zachodniej; pozostaje jeszcze z trzech stron innych.

«Na wschodzie u stóp moich jest miasto górne, w części zasłonione wysokiemi kopułami Soboru. Za obszernym placem, który dokoła otacza katedrę, zaczynają się ulice i domy. Miasto górne daleko jest mniejsze od dolnego, więcej ma ogrodów niż domów i te niemurowane, a 3 cerkwie w różnych

punktach się podnoszące nie przedstawiają tej pięknej rozmaitości, jaką, poglądając na dolne miasto, jesteśmy zachwyceni. Za miastem jest smug obszerny zielony, za którym o wiorstę od rogatek jest linia domów tworzących wioskę, zwaną Zawalną. Po prawej stronie wioski droga szeroka: jest to trakt na wschód, do Chin prowadzący; po lewej — drożyna do wiecznego spoczynku. Za wioską, za cmentarzem, śród którego jedna mniej ozdobna cerkiew się podnosi, rozpoczynają się zarośla, które zasłaniają horyzont.

«Na północ wieży widać obszerny Irtysz, powiększony zlanemi wodami Tobołu, jak szumiąc spadziste podmywa brzegi i siedm wiorst służąc za zwierciadło stromemu, najeżonemu jodłami brzegowi, nagle przy górze Suz-gun odbija się od wyniosłych swoich wybrzeży, rozlewa się na piękne doliny gdzie liczne wioski, liczne stada śród szmaragdowych łąk, gdzie ozłocone zbożami niwy tworzą pewną oazis śród niezaludnionych jeszcze obszarów Syberyi. Po za rzeką, w dalekim łąk odstępie, rozpoczyna się bór ciemny, który coraz i coraz się podnosi, coraz oddala, coraz błękitnieje i kończy aż nad brzegami lodowatego oceanu.

«Ale najwięcej dla mnie miał powabu widok od strony południa; trudno nawet wyrazić, jak rozmaitość widoków jest tu dziwnie piękna i poetyczna. U stóp samej wieży jest pałac archireja z obszernym dziedzińcem i zabudowaniem, a do dziedzińca dotyka cerkiew ś. Mikołaja i tobolski arsenał, przed

którym piramidy kul i bomb, i stosy dział i moździerzy spoczywają. Za niemi głęboki wąwóz, który jest drogą łączącą górne i dolne miasto, za wąwozem góra, na której podług planu ma być wzniesiony pomnik Jermakowi, który Syberyą pod władzę rosyjskiego imperyum zawojował. Po lewej stronie widać część górnego miasta, zakończoną więzieniem, podobnem z kształtu do warownego zamku nad głębokim zawieszonego jarem; po prawej w przedziałach góry, widać w dalekiej perspektywie masę zbitą domów dolnego miasta i Tobół, jak swe wody łączy z wodami Irtysza; to wszystko stanowi przód i kulisy obrazu, którego głąb' a raczej kortyna, jest smug obszerny, wąwozami w różnym kierunku przerznięty. Ten smug obszerny jest górą, mającą postać wielokąta nieforemnego; poza nią widać Irtysz, który się z za gór wychyla i ginie, i nadbrzeżne góry, które w różnych się punktach oku przedstawiają — jak coraz maleją, coraz się zniżają, to nagie, to krzewami obrosłe, to gaikami ocienione. Głąb' obrazu po lewej stronie zajmuje ciemna zieloność zarośli, z pomiędzy których wysuwają się wieże klasztorów w Iwanowsku i Preobrażeńsku, i ledwie dojrzana strzała wieży w Obałakach. Góra, o której ci mówię, która główne tło widoku stanowi, jest oddzielona od górnego miasta głębokim wąwozem, który wydziera się z gaików, a właściwie parków, domki zabawy otaczających; wąwóz ten, coraz zbliżając się ku miastu, rozszerza się przez łączenie się z nim innych pomniejszych

wąwozów, a w krętym swym biegu podobny jest rzece, która przejmując mnóstwo wpadających potoków, coraz się powiększa, coraz rozszerza i ginie w obszernym oceanie, jak ten wąwoz w obszernej dolinie, śród której dolne miasto spoczywa. Z wąwozu wyskakują liczne domki i lepianki ponad strumykiem płynącym rozrzucone, i my to miejsce dla piękności, jaką tworzą z dwóch stron wznoszące się różnokształtne góry, nazwaliśmy tobolską Szwajcaryą. Ten obraz cały, którego głąb' nosi cechę pierwotną dziewiczej jeszcze natury, którego przód zamienia się w ulice regularne obszernego i coraz podnoszącego się miasta, jest dziwną harmonią dzikiego jeszcze przyrodzenia z postępem cywilizacyi.

«Okolice Tobolska nie mniej jak i samo miasto, są piękne i zajmujące. Na górze nadbrzeżnej Irtysza, która od Obałak do Suz-gunu na 35 wiorst się rozciąga, w różnych miejscach widzieć jeszcze można, szczątki okopów i ruiny zamków przez dawnych hanów tatarskich wzniesionych. Dziwnym bezwątpienia rodzajem formacyi jest góra, na której i pod którą Tobolsk spoczywa, lubo, jak wspomniałem, przez 35 wiorst Irtyszowi służy za nadbrzeże; nie jest ona jednak podobną nadbrzeżom Wisły, które od Modlina aż do Żuław nieprzerwanem się pasmem rozciągają; przeciwnie, Irtysz przebiega płaskie doliny a góra ta, która załamuje się u Obałak i Suzgunu, nie ma więcej jak 80 wiorst obwodu i widać, że kiedyś przed wiekami,

gdy Irtysz płynąc ku morzu trafił na zawadę bieg mu wstrzymującą, nie mogąc jej przełamać musiał opłynąć. Ze szczątków okopów i ruin, które w różnych punktach tej góry jeszcze dziś ciekawemu się oku przedstawiają, łatwo wnieść można, że Tatarzy zagrożeni napadem Jermaka, tę górę jako główny punkt obrony obrali. Ulegli wprawdzie męstwu Słowian, ale tradycya ludu jeszcze dziś zachowała kilka powieści, bardzo nawet romantycznych, z których ci jedną powtórzę: Suz-gun, który dziś jodłami obrosły jest cmentarzem Tatarów, w bliskiej tegoż nazwiska jurcie zamieszkałych, był kiedyś ich obozem, w którym gdy ich pobito na błoniach, na których dziś Tobolsk się wznosi, w rejteradzie szukać musieli ocalenia. Księżniczka ich *Suz-gun,* ze znacznym oddziałem zamknęła się w tych okopach nad brzegami rzeki, lecz opasana wojskiem Jermaka, widziała z dniem każdym od chorób i głodu rzedniejące swoje szeregi. Gdy już z całego wojska 7 jej pozostało wojowników, zaczęła wchodzić w układy z Rosyan dowódcą: że sama się odda w niewolę, jeżeli jej Tatarom spokojnie oddalić się pozwoli. Przystaje na to Jermak, i kiedy pozostałych 7-u na łódce na drugą stronę Irtysza dopływali, Suz-gun strzałą odebrała sobie życie; podług innych w Irtysz skoczyła. Powieść ta, dosyć podobną do powieści bajecznej naszej Wandy.

«Cmentarz we wsi Zawalnej jest to obszerny brzozowy gaik, z jednej strony Irtyszem, z drugiej głębokim jarem, a z dwóch stron sztachetami oto-

czony. Już trzech wieków pokolenia tu spoczywają i każda chwila nową tu podnosi mogiłę. Dzikość jaru z spokojnością miejsca i szumem liści, dziwne tu nastręcza myśli i marzenia.

Kilka mogił mchem porosłych,
Zburzonych pomników szczątki,
Nad nimi kilka brzóz wzniosłych,
To wszystko — człeka pamiątki . . .

«Pomiędzy pomnikami jeden z marmuru, pięknie wyrobiony, szczególną zwraca uwagę; ale bezbożna ręka rozbiła urny i kamienie, i dziś o piękności ogółu ze szczątków tylko sądzić można tak, jak o wielkości Palmiry z gruzów zalegających Arabii pustynie. Najpiękniejszem jednak miejscem pod względem malowniczym jest Żuków, wioseczka na wzniosłym Irtysza brzegu położona. W uniesieniu poetycznem napisałem te kilka wierszy:

Pod nogą przepaść, na której brzeg stromy
Wzburzona rzeka mętne fale ciska;
A nad przepaścią — jak olbrzymów domy
W dziwacznych kształtach sterczą gór urwiska.
I na widnokrąg, półwieńcem rzucona,
Nadbrzeżna góra schyla się i ginie,
I widać rzekę, jak w biegu skręcona
Nadaje życie spokojnej dolinie.
Pośród doliny, którą wiosny tchnienie
Śród pieszczot, stroi w różnobarwe szaty,
Widać gdzieniegdzie rozrzucone chaty,
Spokojnych ludzi — spokojne schronienie;
Dalej, las ciemny, nad nim góra spływa;
A czoło góry znowu las okrywa;
Lasy i góry, mieszają się, bledną,
To się rozchodzą, to znów w oddaleniu

W nierozróżnioną, dziwną całość jedną
Zlewają kształty — to nikną w mgły cieniu,
To znów na chwilę jak błędne obłoki
Zmieniają światło, zmieniają widoki.
A tak daleką już jest ta kraina,
A tak wzrok słaby człowieka źrenicy,
Że dojść nie może tej wietrznej granicy,
Gdzie się las kończy a niebo poczyna.

«Oto jest wszystko, co Ci o Tobolsku i jego okolicach mogłem napisać».

V.

W mieście tem przebył Zieliński rok cały. Gdy pierwsze wrażenia, wywołane nowością przedmiotów i widoków minęły, boleśnie odczuwać zaczął przykre stosunki rzeczywistości, a przedewszystkiem wpływ odmiennego klimatu. Wkrótce po przyjeździe do Tobolska, zaczęła się jesień, a za nią zima z całą srogością Północy; śnieg wszystko zasypał i pokrył ziemię grubym, prawie trzyłokciowym pokładem. „Ta śnieżna szata nadzwyczajnej białości, iskrząca się odbitymi promieńmi słońca, raziła oczy moje,— pisał Gustaw do kuzyna Ferdynanda Z. — aż do dnia Wielkiej Nocy. Nagle jakby czarodziejską laską wywołane, nastąpiły upały; śnieg zniknął, a ziemia zaczęła się zielonością przyodziewać. Możesz sobie wystawić, jak nagłem musi być tu przejście zimy do lata, kiedy w trzech dniach prawie, zrobiła się cała ta przemiana, i kiedy w Wielki Piątek jadący zapadali w śnieg z końmi po brzuchy, już w niedzielę świąteczną nikt nie

mógł saniami przyjechać, bo śnieg tak zniknął, że tam go tylko jeszcze widzieć można było, gdzie wichry i burjany przez całą go zimę naniosły. Zresztą, niema nic niestalszego jak tutejsza temperatura; śród najpiękniejszej pogody, śród największego upału, niech tylko wiatr z północy powieje, tak ostre nastaje zimno, że bez futra nie można się na ulicę pokazać". Te zmiany gwałtowne, niezmiernie szkodziły zdrowiu Gustawa — stąd kaszle, katary i bóle gardła były prawie bezustanne; szczęściem, głębszych spustoszeń w płucach nie robiły.

W Tobolsku panowała, jak się wyraził Gustaw, „ośmiomiesięczna zima i całoroczne nudy". Jak te nudy starał się jeżeli nie zabić, to przynajmniej rozproszyć, dowiemy się z listu do Otowskiego (z 11 czerwca 1835 r.): „Radzisz, abym wesołego nie odstępował humoru; zgadzam się na to, ale wesołość nie od nas samych zawisła. Potrzeba do niej usposobienia, potrzeba przedmiotu, któryby ją mógł obudzić. Postaw się tylko na chwilę w mojem położeniu (od czego jednak niech cię Matka Boska Skępska uchowa), a przekonany jestem, że i z twojej jowialnej figury, dyabelnie kwaśna zrobiłaby się facyata. Mógłżem się cieszyć, kiedym opuszczał Warszawę, a z nią wszystko, co dla mnie było miłego? . . . Przybyłem tu — zachorowałem; mógłżem się śmiać i bawić, gdym musiał stękać i z łóżka nie wstawać?... Nadeszła zima, — przy niej wśliznęła się i golizna; chłodno, głodno i do domu daleko. O! wierzaj mi, że wtedy i Żółkow-

skiemu zbrakłoby konceptów. I kiedy nareszcie to wszystko przemijać i łagodzić się poczęło, nowy cios, nowa strata! — śmierć ojca spulweryzowała moją istotę. Podobne ciągle przechodząc koleje, czyż można wesoły humor zachować, a list pisząc w smutku i goryczy, możnaż go dowcipem i farsami zapełnić?

«Powtóre żądasz, abym ci opisał nasze romanse i piękności. Jest to przedmiot do traktowania bardzo niebezpieczny i na którym tu zbywa, bowiem podług wyrachowań statystycznych, jeśli Tobolsk liczny mieszkańców 17558, nie rachując garnizonu, to w tej liczbie tylko 7014 kobiet się znajduje; przeto z całą ścisłością matematyczną, zrobiwszy zrównanie, wypadnie: że tak się ma mężczyzna do kobiety, jak dwa do jednego. Zresztą, aby ci dać wyobrażenie o płci pięknej tobolskiej, to musisz ją uważać stosownie do klas, na które się dzielą mieszkańcy, a które ja trzy główne uważam. Pierwsza, złożona z urzędników wojskowych i cywilnych (obywateli ziemskich niema na Sybirze). Jest to klasa szlachecka, bo każdy urzędnik w Rosyi, już tem samem jest szlachcicem. Ludzie do niej należący, zwłaszcza tu w Tobolsku, prawie wszyscy nie są Sybiracy, ale przybyli za stopniem ze wszystkich części obszernej Rosyi. Każdy z nich przeto, przywozi ze sobą zwyczaje i obyczaje prowincyi z której pochodzi, a które tu połączone klęją się, mięszają, amalgamują i tworzą coś odrębnego tak dalece, że chcąc je opisać, niepobobna im nadać

jednego osobnego i prawdziwego charakteru. A kobiety, jak wszystkie miast mieszkanki, lubią się bawić, oddawać wizyty, wiele mówić choć nie ma o czem, mało robić, stroić się i poglądać ze szczytu swych wdzięków i wielkości. Te damy dla nas, *posieleńców*, są tem, czem w bajce Lafontaine'a dla lisa kiełbasy, którym długo się biedak przyglądał, wąchał i oblizywał, aż nareszcie znudzony odchodząc, pocieszył się tą myślą, że to są tylko powrozy. Drugą tu klasę stanowią kupcy, którzy prawdziwie azyatyckie zachowują dotąd zwyczaje. Żyją tylko pomiędzy sobą; ich domy dla wszystkich obcych są zamknięte, a cóż dopiero ich kobiety! Okna w ich domach nawet w najpogodniejszy dzień się nie otwierają, a ukłon przechodzącemu mężczyznie od kobiety, za niedarowane uchybienie byłby poczytany; jeżeli zaś kogo w dom kupca interes jaki zawiedzie, to kobiety domowe tak przed nim uchodzą, jak przed hyjeną lub grzechem śmiertelnym — nawet słowa nie chcą przemówić. A zobaczyć je tylko można w cerkwi, lub, co się rzadko zdarza, na spacer wyjeżdżające. Trzecią klasę składa pospólstwo, u którego tak w Tobolsku, jak na całej kuli ziemskiej, pieniądz jedynem jest bożyszczem. Zdaje mi się więc, że lepiej, gdy zamilczę o tym rodzaju najemnych piękności, które wyobrażają sobie miłość nie tak jak Grecy, pod postacią chłopczyka skrzydlatego, złośliwego, swywolnego, z zawiązanemi oczkami, z łuczkiem i kołczanem, z pochodnią i krętymi włoskami, — ale

wprost w kształcie sinej lub krasnej bumażki. Po takim wstępie możesz sobie wyobrazić, jakie być mogą moje romanse. Jeżeli szukać będziesz czystości uczuć, tych prawdziwych serca słodyczy, tych tu nie znajdziesz, bo rzuciwszy okiem na trzy klasy towarzystwa — pierwsza nie zechce cię zrozumieć, do drugiej się nie wkradniesz, a trzecia nie pojmie".

Przypatrywanie się zwyczajom i obyczajom, zabawom i rozrywkom miejscowym, mogło przez czas jakiś budzić ciekawość spostrzegacza, ale nie mogło wypełnić duszy przyzwyczajonej do innych stosunków, stęsknionej za krajem i za rodziną. Brak wiadomości ze stron ojczystych, srodze doskwierał Gustawowi i był przyczyną posępnego nastroju, który przy reflekcyjnem jego usposobieniu potęgował się wielce.

Na listy swoje bardzo długo nie otrzymywał odpowiedzi; cierpiał niedostatek; brakło mu bielizny i ubrania. Ażeby życie jako tako utrzymać, musiał uciekać się do pożyczek, a gdy pewna przesyłka pieniędzy od rodziny nadeszła w ilości zaledwie 300 złp., nie wystarczała nawet na opłacenie wszystkich długów. A że i inni wygnańcy w podobnem zostawali położeniu, Gustaw ciągłemi skargami listy swe zapełniał. Parę z nich wyjątków, da poznać ton i sposób formułowania zarzutów. W końcu lutego 1835 r. tj. po sześciomiesięcznym pobycie w Tobolsku, pisał do siostry:

«Nie mówię to w szczególności do ciebie, ale do wszystkich osób interesowanych, to jest tych,

których mężów, braci, ojców, kuzynów itd. równie jak i mnie, spotkał los jeden, tj. wygnanie. Chcecie miewać listy (zapewne częste i długie), ale samym napisać to się nie chce. Zapewne przyjęliście jeden systemat rozumowania: jakże pisać, jak adresować, kiedy nie wiemy, dokąd go wywieziono . . . Prawda, — ależ od czego troskliwość? — o wszystkiem można się dowiedzieć, kiedy kto chce, byle tylko chciał prawdziwie i szczerze. Z tylu osób przybyłych nas tutaj, mała tylko liczba w tej gubernii pozostawioną została; ja, jedynie dla słabości zdrowia, dla koniecznej potrzeby użycia apteki i doktora zatrzymany. Innych przeznaczenie jest dalsze — może dopiero teraz stawają na miejscu naznaczonem; a kiedyż więc pierwszy list od nich familia odbierze? . . . może za pół roku; a nim się zbiorą, nim naradzą, nim odpiszą, nim list dojdzie, — upłynie drugie, i może list od familii z zasiłkiem przybędzie wtenczas, kiedy ten, do którego był adresowanym, już go więcej nie będzie potrzebować. Wszyscy przybyliśmy tu zdrowi; klimat chociaż zimny, nie jest jednak szkodliwym, ale nie wyobrażajcie sobie, żeby ta ziemia była mlekiem i miodem płynącą. Nie jest to owa wyspa szczęśliwości, w której posiać kostki z kotletów, zrodzą się kotlety; trzeba krwawo pracować, chcąc prosto życie utrzymać — a cóż, kiedy kto niezdatny do pracy lub do niej nie przywykły? . . . może na dyecie piękny kurs do nieba odprawić. Nie mówię o sobie, ale o drugich, o których familia ich zapomina.

Dlaczego nie piszą pod adresem gubernatora cywilnego tobolskiego?... dlaczego interesantom nie nadsyłają pieniędzy?... dlaczego czekają tego listu (który nie jest umyślnym posłańcem o trzy mile w sąsiedztwo wysłanym)? — tego sobie wytłomaczyć nie mogę i nie mogę jak tylko oziębłości przypisać. Pewny jestem, że po tylu odebranych listach moich, po tylu podanych sposobach ze mną korespondowania, moja familia nie zaniedba użycia tych środków, aby częściej niż dotąd wiadomość o sobie dawać mnie mogła. Wszakże napisanie listu nie jest tak rzeczą uciążliwą; chwila postanowienia i cokolwiek cierpliwości, a list gotów — tylko go złożyć, zapieczętować, zaadresować i odesłać na pocztę. Oto cała recepta na pisanie listu i łatwiejsza do spamiętania, aniżeli niekiedy jaki przepis robienia babek lub pączków, albo smażenia konfitur. Materyały też do napisania listu niewiele kosztują: pół arkusza papieru, ze trzy krople atramentu i jedno gęsie pióro — rzecz mała, a jednak ileż można szczęścia tą małą rzeczą uczynić! . . . Że mi zbywa na wszystkiem, to jest bardzo naturalne. Przyjechałem tu prawie bez grosza, bom bez pieniędzy opuścił Warszawę. Tę trochę, którąm posiadał, w drodze wyekspensowałem, a małą pozostałość oddać musiałem aptece i doktorom — bo pierwszym i najważniejszym warunkiem jest zdrowie. Kiedy kto nie ma funduszu, a nie może sobie zapracować na życie, obrać musi jedną z dwóch dróg: tj. spuścić się na czyją łaskę, albo zabrnąć

w długi. Co do pierwszego: nie potrzebowałem jej nigdy dotąd, i daj Boże, żebym jej nie potrzebował; wprawdzie nie byłem w przykrem położeniu odrzucania czyjejś łaski, bo się nikt z nią dotąd nie narzucał, — cóż mi więc pozostało?... oto robić długi. Kto do tego stanu jest zredukowanym, przestaje mieć własną wolę, bo ta ograniczoną jest stosownie do osób i okoliczności, i ten kto jest zmuszony do zaciągnienia długu, ekspensuje więcej i nie żyje tak, jakby mógł żyć własnym choćby mniejszym funduszem“ . . .

Te troski o byt codzienny, to spychanie jednych długów nadsyłanemi w niewielkich sumach pieniędzmi, a zaciąganie nowych, trwały prawie rok cały, dopóki się nie uregulowały stosunki z rodziną ostatecznie, i dopóki nie dostarczono Gustawowi dostatecznych do utrzymania funduszów. Listy do rodziny pisane w ciągu tego roku, jeżeli nie zawierają opisów, to są zapełnione albo skargami na krótkość i jałowość korespondencyi, albo też wskazówkami, jak potrzebne mu rzeczy mają być do Tobolska przesłane. Z przyjaciołmi i znajomymi rodakami na Syberyi mało w tym roku wymieniał listów, i te po większej części były krótkie; donosiły głównie o zmieniającym się nieraz stanie zdrowia i o czytanych książkach. Na miejscu w Tobolsku, prócz koniecznych stosunków urzędowych, miał bliższe sercu w towarzyszach niedoli: Konstantym Wolickim i Stanisławie Dotkiewiczu. Wolicki przybył do Tobolska o mie-

siąc wcześniej od innych; zaznajomiony z wielu dygnitarzami, przyznawszy się do ciotecznego braterstwa z Zielińskim, sprawił, że pomimo najsurowszego zakazu, aby Polaków nie zostawiać w Syberyi Zachodniej, pozwolono Gustawowi dla zdrowia przebywać w Tobolsku. W pierwszych dniach po przyjeździe, Zieliński zamieszkał w chałupie Wolickiego, w towarzystwie Pietraszkiewicza. W późnej jesieni, z powodu ciasnoty mieszkania, przenieśli się do domu przy ulicy Małej Archangielskiej i zamieszkali znowu we trzech; tylko że miejsce Pietraszkiewicza zajął St. Dotkiewicz. Na wiosnę Wolicki z Zielińskim, najęli mieszkanie u świeżo ochrzczonego Tatara. Było ono bardzo schludne, a składało się z trzech pokoi — trzeci był salonikiem. Do usług mieli Polaka, Żłobickiego, danego Wolickiemu, jako *kapelmistrzowi tobolskiej orkiestry wojskowej,* za „deńszczyka" oraz kucharkę Parentiniową, żonę żołnierza także Polaka, która za mężem podążyła aż na Syberyę. Gospodarstwem domowem zajmował się Wolicki, którego zalety kulinarne poznał Gustaw jeszcze w Warszawie, podczas pobytu w ludwisarni.

Długie chwile bezczynności, w których Gustaw czuł się do niczego nieprzydatnym na świecie człowiekiem, skracały czasem łowy, częściej czytanie. W jednym z listów do stryja podał (chociaż nie zawzięty myśliwy), zajmujące szczegóły o rodzajach zwierzyny i sposobach łowienia jej: „Polowania tutejsze odbywają się z wyżłem, chartami i oga-

rami, lubo te ostatnie lat kilka dopiero, jak na Syberyą z Litwy sprowadzone zostały i dotąd tej rasy, więcej tu nad piętnaście psów się nie znajduje. Zwierzyny w okolicach Tobolska jest podostatkiem; niema jednak grubej tak dalece, że niedźwiedzie i wilki, tak obfite w innych guberniach, tu za osobliwość są uważane. Sarny i jelenie wcale się nie znajdują, tylko czasem wędrowne reny, zwane tu *„oleniami"*, przybliżają się na kilkadziesiąt wiorst pod Tobolsk i to od północy. Wtenczas, kto się strzelcem nazywa, śpieszy na powitanie wędrownych gości; lecz te wypadki bardzo rzadkie bywają i za mojej bytności jeszcze się żaden podobny nie wydarzył. Lisy także i to tylko czarne, bardzo rzadko się tu pokazują, a soboli nie ma zupełnie, tak dalece, że wszelkie kosztowniejsze futra, daleko droższe są w Tobolsku, aniżeli w innych prowincyach Rosyi lub w Polsce. Lubo tu zima nie żartuje, zwłaszcza gdy spirytus w termometrze spadnie niżej 30 stopni, nie można się bez futra na świat pokazać, a tem więcej, gdy komu w drogę jechać wypadnie, mieszkańcy więc tutejsi używają futer następujących: Niższa klasa, — mężczyzni noszą kożuchy baranie, a kobiety szubki podbite futrem zajęczem; wyższa klasa, używa odzienia nazwanego *„jagą"*. Jaga wygląda jak tołub z rękawami, którego wierzch i spód jest futrem. Najczęściej bywa z *„nieplników"*, tj. wyporków renowych, koloru brunatnego lub popielatego, z wszytymi białymi pasami, — czasem bywa z wyprótych źrebiąt czarnego

łyszczącego koloru, a niekiedy z *„gagarków“* tj. szyjek dzikich kaczorów. Obciągnięta z pierzami szyjka kacza i wyprawiona, jest niewielka, i kupuje się tu po 15 czy 20 kopiejek; na czapkę najmniej trzeba sztuk 20, — wyobrazić więc sobie można, ile trzeba gagarków na zszycie jednej jagi. Kolor ich mieniący się, desenie i oryginalność, tak są zajmujące i piękne, że dziwiłem się, dlaczego w Europie ten rodzaj futra prawie dotąd zupełnie nieznany. Rodzaje opisanych futer są właściwe sybirskie, a Ostaiki i Samojedy, mieszkający na północy tobolskiej gubernii, całych ubiorów podobnych używają. Bogatsi zaś tutejsi mieszkańcy, noszą futra lisie, niedźwiedzie, z szopów, z soboli itp. stosownie do zamożności. — Wracając się do polowania, — grubej zwierzyny niema wcale, ale zato jesienią i zimą mnóstwo zajęcy, a wiosną nieprzeliczone gromady ptastwa się znajdują. Zające jednak, gdy już śnieg upadnie, są niezmiernie trudne do ubicia, bo kolor ich nic się nie różni od koloru śniegu; gdy więc przed psami się posuwa, dobry wzok mieć trzeba, ażeby go dojrzeć, i tylko ślepie czarne i czârne końce słuchów niekiedy go zdradzają. Jest ich obfitość, — czterech lub pięciu strzelców przy dobrych psach, może ich ubić dziennie do trzydziestu sztuk, a czasami i więcej. Lud prosty nie jada zajęczego mięsa, brzydzi się niem nawet, nazywając zająca *(koszką)* tj. kotem; przeto zwierzyna ta niezmiernie tania: można dostać sztukę, ale bez skóry, za 7 do 10 kopiejek. Skóry zaś wyprawne

i w błam zszyte, stosownie do dobroci, od 5 do 10 rubli asygnacyjnych się przedają. Błamem takim można podszyć płaszcz cały lub szubę. W zimie, gdy wielkie śniegi upadną, nie można z psami polować, więc używają *„nartów“* tj. łyżew drewnianych, na których po wierzchu śniegów ślizgają się myśliwi. Wiosna otwiera polowanie na ptaki. Gorące nie do uwierzenia lato, nieprzeliczone chmury komarów i innych owadów, musi być powodem, że wędrowne ptastwo przybywa w takiej ilości. Kaczki, gęsi, bóciany, żórawie, łabędzie, jarząbki, słomki, bekasy, cietrzewie, kuliki, drozdy, głuszce i inne, tysiącami tysiąców przelatują z nadchodzącą wiosną, i można wziąć miarę obfitości zwierzyny z jej taniości, tak dalece, że dziś (w połowie maja) dziesiątek jarząbków płacą po $1 \frac{1}{2}$ rub. as.[1]), tj. sztuka wypada $7 \frac{1}{2}$ groszy. Kuropatwy są tu białe ale niesmaczne — rosół z nich bywa tylko niezły. Można przyznać, że i zające nie są tu tak dobre jak u nas w Polsce, co zapewne jest przyczyną, że nie mają pokarmu tak dobrego i obfitego. Ale kaczki, jarząbki i cietrzewie, są wyborne, i o tyle są tu rzeczą zwyczajną, o ile u nas są rzadką“.

Ważniejszym o wiele środkiem skracania czasu wlokącego się powoli, było czytanie. Wielkiego braku książek nie doświadczył Gustaw nigdy. Powieści, dzieła historyczne w języku francuskim i rosyjskim, stanowiły główne działy tych czytelniczych zajęć. Zieliński zaznajamiał się ze wszystkiem grun-

[1]) Rubel asygnacyjny wart był wtedy 50 groszy polskich.

townie i poważnie, rozmyślał nad przedmiotami, o których czytał i nad sposobem ich obrobienia przez autorów, i lubił zdawać ze swych spostrzeżeń krótkie sprawozdania w listach, już to do towarzyszów wygnania, już to do siostry, Eufrozyny Gorskiej.

Wreszcie i twórczość poetycka, przyczyniała się po części do kojenia trosk i zapełnienia czasu. Brał do niej tematy z własnego życia, a raczej z dziedziny tych stanów duszy, jakie były wynikiem strasznego przejścia, oderwania od rodziny i zamieszkania na dalekiej północy. W chronologicznym porządku należą tutaj, o ile się dochowały, następne poezye liryczno-gnomiczne, z r. 1834: *„Odjazd"*, *„Do mojej myśli"*, *„Przemiany"*, *„Życie"*, *„Śmierć"*; z r. 1835: *„Miłość"*, *„Nie mogę być twoją"*, *„Tu i tam"*, *„Rozbójnik kalabryjski"* (ballada), *„Czarownik"*, *„Fantazya"*, *„Wiosna"*, *„Sen"*, *„Do mej lubej"*, *„Do Stanisława D."*, *„Wczoraj i dzisiaj"*, *„Z imionnika syryjskiej dziewicy"*, *„Żórawie"*. Są w nich rozumne myśli, dużo powściągniętej uczuciowości, lecz szczególnej siły i barwności wyrażenia, ani też mistrzostwa w wierszowaniu nie odkrywamy.

Wolicki w swoich *„Wspomnieniach z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberyi"* (Lwów, 1876) świadczy, iż tworzenie przychodziło Zielińskiemu łatwo: „nie męczył się on nad klejeniem wierszy jak zwykli wierszokleci, lecz najczęściej w chwili samotności, w zamyśleniu, z natchnienia improwizował po kilkaset wierszy na raz; później dopiero w całości je na papier przelewał". Prócz

drobniejszych utworów, napisał w r. 1835 pierwszy swój większy poemat p. t. *„Samobójca“*, wydany w całości dopiero r. 1878 w Toruniu, lubo w ułamkach drukowany już nieraz dawniej, a najprzód w *„Przeglądzie Naukowym“* warszawskim z r. 1843. Wypadek rzeczywisty — śmierć pewnego młodzieńca, który na wygnaniu z tęsknoty za krajem, odebrał sobie życie — posłużył Zielińskiemu za pobudkę do utworzenia *„Samobójcy“*. W poetycznem rozwinięciu tej treści, autor dbał raczej o skreślenie kilku obrazów usposobienia człowieka samotnego, lub też widoków natury, aniżeli o rozwinięcie epickiego wątku. Trzymając się wzoru danego przez Byrona, kazał czytelnikowi wiele, może nawet za wiele się domyślać, zamiast przedstawić mu szczegóły, doprowadzające młodzieńca aż do samobójstwa.

Na samym początku, poznajemy starca i dziewicę, którzy przyszli na mogiłę kochanego niegdyś człowieka, by swe żale i cierpienia wypowiedzieć. Starzec był ojcem nieszczęśliwego, dziewica — narzeczoną. Starzec narzeka na zawiedzione nadzieje, lecz z rezygnacyą poddaje się wyrokom Opatrzności: dziewica wypowiada przekonanie, że za grobem duch jej, połączy się z duchem zmarłego, „jak w harmonii pienie z pieniem, jak światełko z swym promieniem“. I starzec i dziewica wkrótce pomarli.

W drugiej części poematu widzimy „loch podziemny z warownymi mury, nad którym wisi półkrągłe sklepienie“, a w nim młodzieńca, „rzuconego własnym myślom na pożarcie“. Wściekłość począt-

kowa człowieka pozbawionego wolności, powolne ukojenie burz serca — dobrze skreślone. Dalsze rozmyślania młodzieńca, przypominającego sobie główne fazy dziejów powszechnych, by stwierdzić, że niegdyś było pole do działania dla umysłów gorących i zdolnych, że umiano ocenić wówczas męztwo i talent, gdy dziś umysły takie muszą „przeklinać życie w jakiej wygnania krainie“, w niektórych tylko poszczególnych wierszach, pięknemi i przekonywającemi nazwać można, gdyż młodzieniec zanadto idealizuje przeszłość, widząc w niej tylko same jasne, zachwycające strony, a zbyt ogólnikowo zbywa obraz stosunków sobie spółczesnych, nie dozwalających na rozwinięcie się i wywyższenie jednostki, szlachetniejszym obdarzonej duchem. Osobiste dzieje młodzieńca, zawarte są w krótkim i niezbyt wymownym ustępie: kochał namiętnie, ale wokół napotykał „głazy“, pragnął pracować dla ludzkości, sądząc i słusznie, że to „co było *kwiatem* w ideale, może dać *owoc* w przyszłości“, lecz rychło się rozczarował i zaczął narzekać na majaki marzycielskiego usposobienia:

Lecz biada temu, kto przebiegłszy kraniec
Rzeczywistości, w kraj marzenia goni;
Zapomni, że on tej ziemi mieszkaniec,
I tchem owiany czarodziejskiej woni,
Na idealny puszcza się manowiec;
Tworzy istoty, odziewa je w szaty,
Własnej fantazyi, uczuć i miłości;
Nie te — któremi Bóg zaludnił światy
Rozumne, — ale z ogniem namiętności.

Z trzeciej części domyślić się trzeba, iż młodzieńca wypuszczono z owego lochu i wysłano w kraj obcy. Żadna nazwa nie została wymieniona, ale miejscowość tu opisana jest Żukowem koło Tobolska, znanym nam już z listów Gustawa do siostry. Barwnie, żywo, opisuje poeta polowanie na stepie. Młodzieniec, z postawą i zachowaniem się bajronisty, nie bierze udziału w ogólnem zajęciu:

Zamknięty w sobie — w swych uczuć głębinie,
Roztrząsa dzieje całego żywota,
I znów je przeżyć w jednej chce godzinie.
A w twarzy jego ileż widać wrażeń
Szybkich i zmiennych — jak pasmo wydarzeń
Od chwili, w której myślą zaczął władać.
To lekki uśmiech przez lice przeleci,
To je ożywi pamiątką wesołą,
To mu się chmury zgromadzą na czoło,
Które się zdają burzę zapowiadać;
To śród nich, promień nadziei zaświeci,
To znów — twarz wyraz nieznany przybiera,
Znów się na czole nowa burza zbiera,
W oku się jakiś dziki zapał żarzy;
A z ust zaciętych i z muskułów drżenia,
Z rysów *okropnych* mieniącej się twarzy,
Możesz wyczytać straszną myśl — zniszczenia;
To spojrzy w przepaść — gorzko się zaśmieje,
Z dziką radością na jej dno poglądą;
To potem widać, jak wspomnieć coś żąda,
Bo patrzy w niebo, a z oczu łza płynie;
Spojrzy, pociągnie okiem po dolinie,
A w oku jego znów widać nadzieję.
Lubym obrazem myśl wzburzoną koi,
A potem nagle *zamyka się w sobie,*
I w tej *pozornej nieczułości stoi*
Nieporuszony — jak *posąg na grobie.*

Młodzieniec nie powrócił już z polowania.

W czwartej wreszcie części, przedstawia poeta różne zachowanie się ludzi wobec skrwawionego trupa młodzieńca. Jeden tylko człowiek z współczuciem zwrócił się do niego, lecz zrobił mu lekki wyrzut, iż zląkłszy się burzy „nie śmiał trudem, pracą, znojem, w zastęp błędów iść przebojem“ i doczekać się chwili, „gdy się ludzkiej wiedzy rzeki, do idei czystej spłyną, tej, — że ludzkość jest rodziną, gdy ją spoją węzłem zgody, wiara, światło i swobody“. Po zmarłym pozostała piosneczka, tęsknie zwracająca się do lat dzieciństwa i młodości, z bolesnem zaznaczeniem, że górne marzenia o sławie, zastąpiło wygnanie i utrata wszelkiej nadziei. W obrazku, który znaleziono przy samobójcy, widniała anielska postać kobiety — może owej dziewicy, którąśmy na początku utworu poznali, a może też postać ta jak mówi autor:

Nie była dziełem ziemi, ale snem poety,
Potrzebą duszy, pięknym życia ideałem,
Myślą wydartą niebu młodzieńczym zapałem.

Sąd autora o młodym samobójcy streszcza się w słowach: „mało zrobił dla siebie, mniej jeszcze dla świata; miał myśli, te się jeszcze z obsłon nie wyprzędły, ledwie w pąk zawiązane, zeschły i uwiędły; ale nie miał tej twórczej, której skrzydłem wzbity, mógłby się kiedyś wynieść nad gmin pospolity“.

Wielkiego wrażenia poemat nie wywiera; zbyt mało znany jest nam młodzieniec samobójca, aby-

śmy się mogli wczuć w jego duszę; cierpienia zaś jego, tylko na podstawie domysłu odtwarzamy sobie. Kompozycya jest bardzo luźna i nie tworzy zwartej, skupionej w sobie całości; jest to szereg obrazów i rozmyślań, w których cząstkowe jeno możemy uznać piękności. Plastyki w przedstawieniu ludzi, niewiele — więcej w malowaniu krajobrazów. Już w tym pierwszym większym utworze Zielińskiego, widać przewagę zasadniczych cech jego umysłu i twórczości, cech, dających się zwięźle wyrazić, jako refleksyjność i skłonność do opisów.

VI.

W końcu lipca 1835 r. musiał Gustaw podążyć do właściwego swego miejsca przeznaczenia, o 300 wiorst od Tobolska oddalonego, do Iszymu. O mieście tem pisze:

«Iszym leży w południowej stronie tobolskiej gubernii, nad rzeką tegoż nazwiska, która miasto z trzech stron oblewa, a z czwartej rzeczka Karasula, wpadająca do Iszyma, nadają miejscu, na którem miasto położone, postać wyspy. Naokół miasta jest step obszerny, na którym gdzieniegdzie jeszcze wioski spostrzegać się dają, a o wiorst 8 od miasta ciągnie się łańcuch gór, które widać, że kiedyś były brzegiem rzeki Iszyma. Od tych gór poczyna się step zwany „iszymski“, który na kilkaset wiorst odległości nie przedstawia nic prócz kwiatów, trawy i krzaków. Miasto Iszym, pomimo że jest obwodowe, nie jest duże: dwie głów-

niejsze ulice i kilka poprzecznych stanowią całą jego rozległość. Domy drewniane i lubo niektóre bardzo porządne, będące własnością urzędników lub kupców miejscowych, reszta bardzo mizerne i drogie, z powodu, że Iszym rzeka niespławna, a las, z którego mieć można drzewo do budowy, przeszło o 200 wiorst od miejsca odległy. Z tych powodów trudno znaleźć do wynajęcia dobre pomieszkanie i jeżeli lepsza gdzie kwatera, to ją trzeba przepłacić. Zresztą Iszym, nie jest punktem handlowym i lubo przedmioty do życia potrzebne, tańszymi są tu niż w Tobolsku, jednakże inne, bez których obejść się nie można, drogością swoją taniość pierwszych równoważą. Lubo dni pięć, jak tu przybyłem (pisał to Gustaw 3 sierpnia 1835 r.), nie znalazłem dotąd osobnego mieszkania i stanąłem razem z Romanem i Erazmem Chełmickimi, którzy od dwóch tygodni z gubernii tomskiej tu na mieszkanie przybyli. Nie możemy zaś mieszkać razem, bowiem szczupłość pomieszkania jest temu najgłówniejszą przeszkodą, a w całem mieście nie znajdzie takiego, gdzieby trzech razem wygodnie pomieścić się mogło. Zresztą, potrzeba się tu starać, aby mieć stół razem z pomieszkaniem, albowiem w jesieni gdy deszcze padać zaczną, takie tu jest błoto (ulice bowiem dla braku drzewa i kamieni nie są ani mostowane, ani brukowane), że niepodobieństwo wychodzić. Lubo w każdem miejscu człowiek spokojnie żyjąc może być szczęśliwy, jednakże dziwną mi się wydało rzeczą, mieszkanie w tak małem miasteczku, gdzie

jeśliby nie literatura i przyjemne towarzystwo, toby przyszło z nudów umierać. Ponieważ jeszcze jestem tak jak w podróży, bo nawet rzeczy moje nierozpakowane, a papier na którym piszę, pióro, atrament, nawet stancya, stolik i krzesło, na którem siedzę pisząc, wszystko jest cudze — przytem nie zebrawszy jeszcze myśli po ostatniej podróży, która trzy dni i trzy noce trwała — to tylko dodać muszę, że nic mnie w przejeździe więcej nie zadziwiało, jak płodność tutejszej natury, która zdaje się, że chce wynagrodzić w kilkomiesięcznem lecie ten sen, w którym tak długo przez zimę spoczywa. Pomimo nadzwyczaj pięknej zieloności i widoków, jakie rzeki przepływające w pięknej tworzą okolicy, rzuciwszy okiem na pola, widać niwy nieprzejrzane różnobarwnych kwiatów, które jakby kobiercem ziemię przyodziewają; te kwiaty tak są piękne i rozmaite, tak pełne, że u nas, ogrodów nawet mogłyby stać się ozdobą. A przytem, jakie tu urodzaje: żyta, jęczmiona, owsy i jare pszenice! wyglądają jak dachy, i w słomę wybujałe i w ziarno obfite, łąki zaś zdaje się, że samą czerwoną i białą zasiane koniczyną. Słowem, że w tej chwili poglądając na te pola, łąki, kwiaty, zboża, doświadczając tych upałów, które do 40 dochodzą stopni, człowiek mimowolnie zapomina, że jest na Syberyi, ale obejrzawszy się na nadchodzącą zimę, przypomniawszy sobie, że tyle jest odległym od istot najdroższych sercu, wzdycha za tą chwilą, która go może kiedyś na łono lubych osób przeniesie».

Niebawem wynalazł sobie mieszkanie, w którem miał rok z górą przepędzić. Podał jego opis w liście do siostry:

«Jest to dom drewniany, dosyć dobrze zbudowany, do którego tutejszym zwyczajem wejście od podwórza. Pierwsze schody wraz z *„krylcem“* (przystawką), należą do moich gospodarstwa; drugie do mnie i dają wstęp do moich apartamentów. Wszedłszy więc na 4 stopnie i dobrze się schyliwszy we drzwiach wchodowych, aby sobie nie rozbić łysiny, przychodzący znajdzie się w moim pokoju, w którym postrzega wiszący płaszcz i wilczurę, stojące 3 pary butów i jedne kalosze, i ogromną miednicę blaszaną, postawioną na jednej z ławek drewnianych. Dalej, szafka o 3-ech policach przybita do ściany, w której wazka i kilka talerzy, para lichtarzy, miseczka do szuwaksu i kilka szczotek, składają całą ruchomość, a naprzeciwko okna, jak paszcza wieloryba, jest otwór do pieca. Wielka polica z desek zajmuje całą przestrzeń między piecem a oknem: zwykle za sypialnią służy tutejszym mieszkańcom; jest zaś tak obszerną, że 8 osób z łatwością na niej wyspać się może. Ten rodzaj spalni w każdym domu sybirskim znaleźć można, mianowicie w niższej klasie, i zasadza się na tem fizycznem doświadczeniu, że ciepło unosi się do góry, a zatem w czasie wielkich mrozów jest to punkt najcieplejszy w całem pomieszkaniu. Obejrzawszy dokładnie mój przedpokój, schyliwszy się porządnie, wejdziem do drugiej komnaty, która zarazem jest moim pokojem sypialnym, bawialnym, jadalnym,

gabinetem lektury itd. Jestto pokój dosyć obszerny, wybielony, czysty, mający porządną z desek podłogę, sufit na jednej oparty belce, wysokość tak znaczną, że ledwie do belki ręką sięgnąć mogę; trzy okna podwójnie po 6 szyb taflowych mające, oświecają należycie; słowem, gdyby nie drzwi, które na przekór architekturze zbyt są nizkie, byłby to bardzo przyzwoity pokoik. Piec ceglany, wybielony, ale w proporcyi ogromny, ponieważ nie ma kanałów tylko czeluście, jakie u nas do pieczenia chleba stawiają. Większa część mebli (łóżko, cztery stoliki, dwa stołki z poręczami), należy do moich gospodarzy; dwa narożne stoliki są bardzo porządne, fornirowane korzeniem brzozowym — mogłyby ujść i w więcej eleganckich apartamentach; reszta mebli malowana czerwono, prócz mego kuferka, który jest błękitnego koloru. Wiesz o tem, że lubię porządek; przeto jak co położone zostało lub postawione przed trzema miesiącami, tak i nadal zachowa swe miejsce, chyba, że będę zmuszony innej sobie szukać kwatery. A więc do szczegółów. Łóżko przykryte dywanikiem tumieńskiej fabryki, zasłane kołdrą flanelową, na której leży czerwona skórzana poduszka, a drugi dywanik, znajomy ci pewnie, osłania ścianę oknu przyległą. Na tem to łóżku, ileż ja miałem snów miłych, które daj Boże, aby się kiedyś w rzeczywistość zamieniły! Ileż to razy, byłem pomiędzy wami, w waszych objęciach; ileż to razy, rozmawiałem z osobami, które już znikły dla świata, a które sercu memu i myślom są wiecznie przy-

tomne; ileż to razy, dzisiejsza obecność snem mi się być wydawała. Niestety, ile sen był rozkoszny o tyle przykrem było przebudzenie. — Na stoliku przy łóżku jest moja mała biblioteczka: jestto sobie maleńki chaos; obok poważnych pism Naruszewicza i Capefigue'a, leżą wesołe powieści Zschockego; obok romansów Bulwera, poezye Schillera i W. Hugo; obok „*Żurnalu ministerstwa oświecenia rosyjskiego*" leży „*Historya Nowego Testamentu*". Tę książkę otrzymałem w Moskwie od p. Gaz, członka tamecznego biblijnego towarzystwa, któremu tę muszę oddać sprawiedliwość, że przy wysokim swoim urzędzie, jest prawdziwym opiekunem więźni i nieszczęśliwych. Reszta książek, są to dykcyonarze, gramatyka rosyjska i katalogi; moją własnością jest tylko Nowy Testament, gramatyka, jeden tom poezyj Schillera, reszta czasowo do użytku udzielona. — W kuferku przy łóżku stojącym, prócz sukien i ostatków bielizny, nic się podobno więcej nie znajduje — prócz 3 woreczków pustych, z których jeden jest darem od ciebie, 2-i z Warszawy, 3-ci z Tobolska. Nad stolikiem rogowym wiszą 4 obrazy świętych pańskich, — zwyczaj w każdym rosyjskim domu obserwowany; na stoliku stoi zwierciadło, które za każdem spojrzeniem przypomina, że człowiek codzień to starszy, i gdybym miał więcej miłości własnej i próżności, niż jej mam w tej chwili, tobym rozbił na drobne szczątki ten sprzęt niegodziwy, pokazujący: coraz to widoczniej próchniejące zęby, rzedniejące włosy i projekta do zmarszczków; ale zwierciadło ko-

niecznem jest do pozbycia się nierówności brody, którą najmniej dwa razy w tydzień skrobać muszę. Na tym więc stoliku leży brzytwa, pędzelek, kubek do mydła i szachownica z szachami. Mówiąc o szachach, dodać muszę, że liczę się najlepszym graczem między tutejszymi graczami, ale wiele mi brak do doskonałości; pocieszam się jednak zawsze tą myślą, że i Napoleon w szachowej grze nie górował. Pod stolikiem stoi pudełko, w pudełku kapelusz. Idąc dalej, pomiędzy oknami na gwoździku wisi kapciuch, dar Maksyma, gdy miałem opuszczać Warszawę, a przy oknie przybity termometr, który w tej chwili (był to 5 listopada) $16^1/_2$ stopni ciepła pokazuje. Pod temże oknem jest stolik za biurko służący; na jego środku stoi tacka papierowa, a na niej różnokolorowe laki, pieczątka po ojcu, scyzoryk, ołówek i pióra, obok stoi kałamarz i pudełeczko z farbami; przed tacką leży linijka i pugilares, a na pugilaresie motyl, który dni temu parę nie wiem skąd się wziął w moim pokoju, żył dosyć długo i skończył dni swoje na literach *„Souvenir“* pugilaresu. Co to ma znaczyć? — jako niebiegły w sztuce wróżenia, wiedzieć nie mogę; zwłoki jednak biednego motyla spokojnie leżeć będą w miejscu, gdzie je los porzucił. Po prawej stronie tacki, leży kalendarz na r. 1835 edycyi wileńskiej; w nim zapisany dzień przeprowadzenia się na kwaterę, dzień, w którym zjawiła się na naszym horyzoncie kometa Halleya (16 października) i inne tym podobne spostrzeżenia: jak np. spadnięcie pierwszego

śniegu, najmocniejszy mróz lub gorąco, etc. Po drugiej stronie leży plika papierów . . . Idąc dalej, — pomiędzy oknami, wisi portret naszego poety, którego geniusz uwielbiam i gniewam się na niego, że tak się wyniósł wysoko, że mu nigdy zrównać nie potrafię. Na drugim stoliku narożnym stoją preparata do herbaty: czajnik, parę szklanek, filiżanek, taca, garnuszek do śmietanki, cukierniczka, słoik z herbatą *„połoskatelniczka“* (miseczka do opłukiwania filiżanek) i taca blaszana, co wszystko wartość 12 r. as. stanowi. Na stołku, stawia się samowar kipiący rano i wieczorem. Takem się na nieszczęście wciągnął do herbaty, iż zdaje mi się, że jak ryba bez wody, ptak bez powietrza, tak ja bez tych ziółek chińskich, obejśćbym się nie potrafił; ale sądzę, że to jest tylko urojenie, na które niezbędna konieczność niezawodnem stałaby się lekarstwem . . . Na gzymsie od pieca stoi pudełeczko z tytoniem, miseczka do popiołu, krzemień, hubka, krzesiwo i fajki, a obok stoją 4 cybuchy, — słowem, cały przybór fajczany, który jedynym jest środkiem na zabicie nudów i próżniactwa» . . .

Jedynym środkiem — lecz tylko w pewnych miesiącach. We wrześniu bowiem pisał Gustaw do stryja, donosząc mu o swoich łowach na stepach iszymskich, obfitujących w jeziora i rzeki, a więc i w ptastwo: «Na zające jeszcześmy nie polowali, ale zato w kilku wyszedłszy na polowanie, przynosimy czasem do 50 sztuk ptaków. Polowanie odbywamy teraz z wyżłem lub siatką. Siatką, chwytamy prze-

piórki, których jest tu mnóstwo nieprzeliczone tak, że onegdaj jeden z moich towarzyszy, nakrył ich sztuk 40. Ponieważ rodzaj ten łowów niewielu liczy amatorów, przeto prawie wszyscy polują z flintami. — Kuropatwy mamy tu szare i białe: szare są też same co u nas i również smaczne, białe zaś, jak już donosiłem, są bez smaku; ale dopóki są młode — wyborne! . . . jednak podług mnie, najlepszymi są młode cietrzewie, których tu jest bardzo wiele. Jeziora i rzeki tutejsze są zasypane mnóstwem kaczek dzikich i kulików. Nigdy może nie zdarzyło mi się widzieć takiej rozmaitości kaczek, jak w Syberyi, — liczą ich do 80 gatunków. Są tu i duże i małe, i szare i czarne i białe, słowem rozmaitej wielkości i kolorów. Kaczki więc i kuliki, są głównym przedmiotem mojego polowania. Nie mam dotąd żadnych myśliwskich porządków, tj. ani psa, ani strzelby, ani torby, ani żadnej rzeczy, która do tego potrzebną jest; przeto żywię się tylko u drugich. Z pożyczoną tedy strzelbą, wychodzę sobie nad rzeczkę Karasulę, na której tysiące kaczek siedzi — podkradam się, podciągam na brzuchu, a gdy pomyślną upatrzę chwilę, paf! . . . i często się zdarzy, że coś zabiję, tak dalece, że w przeciągu godziny lub dwóch, po 4 lub więcej kaczek morduję. Największą mam jednak biedę z wyciąganiem ich z wody, i albo sam za zabitą kaczką brnąć muszę, albo też długim niezmiernie kijem spławiam ją sobie do brzegu. Jeszcze się jednak dotąd nie zdarzyło, żebym próżno z polowania powracał» . . .

W innym znów liście (do Dzikowskiego), zajął się Zieliński opisem gospodarowania w okolicach przez siebie zamieszkiwanych:

«Syberya, jako kraj wygnania, początkowo zaludniona była, albo odwiecznymi jej mieszkańcami Tatarami, Ostjakami, Samojedami, Tunguzami, Jakutami itd., albo ludźmi za karę do jej osad zesłanymi. Północni Syberyi mieszkańcy, tj. ludy, które dopiero co wymieniłem, wyjąwszy Tatarów, utrzymywali jak i dotąd utrzymują życie swoje rybołówstwem i polowaniem, i chociaż urządzenia administracyjne w Rosyi, zabraniają polować na zwierzynę w letnich miesiącach każdego roku, rozkaz ten bynajmniej nie rozciąga się na Syberyą, z powodu, że polowanie jedynym jest sposobem życia znacznej części jej mieszkańców. Nie bez tego, aby ludy ponad brzegami lodowatego Oceanu żyjące, nie miały zajmować się choć w części uprawą ziemi, w czasie krótkiego lecz niezmiernie upalnego lata. Jednakże rolnictwo nie jest ich głównym przemysłem, a bogactwo zasadza się na ilości posiadanych reniferów, z którymi z miejsca na miejsce koczują, i na handlu jaki rybami, sobolami lub innemi futrami kosztownemi prowadzą. Południowe zaś części Syberyi, a mianowicie tobolskiej gubernii, wyłącznie rolnictwu są poświęcone. Ludność zajmująca się rolą, składa się z rodowitych Rosyan, którzy albo dobrowolnie pozakładali tu swoje osady, albo przed dawnymi czasy za karę do nich zesłani byli; dziś bowiem zbrodniarze na Sybir przezna-

czeni, odsyłani bywają do wschodniej Syberyi, a w guberniach: tobolskiej i omskiej, już tylko starców i niedołęgów zostawiają, których wypuszcza się za biletami na tak zwane *„wolne propitanje“*, tj. wolno im obrać stan jaki się tylko podoba, byle godziwy, i uwolnionymi są całkowicie od podatków, do których płacenia wszyscy posieleńcy po przebyciu trzechletniem w Syberyi są obowiązani. Prócz wyżej wymienionej ludności, Tatarzy, których tu jest niemało, także zajmują się rolnictwem. Ziemia wyborna, gliniasta lub roślinna, utworzona z ciągłego gnicia roślin od tylu tysięcy lat, ziemia nigdy dotąd pługiem niedotknięta, musi obficie wynagradzać trudy rolnika i ziarno sobie powierzone stokrotnym pomnażać plonem. Przytem zważywszy: że włościanie tutejsi są tylko skarbowi lub koronni, że prywatnych niema właścicieli, którzyby swój majątek na ilość dusz liczyli — zważywszy nadto, że włościanie sybirscy są ludzie swobodni, którzy wiedzą, że dla siebie pracują, że nikt im ich własności wydrzeć nie potrafi, którzy bardzo małym podatkiem opłacają się rządowi — to wszystko wziąwszy na uwagę, łatwo pojąć można, dlaczego chłop sybirski jest przemyślniejszy i bogatszy, aniżeli włościanin innych części Rosyi, a cóż dopiero nieszczęśliwej, piasczystej Litwy!... Nie mogę wiedzieć, czy też same przyczyny dobrego mienia, które tu wpływ swój wywierają, egzystują również w guberniach krasnojarskiej i jakuckiej; a z pewnych źródeł wiem o tem, że gubernia krasnojarska jest

najporządniejsza i najchlebniejsza, a tem samem i najbogatsza. Ograniczając się więc opisaniem miejsc, które przebyłem i którym miałem sposobność dokładnie się przypatrzyć, zajmę się obrazem gospodarstwa wiejskiego w okolicach Iszyma.

«Okolice Iszyma są to okiem nieprzejrzane stepy, na których całą zimę rozciągnięta szata śnieżna, iskrzy się pod promieńmi zimowego słońca, odbijającego się od tysiącznych gwiazd i kształtów, w jakie tutejszy śnieg jest skrystalizowanym, na których goniące się wichry i burze, zamieniają całą okolicę w tuman zamąconego śnieżnego oceanu. Z nadejściem wiosny, jakby różdżką czarnoksięską dotknięte, znikają śniegi i lody, i w dniach kilku całe stepy zaczynają się zielenić, a pracowita ręka śpieszyć się musi z uprawą, aby korzystać z dni ciepłych krótkiego lata i żeby zebrać owoce, które w długiej jesieni i zimie mają wynagrodzić trudy odpoczywającego rolnika. — Ziemia tutejsza wogóle jest bardzo dobra, tak, że nawóz zupełnie jest niepotrzebnym — byłby nawet szkodliwym bujności plonów. Ta ziemia już zacząwszy od Uralów, niema na swej powierzchni jednego kamyka: jest to sypiący się czarnoziem, prawie wszędzie jednakowy, wszędzie urodzajny; gdzieniegdzie widzieć można gliniaste grunta, a piaski pomiędzy osobliwości policzyć należy. Jednakże staranna uprawa niemało się przyczynia do bujności urodzajów. Grunt zorany sochą, a później zawleczony żelaznemi bronami zaraz z początku wiosny, leży

tak i przepala się na słońcu aż do chwili, w której rozpoczynają się sianożęcia; wtenczas na nowo zoranym bywa i zawleczonym, i tak leży aż do śniegów zimowych, a dopiero z następną wiosną orze się, sieje i zawleka. Trzy więc razy około jednej roli pracować potrzeba, ażeby ta pożądane przyniosła korzyści; radlenia i przeorywania tu nie znają, a nawet całkiem jest niepotrzebne. Oziminy sieją mało; najwięcej siewów robi się na wiosnę; pszenica tylko jara jest tu znaną, a z jarzyn: owies jęczmień, groch i gryki cokolwiek. Pod żadne zboże nie orzą roli w zagony, ani nie brózdują, albowiem wiatry tu ciągle panujące tak ziemię wysuszają, że po trzydniowym deszczu dzień jeden pogody, nie zostawi nawet śladu wilgoci. Plon tutejszy od sześciu do dziesięciu ziarn wydaje i zdaje się, że nigdy tutejsi mieszkańcy na całkowity nieurodzaj uskarżać się nie mogli. Jakim zaś był urodzaj przeszłoroczny, najlepiej się przekonasz, gdy ci napiszę ceny zboża, jakie w tej chwili są na targu tutejszym. Wogóle w Polsce, koniec czerwca i lipiec uważane jako przednówek, są przyczyną niedostatku między włościanami i znacznie ceny zboża podnoszą. Tu zaś można powiedzieć, że chłop niezna co to przednówek; u niego nigdy prawie zboża nie brakuje i stąd ceny tegoż zboża przez cały rok prawie nie podnoszą się, ani nie zniżają, bo to jedynie od urodzajów zależy. I tak obecnie: czetwierć pszenicy płaci się r. as. 5; żyto i owies, które w jednej są tu cenie, połowę mają

tej wartości, groch zaś i gryka, ponieważ mało ich tu sieją, przedają się na funty, a zatem sądzę, że może korzystniej niż u nas.

«Liczne trzody bydła rogatego, wśród bujnych wyhodowanego stepów, stanowią znaczną gałąź handlu tutejszej okolicy, bowiem na jarmarku zimowym odprawiającym się w Iszymie, masło, łój i skóry, główny stanowią artykuł, a obrót jarmarczny przynajmniej na milion można rachować rubli. W czasie jarmarku oprócz kupców rosyjskich, widzieć można Tatarów, Kirgizów, a niekiedy Bucharców ze stepów środkowej Azyi przybywających, za kupnem lub sprzedażą rozmaitych przedmiotów.

«Okolice tutejsze wychowują nieprzeliczone mnóstwo zajęcy, które na zimę białym śnieżnego koloru pokrywają się włosem. Włościanie tutejsi, lubo przez zabobon nie jadają mięsa zajęczego, ale za to znaczny prowadzą handel zajęczemi skórkami, tak dalece, że na jarmarku jeden włościanin czasem do tysiąca skórek, umyślnie po nie przyjeżdżającym kupcom sprzedaje. Trudno, abym tu opisywał sposoby łowienia tych zwierząt; są to bowiem albo doły, w które wpadają, albo wnyki zastawiane na tropach zajęczych, albo sieci, w które ich napędzają. Ale najważniejsze polowanie jest na upatrzonego, zwłaszcza w jesieni takiej jak tegoroczna (r. 1836.). Cóż bowiem dziwnego, upatrzyć zająca białego pod krzaczkiem, na łące, lub na czarnej siedzącego roli; włościanie więc z samego rana wyjeżdżając konno z gwintówkami, wracają wieczorem po kilkadziesiąt

ich przywożąc. To jeszcze dodać potrzeba, że upatrzywszy, nie strzelają zająca jeśli go w sam łeb trafić nie mogą, a to, aby skórki nie psuć lub nie zafarbować. Jako maximum teraźniejszej jesieni zabitych zajęcy w dniu jednym przez jednego człowieka, podają jakiegoś włościanina, który od rana do wieczora zabiwszy ich sztuk 60, gdy wpakował to mnóstwo na konia chcąc do domu powrócić, przełamał krzyż koniowi, a tak ukaranym został za swoje łakomstwo. Może mi tu kto zarzucić niepodobieństwo włożenia tak wielkiego ciężaru na jednego konia, ale na to odpowiedzieć mogę tem, że potrzeba znać tutejszych koni moc i wytrwałość. Zdaje się trudnem do uwierzenia, aby koń jeden ciągnąc w wozie 25 pudów ciężaru, mógł zrobić sto wiorst bez spoczynku, co jednakże tu dosyć często miewa miejsce. Przyczyną tego: 1°, że rasa koni jest mocniej zbudowana niż u nas; 2°, że bardzo młodych do pracy nie używają; 3°, że stepy tutejsze najdoskonalszej dostarczają im paszy. I to także za przyczynę mocy konia położyć tu można, że klacze do żadnej pracy używane tu nie są, tak dalece, że gdyby kto tu pokazał się konno na klaczy lub miał w wozie zaprzężoną, musi się narazić na wszystkie nieprzyjemności: wytykania palcami, wyśmiania i wykpienia przez wszystkich niemal przechodzących; ten więc rodzaj jakiegoś przesądu, zostawując klacze w spokojności, wpływa wiele i na potomstwo — źrebięta rodzą się zdrowe i silne, i w piątym lub szóstym roku życia oprzęgane, mu-

szą być mocne i wytrzymałe. Z tej przyczyny, że tu wiele koni chowają, są dosyć tanie; za 100 r. as. można niezłego nabyć konika, a nie słyszałem, aby który z tutejszych koni nad 200 r. as. był ceniony; klacze zaś przedają się za bezcen.

«Wody, lubo obfitują w ryby różnych gatunków, w całej Syberyi nie mają raków. Prócz tego, pozbawieni jesteśmy wszelkich drzew owocowych, skrzekotania żab i śpiewu słowika. Wścieklizna, tak gdzieindziej straszliwa, żadnego na ludziach nie wywiera tu skutku; a cholera, która świat cały prawie obiegła, do Syberyi wstępu nie znalazła!»...

VII.

Życie w Iszymie płynęło Zielińskiemu nieco przyjemniej aniżeli w Tobolsku — przez lat kilka miał tu 11-tu towarzyszów Polaków, z którymi był w zażyłości. Prócz książek, miewał tu regularnie trzy czasopisma: *„Dziennik ministeryum oświecenia"*, *„Journal de Francfort"* i *„Tygodnik petersburski"*, który wtedy obok samego wydawcy, Józefa Przecławskiego, cieszył się spółpracownictwem Michała Grabowskiego, a zwłaszcza Józefa Ignacego Kraszewskiego, piszącego z młodzieńczą werwą i śmiałością — i najświetniej się rozwijał, zaznajamiając z ruchem umysłowym w kraju i za granicą. *„Tygodnik"* przesyłano sobie na Syberyi i na nim głównie opierano sądy o owoczesnej literaturze.

W korespondencyi Zielińskiego znajdujemy ciekawą wymianę myśli co do pisarzy, którzy największą zwrócili na siebie uwagę wygnańców. Pierwszy ze zdaniem wystąpił Ignacy Orpiszewski, znajomy Gustawowi jeszcze z kraju, mówiąc: „Miałeś racyę, że *„Tygodnik“* przyniesie mi pociechę; sam nawet widok gazety polskiej i miłej mowy ojczystej, niewidzianej w druku oddawna, wzbudził był we mnie jakieś miłe przypomnienie rzeczy rodzinnych. Pociecha ta przybrała zasadę materyalniejszą i trwalszą, gdym się przekonał, że intellektualne życie naszego pokolenia jest na drodze postępów i samodzielnej dążności w przyszłość. . . Trzej literaci, stojący na czele pomiędzy występującymi w *„Tygodniku“* (Przecławski, Grabowski, Kraszewski), oceniając wzajemnie swoje talenta i prace, sami sobie nawzajem oddają sprawiedliwość. Może być liczni indywidualni nieprzyjaciele Kraszewskiego z tych komplementów wzajemnych złośliwe wyprowadzają wnioski, ale dla nas, tak dalekich od wszelkich owych stosunków, a zatem doskonale bezstronnych, pisma publikowane przez tę gazetę stanowią *zupełne* akta sprawy. . . Ocenianie i porównywanie tych trzech znakomitych pisarzy, przedstawia umysłowi mojemu interesującą i przyjemną robotę, a raczej rozrywkę. Ja lubię Kraszewskiego, wielbię jego niepodległość zdania, lubię go za jego charakter szczery, śmiały, otwarty, lubię go za jego język improwizowany, łatwy, często naiwnie popularny i poufały, lubię go jeszcze za owe prawdy, które

wbrew powszechnym przesądom, śmiało odkrywa i broni, mówiąc: że do zwalczenia materyalnie tak szkodliwych i narodową dumę tak obrażających przesądów, chciałby się choć odrobinę przyłożyć; — o! zaiste! czas do tego już dawno przyszedł. Po nocy saskiej dzień znów już dawno rozświtał i jużby się powinno mieć ku południowi, którego dopiero blask doskonale jasny, czysty od wszelkich dzisiejszych jeszcze porannych tumanów, horyzont naszych opinij kiedyś do reszty rozświeci. Mówię tu o liście Kraszewskiego do wydawcy, w którym ową niedołężną, na żadnych ni moralnych, ni fizycznych danych nieopartą, niewolniczą sympatyą naszą z Francuzami, gromi tak odważnie i trafnie, chociaż, jakkolwiek śmiały, opierając się na historycznych tylko faktach, jedną tylko połowę swojej kwestyi dotyka — ba! i to dosyć śmiałości. Gdyby przymieszawszy trochę filozofii do historyi, ważył się jeszcze jaśniej wytłomaczyć, jeszcze drugą prawdy połowę zdrowym zmysłem oświecić, musiałby chyba pod ziemię od prześladowań swoich ziomków uciekać; on już i za to, że Francuzów nie za bezwzględny prototyp wszelkiej doskonałości głosi, że i na kilka innych przedmiotów z wyższego, gdzie mgły bijące się po ziemi nie chodzą, patrzy niż gmin punktu, potężne cierpi prześladowanie. . . Do prześladowań, jakie cierpi Kraszewski, przyczynia się bezwątpienia jego zbyteczna cierpkość, wyniosłość zakrawająca na studencką jeszcze fanaberyą, — ale cóż robić? Wieluż jest takich, którzy głęboko,

dotykalnie czując swą nad otaczającym gminem wyższość, z chrześcijańską pokorą i cierpliwością znoszą głupie jego krytyki i sarkazmy za to tylko, iż stworzeni wyższymi, chcą zająć w społeczeńsko-moralnych stosunkach właściwe, od natury sobie darowane stanowisko. Ktoś mówiąc o uszczypliwości Mickiewicza, powiedział: „że geniusz kładzie zawsze silne farby na swojej robocie, jakiegokolwiekby ona była rodzaju i koloru“ . . . Jednakże ja bynajmniej Kraszewskiego nie nazywam geniuszem. . . Wraz z Grabowskim, widzę w nim rozum silny, tj. bez wysileń głęboki; widzę przedziwny dowcip jako dar natury, dziwię się masie jego wiadomości różnorodnych, takiej uczoności w jego wieku, rezultatowi pracowitości i wytrwałości w literackim zawodzie i na drodze poznań ludzkich. Przyznałbym w nim i znakomitą genialność, gdyby potężnej myśli jego zewnętrzne formy, jego idei ciało, zawsze ważyło się, że tak powiem, ze swoją duszą. Dlatego to Grabowski nazywa go *„poetą prozy“;* mnie się zdaje nie dlatego, ażeby w prozie jego była poezya, lecz że i w prozie i w wierszach jego, daje się nie tyle widzieć jak dostrzedz, ważna (nie lekka) a lekko natchniona idea. W języku, którym wiecznie mówi Kraszewski, uderza, porywa szczególnie łatwy mechanizm słowa, ale nie czujesz tu nigdy nad sobą wszechmocnej potęgi natchnionej mowy, estetyczno-doskonałej jej formy. Forma wcielenia czyli wysłowienie myśli, musi być zaiste nie bagatelą, ale może całą połową wartości pisarza,

kiedy np. Chateaubriand, którego tyle razy nazywają genialnym człowiekiem, utrzymuje, że każdy pisarz żyje tylko stylem, kiedy *on sam* za nim się ugania i całą swoją twórczą władzę na wysłowienie zużywa . . . Powiedziałem, że lubię Kraszewskiego język lekki, potoczny, czysto rozmowny; tak jest — lubię go, kiedy nim pisze swoje wesołe, chociaż głębokie Asmodeuszowskie sarkazmy, swoje dowcipno-malownicze obrazy Wilna itp., kiedy się nim odstrzeliwa od napaści, którą gardzi i lekceważy, ogania, że tak rzekę, od much dokuczających mu wtenczas, gdy się zagłębia w swoje naukowe prace; nawet wtenczas gdy z szczerością i prostotą tłomaczy się nam ze swoich czysto prywatnych uczuć, opowiada dolegliwości, skarży się z naiwną obnegacyą duszy, że go otaczający przyjaciele nie rozumieją lub zdradzają. Lecz jeżeli Kraszewski tym samym lekkim językiem śpiewa, i wzniosłe hymny i poemata — jeżeli (jak zapewnia Grabowski i jak z ogłaszanych urywków przeczuwać się daje) w takież słabe ciało odziewa swoje myśli poety, i wtenczas nawet gdy ulotniona jego wyobraźnia, wznosząc się na potężnych skrzydłach natchnienia w wysokie krainy przyszłej, tajemniczej, wspólnej nam wszystkim ojczyzny naszej, tam polatuje i pławi się w poetycznym zachwyceniu — to ja jego nie nazwę wielkim poetą, ale razem z Grabowskim *„poetą prozy“*, jakkolwiekby poetyczną i ważną była myśl jego. . . Otóż tedy przedziwny, wyborny, doskonały w jednem, nie może daleko Kraszewski zrównać się co do

prozy z Grabowskim i wydawcą w rzeczach poważnych, wysokich, w takiej proporcyi jak np. z królem naszych poetów, śpiewakiem „*Wallenroda*“, co do języka i lotu poetycznego . . . Wydawca skąpo się udziela; ale też co może być piękniejszego nad jego np. uwagami nad tańcem Taglioni, (mówię „*tańcem*“, zapomniawszy, że ktoś trafnie powiedział, iż powiedzieć, że *Taglioni tańcuje,* jest to wyrazić się tak płasko i śmiesznie, jak np. że *Byron wiersze pisał,* chociażbyś do tego i do tamtego jakie chciał dodawać epiteta). Owe uwagi o Taglioni z tem większym czytałem interesem, że wśród tysiąca wszelkiego rodzaju pochwał, uwag i wykrzykników, jakie o tej genialnej czarodziejce ciągle mam przed oczami w rosyjskich gazetach, jeszcze mi się tak *ważnych* i tak pięknie wyłożonych czytać nie zdarzyło, chociaż po polsku o niej czytałem podobno raz pierwszy. Zdaje mi się, że ktoś wydawcę mianował genialnym pisarzem w rodzaju krytyki, ale zdanie to (!) sprawdzić sobie, dla braku materyałów w „*Tygodniku*“, nie mogłem. Co do osobistego charakteru tych trzech pisarzy, tę główną z pism ich wyprowadzić można uwagę, że Kraszewski często *brusque* i hardy, czasem naiwnie szczery i otwarty lub poważnie wyrozumiały, w pismach swoich zawsze jest cały na wierzchu; że wydawca już mniej się wykazuje, a Grabowski najwięcej jest ukryty *(reservé).* Filozoficznie się uśmiecham i kiwam głową czasem, czytając lamentacye Kraszewskiego o jego rozczarowaniach pier-

wszych młodzieńczych ideałów, o jego czarnych spojrzeniach na świat, moralnem sieroctwie itp., i wystawiam sobie, jakieby to on dopiero egotyczne treny i elegie ciągnął z wnętrzności własnych, jak ów pająk pajęczynę, jak całe piekło odczarowań zaległoby serce jego, gdyby ze swoją duszą kipiącą i niecierpliwą, w pierwszej gorączce lat swoich nadziei i pragnień, w pierwszym zapale do życia nagle zatrzymany, przymuszony był pędzić wszystkie swoje dwudzieste lata w grobie, w głuchej pustyni, w nędzy, bez książek, jeżeli nie bez ludzi, to przynajmniej bez wszelkiego co się nazwie towarzystwa, bez wszelkiej więc sposobności zaspakajania gorących swoich moralnych potrzeb, bez żadnej nakoniec oznaczonej nadziei lepszej przyszłości — zgoła, pić zwolna tę czarę wszystkich strat i nieszczęść, którą my mniej więcej tak rzeczywiście pijemy. Coby robił? . . . O! nie, byłby spokojniejszy jak dzisiaj, bo nieszczęścia idealne gorsze są jak rzeczywiste, — i jeżeli dzisiaj Kraszewski młody, zdrowy, wolny, mogący zaspakajać dorzeczne potrzeby i fizyczne i moralne, utalentowany, komunikujący się z publicznością, której część szlachetniejsza wyższa intellektualnie, moralnie dostojniejsza, jego ceni i jemu współczuje, Kraszewski szybko postępujący na drodze sławy i negliżowany tylko od gminu lub nizkiej zawiści, czem wszystkiem nie potrzebuje jak wzgardzić, narzeka i jęczy — to w naszem położeniu, zmuszony uciekać się do filozofii praktycznej, wyrobić w du-

szy swojej siłę zabezpieczającą, w głowie ideę zaspakającą, wegietowałby tak jak my cicho, chłodno, równo, bez łez i jęków, bez narzekań nawet, bez natręstwa i wyrzutów przyjaciołom i rodzinie, za nieszlachetne siebie opuszczenie w nieszczęściu, za zdradzone zaufanie, za owe przeklęte odczarowanie itd. itd".

Odpisując na list Orpiszewskiego, podał Zieliński swoje spostrzeżenia zarówno nad autorami przezeń ocenianymi, jako też nad innymi, którzy zwrócili jego uwagę: *„Tygodnik petersburski"* pod względem literackim jest znakomitej wartości, a wogóle odznacza się polszczyzną czystą i piękną, i daje zarys krótki wprawdzie, ale dokładny ruchu umysłowego naszego pokolenia. Chciałbym cię bliżej zapoznać z samymi autorami: Grabowski, którego artykułom niezawodnie należy się pierwszeństwo przed innymi, jest to obywatel Ukrainy, który jeszcze przed r. 1830, występował z krytycznymi artykułami w gazetach warszawskich; wówczas młodzi nasi literaci szermowali w sporach klasyków z romantykami. Nie było to bez korzyści, ale rzucając się w ostateczność, stawili nam Niemców jako wzór do naśladowania; i stąd to część pierwsza *„Krytyki i Literatury"* Grab. jest odźwiękiem germanizmu, jest pięknym ale nie na własnej niwie uzbieranym plonem. Opatrzył się Grabowski; wziął dziś berło opinii literackiej i ostrzega nas, abyśmy się nie dali pochwycić polorowi neo-francuskiej szkoły; radzi nam, abyśmy na własnym

gruncie szukali pierwiastków własnej literatury. W tomie drugim *Lit. i Kryt.* mówi o literaturze szalonej. Ja nie zgadzam się w tem z Grab., sam nawet tytuł *literatury szalonej* nie zgadza się z moją opinią — nie maluje mi dokładnie rzeczy; prędzejbym pozwolił na wyraz francuski *„extravagante“*, gdyby go można dobrze przepolszczyć. Zresztą ma ta literatura tak wiele piękności, że niepodobieństwo jej całkowicie potępić. Grabowski jest to światły krytyk, z zapasem wielkich znajomości, nieuprzedzony żadnem stronnictwem, udzielający rad młodym naszym pisarzom, bez żółci wykazując ich błędy, z rozkoszą oceniając ich piękności, i pewny jestem, że w literaturze naszej zajmie to miejsce, na jakiem w Niemczech Lessing i Schleglowie zasiedli. Ale Grabowski nie samym jest tylko krytykiem — ja go nazwę jeszcze poetą. Któż mu odmówi tego talentu, przeczytawszy powieść jego: *„Koliszczyzna i stepy“?* — zdaje się, że z niej powiewa powietrze Ukrainy; jestto jedna z najlepiej napisanych powieści, jakie mamy w naszym języku. — Nie będę ci dawać szczegołów o Kraszewskim, wiesz je z *„Tygodnika“;* młody pisarz, z wielkiemi zdolnościami, z zamiłowaniem pracy i wytrwałością prawdziwie niemiecką, z wielostronnemi wiadomościami, rzuca się ślepo na wszystko, — krytyk, poeta, historyk — kto wie czy ta ostatnia rola nie najwłaściwiej mu przystoi; jego ustępy historyczne są wielkiej zalety, jego *„Historya Wilna“* ma być najznakomitszym produktem. — Trzeci pisarz, którego

ustępy filozoficzne tak są piękne, jest jeszcze dla nas zagadką. Długo utrzymywano, że podpis artykułów znakami: J. E. herbu G.[1]) jest pseudonimem samego wydawcy *„Tygodnika“*, lecz gdy ten ostatni, którym jest p. Przecławski niedawno publicznie oświadczył, że wszelkie artykuły z podobnym podpisem nie są jego, ale do zupełnie drugiej należą osoby, imię autora tych głęboko pomyślanych artykułów zostało dotąd w ukryciu — może sam wydawca użył sposobu, pod którymby tem ściślejszego używał *incognito*[2]). — Jeżeli czytać będziesz *„Tygodnik“* na rok bieżący (1839), tam obok imion wyżej wzmiankowanych, znajdziesz nowe śmiało występujące w zawód literacki. Dziwi mnie, że nie zwrócił uwagi twojej artykuł p. Zochowskiego „O Elektryczności“, uważanej jako początek wszystkich fenomenów kuli naszej. Jest to wprawdzie przedmiot wychodzący z granic belletrystyki, ale zawsze ważny. Przy dzisiejszym stanie cywilizacyi europejskiej, uczeni pracujący w dziedzinie nauk dokładnych i spekulacyjnych, porzucili starożytną rutynę tłomaczenia się przez znaki i symbole, pojmowane tylko przez wtajemniczonych do jakiejś nauki. Dziś, każdy z piszących chce być pojętym przez ogół i wyjaśnia nam swoje pomysły w sposób łatwy i popularny. Do tego rzędu, liczę

---

[1]) To znaczy: Józef Emanuel, herbu Gozdawa — Przecławski.

[2]) Była tu umyślna mistyfikacya, jak się Zieliński już domyślał.

artykuły p. Żochowskiego. Są one pisane językiem pięknym, czystym, łatwym do pojęcia, ale to byłaby najmniejsza tych artykułów zaleta — góruje w nich myśl wielka, promienna; chce on zburzyć dawne teorye, aby na nowym systemacie nowy świat fizyczny utworzyć. Ja, z kilku danych wyjątków, wielkie pokładam nadzieje na talencie Żochowskiego. Ciekawy jestem samego dzieła, w którem w pierwszej części, ma mówić o fizyce na jakim stopniu jest dzisiaj; w drugiej, będzie refutacya dzisiejszego systematu fizyki; w trzeciej, nowa fizyka samego autora, na nowym wsparta systemacie. — Oprócz Żochowskiego, znajdziesz ciekawe artykuły naszego dawnego profesora, Romualda Hube, w przedmiocie starożytności słowiańskich i dawnego prawa krajowego, oraz ks. Jucewicza: *„Rysy Żmudzi“*, który doskonale schwycił fizyonomią tego ziemi zakątka, z jego klechdami, śpiewkami, obyczajami, zabobonami itd., i z jego malowniczą miejscowością»...

Co do Kraszewskiego, to Zieliński przepisawszy fantazyę *„Zawsze razem“* dodał: „Któż odmówi piękności temu ustępowi? Jest to prawdziwy język serca, język duszy cierpiącej. Zdaje się, że dzielimy uczucia poety, gdy nam językiem tak naiwnie szczerym i smutnym swoje cierpienia opowiada. Jednakże wielka jest prawda, że nie dosyć być poetą natchnionym; potrzeba mieć jeszcze moc wcielenia słowa, potrzeba znać poezyą — sztukę. Tego nadewszystko niedostaje Kraszewskiemu — nie

mówię tu o powyższym wierszu, bo ten uważam jako najlepszy ze wszystkich jego poezyj — ale o innych jego próbach. Czytasz — podoba ci się, ale czujesz brak jakiś, jakiś niedostatek twórczej siły, niedostatek tego, co nas w poezyi porywa, zachwyca, unosi. I wiersz, — zdaje się nie będzie słaby, ale mu brakuje dźwięków, któreby aż do głębi naszej przemówiły duszy; jest w nim jakiś przesyt, zbytek wyrazów, które osłabiają, niszczą wrażenie, i myśl która nas z początku uderzy, przez omówienie, przez rozwinięcie jej dalsze, słabnie, wolnieje i cały efekt swój traci. Tak zaiste, Kraszewski jest tylko poetą prozy, czuje mocno, ale tych swoich uczuć nie umie językiem bogów wyśpiewać. I lutnia w jego ręku, nie jest w ręku biegłego mistrza, do którejby każdego tonu słuchaczów się dusza nastrajała, z którejby natchnienie, jak potok z gór spadający, rwało, niosło ze sobą uczucia całego tłumu, jak listki roślin rosnących na brzegu porywa potok i w głębią unosi. Ty uważałeś ten brak form wysłowienia się jako niedostatek natury, że niejeden może być poetą zamkniętym w sobie, który odebrawszy z rąk natury wyobraźnię bogatą, kipiącą, nie umie jej wydać językiem żyjącym, nie umie myśli, która w nim się wyrabia i trawi, materyalnymi przyodziać kształtami, nie umie jej wcielić, ani w słowo, ani w płótno, ani w marmur, ani w lutnię, — żyje i umiera niepoznany. To prawda. Ale mi się zdaje, że ta uwaga nie może się stosować do poezyj Kraszew-

skiego. Mnie się zdaje, że w nim z dwóch darów niebieskich tj. rozumu i imaginacyi, pierwszy wziął górę nad ostatnią, skrępował jej loty i najgorętsze uniesienia serca poddał pod skalpel zimnej analizy. Szczęśliwy poeta, u którego zimny rozum nie zabił ognistej imaginacyi!»

Ze wszystkich dzieł polskich, jakie doszły rąk jego, najwięcej stawiał Zieliński *„Historyę literatury polskiej“* Michała Wiśniewskiego, której tom I-szy ukazał się r. 1840. Nazywał ją najlepszą rzeczą, jaką proza polska XIX-go wieku wydała; posyłał przyjaciołom odpisy z niej, charakteryzyjące pogląd autora na rozwój kilko wiekowy naszej oświaty, czynił nad nim uwagi z całem uznaniem niezmiernej erudycyi, bystrego zmysłu krytycznego i prześlicznego stylu.

W korespondencyi z Zygmuntem Komarnickim, który parę listów do niego po niemiecku napisał, chcąc zadość uczynić dawnemu zamiłowaniu Gustawa w poezyi niemieckiej, wypowiedział swe myśli o filozofii niemieckiej; a że Zygmunt pisał wówczas powieść historyczną p. t. *„Branka“*, więc Zieliński i o romansopisarstwie, zwłaszcza francuskiem, opinią swoją zaznaczył. Jeden z tych listów zasługuje na poznanie w całości, daje nam bowiem poznać, jak umysłowość Gustawa zajmowała się zagadnieniami filozoficznemi i jak wytwarzała poglądy ogólne.

«Z tego co mi donosisz o sobie, widzę, że ciągle pracą zajęty umysłową, gdy z jednej strony

chcesz próbki własnego pióra w kształcie romansu udzielić światu czytającemu, z drugiej zapuszczasz się w dzieła głębokich i śmiałych myślicieli, jak: Puffendorfa, Lengnicha, a mianowicie Fichtego, — Fichtego, który tworząc system własny idealizmu, starał się wyprowadzić wszelką umiejętność i wszelką prawdę z jednej zasady: *Ja;* który przystępując do nauki subjektywów Kanta, zrobił z tej zasady *Ja* działalność niezawisłą, także objekt tworzącą, to, co właściwie mówiąc, zniszczyło realność objektów. Lecz nie zapuszczając się głęboko w rozbiór filozofii Fichtego, którego głębokość podziwiam, lubo może nie wszystkie jego zasady podzielam, gdy wyczytuję, a właściwie dochodzę z twego listu, że więcej oddany literaturze niemieckiej, zaniedbujesz francuską, która w ostatnich latach tak wielkie zrobiła postępy, pozwól, że chciałbym ci w tym względzie niektóre uczynić uwagi, a mianowicie dać ci rys krótki i porównanie najnowszej niemieckiej i francuskiej literatury, nadewszystko zaś pod względem poezyi, filozofii i historyi.

«Jeżeli przyjemną jest rzeczą, nawet dla za uralskiego dostrzegacza, poglądać na tę piękną krainę Niemiec, tak wysoko dziś stojącą pod względem przemysłowym, gdzie się wznoszą fabryki, mnożą statki parowe, gdzie koleje żelazne przerzynając całe to państwo w rozmaitych kierunkach, mają łączyć brzegi baltyckie z adryatyckimi, a morza Niemieckiego przez Dunaj z Pontu Euxinu brzegami; jeżeli, powiadam, z jednej strony przyjemny

jest ten ruch i ciągły postęp wyobrażeń ekonomicznych, z drugiej — smutnym być musi widok, jaki nam stawia dzisiejsza literatura niemiecka. Nie zapuszczając się do owych mgłą czasu przyćmionych wieków, gdzie echo starożytnej Germanii brzmiało w pieśniach śpiewaków Minny i zlewało się później w zbiorach pieśni meistersängerów; nie zastanawiając się i nad owym wiekiem, w którym reformacya Lutra nadała zupełnie nowy wyobrażeniom kierunek — widzimy jednak z radością, począwszy od najpierwszych Ottfrieda biblijnych poematów, aż do autora „*Wallensteina*“, ciągły, chociaż powolny, choć wielu wstrząśnieniami złamany lub wstrzymany postęp i rozwijanie się tej literatury, która nareszcie wydała Kanta, Fichtego, Schellinga, Herdera, Schillera, Goethego, Lessinga, Schleglów, Winkelmanna, Jana Müllera, Heerena i tylu innych, z których każdy pokazał się być mistrzem w swojej nauce. Dziś więc kiedy widzimy, że te świetne meteory niemieckiego nieba w mrok przeszłości zachodząc, nie zostawiają innych, któreby swymi promieńmi blask ich dawny zastąpiły — dziś więc, gdy ani słyszymy owych pieśni, któremi nas muza Goethego i Schillera zachwycała, gdy nie widzimy owych olbrzymich postaci, które Jan Müller wskrzeszał po górach Helwecyi, gdy i w krainie rozumu, częściej niż prawdę, znajdujemy błędy i rozdroża — dziś więc, koniecznie zapytać się musiemy, co jest przyczyną tego upadku niemieckiej literatury? Zdaje się, że filozofia tak nazwana

niemiecka, porywając umysły w wyższe sfery, stała się tego najważniejszą przyczyną. Cały naród zasmakowawszy w tym eklektyzmie filozoficznym, chciał się wedrzeć tam, gdzie Kant chwytał promienne, lecz jeszcze nierozmotane idee. Natychmiast roje powstały naśladowców; każdy chciał wznosić nowe coraz systemata, każdy myślał nad tem tylko, jak tworzyć dziwne i coraz dziwniejsze i ciemniejsze formułki. Wszyscy, rzuceni w ten labirynt wyobrażeń transcendendalnych, nieopatrzeni nitką Aryadny, któraby ich z zamętu wyprowadzić mogła, albo zamiast rozwidnienia w grubsze wpadli ciemności, albo wpośród nich błądząc, zamiast naprowadzenia innych na drogę prawdy, sami wpadli w to, co nazywamy *aberratio rationis.*[1]) — Jeżeli więc weźmiemy najnowsze czasy literatury niemieckiej, czasy, w których nie już plejady, ale miryady jawiły się poetów i pisarzy, gdy rzucim okiem na poezyą niemiecką, dostrzeżem zupełny upadek. Harmonia bez myśli, lub kilka myśli bardzo pospolitych bez żadnej harmonii, frazeologia prawie zużywana (!), stanowi charakter większej części poezyj lirycznych; a dramata Grillparzera, Müllnera, Uhlanda, Wernera, Raupacha, Houwalda i innych — najlepszym dowodem upadku sztuki, odrodzenia[2]) smaku i zastosowania do poezyi tych teoryj mistycznych, którym tak nazwana filozofia niemiecka nadała początek. — A jeśli weźmiemy

[1]) Zboczenie umysłowe.

[2]) Zapewne znaczy to: *zwyrodnienia.*

krytykę, ów kamień probierczy każdej literatury, na której czele ukazuje się Lessing, największy krytyk swojego wieku, a za nim Herder, Wieland, bracia Schleglowie, pod których kierunkiem tak wysokiego dosięgła stopnia; jeśli ocenim głębokość ich myśli i sądu, w tylu dziennikach zostawioną uczonych, jak „*Listy o literaturze*“, „*Lasy krytyczne*“, „*Merkury niemiecki*“, „*Athenaeum*“, a nareszcie „*Freimüthige*“, i spojrzym teraz na złośliwe recenzye dzisiejszych gazeciarzy, którzy piórem w żółci maczanem więcej krytykują osobę aniżeli przedmioty, puszczając się tylko na jałowe zareiki (?), albo bardzo suche obserwacye, — z żalem wyznać musimy, że literaturę niemiecką, którą dotąd w olbrzymich tylko kształtach przywykliśmy podziwiać, dziś już w odrodzonych kartach zmuszeni jesteśmy oglądać. Zresztą, czy weźmiemy najnowszą historyą, ów szkielet pedantyzmu i suchej gadaniny, czy filozofią z racyonalizmem Bouterweka lub sceptycyzmem warunkowym Plattnera i Schultza, wszędzie dostrzeżemy ślady odrodzenia (?) ciągłego zstępowania i upadku.

«Tak więc, gdy literatura niemiecka spadając coraz z szczebla, na który się wdarła z początkiem naszego wieku, i tracąc co chwila swych prozelitów i wielbicieli, przedstawia nam jako swoje *non plus ultra* wiek Amelii księżnej weimarskiej, za który już żaden z pisarzy wychylić się nie ośmielił, zwróćmy teraz oko na literaturę francuską. Wprawdzie nikt nie zaprzeczy, aby literatura niemiecka

nie stanęła na wysokim doskonałości stopniu; jednakże gdy lata i wypadki płyną, a ona nie tylko że nie czyni naprzód postępu, ale przeciwnie przedstawia nam ciągłe cofanie się, upadek, musimy ją uważać jako przeszłość cudownie piękną, podobną literaturze starej Hellady lub Rzymu, z której duch i życie tych zgasłych poznajemy narodów. Dziś bowiem, gdy świat zupełnie jest niepodobnym do tego, jakim był przed laty 40-tu, gdy w życiu narodów każda chwila staje się rokiem a każdy dzień wiekiem, literatura powinna tak rączo się posuwać, jak rączo następują po sobie wypadki, aby mogła ciągle i zawsze równoważyć się z postępem, i potrzebami czasu i narodu. Zwróciwszy więc uwagę na literaturę francuską, w niej dostrzedz możemy to ciągłe rozwijanie się wyobrażeń, i czy to weźmiemy wiek Ludwika XIV-go czy XV-go czy Rzeczypospolitej, czy Cesarstwa, czy Restauracyi, czy wstąpienia na tron linii Orleanów, widzimy w całem świetle charakter kraju odbity w literaturze każdej epoki, a nadewszystko ciągły postęp i ciągłe jej się rozprzestrzenianie. Pomijając literaturę dawniejszych epok, weźmy najnowszą:

«Jeżeli rzucim wzrok na ten ogrom nieprzeliczony, na ten chaos, że tak nazwę, poematów i romansów, które od lat kilku rozlewając się z wielkiego źródła, z Paryża, zalały prawie całą Europę, z początku koniecznie uderzeni być musimy dziwnym charakterem, jakim te wszystkie dzieła są nacechowane. Niemasz, zdaje się, zbrodni ni szka-

rady, któreby w kształcie romansu lub dramatu przedstawione nie zostały, i mimo wszelkich ozdób stylu i błyskotek dowcipu, uczuwszy w sobie jakąś czczość i niesmak, nieraz mimowolnie spytać się musimy: jaki cel obrał sobie autor, przedstawiając tak poczwarne malowidła i czy to ma być duch dzisiejszej poezyi francuskiej? — lecz zastanowiwszy się pilniej, uważać powinniśmy tę epokę za epokę przejścia i przesilenia: jest to otrząśnienie się prawie konwulsyjne z pod suchych prawideł Boilów i Laharpów, jest to pierwszy pęd rumaka, który zerwał zapory i wędzidła. Już tu, widzimy zarody poezyi narodowej francuskiej, i lubo dziś z ustępów tylko o niej sądzić możemy, ustępy te rozrzucone w dziełach tylu znakomitych autorów, ciągłym nacechowane postępem, podobne są do jutrzenki, która blask wschodzącego słońca zapowiada. I czy to weźmiem religijne poemata Chateaubrianda, czy bogate w obrazy i mistrzowskie sceny, dramata i romanse W. Hugo, czy humorystyczne marzenia Janina, czy okropne morskie wypadki posępnego Sue, czy charaktery pełne mocy i ognia pojedyńczych bohaterów i całych mas ludu Fr. Soulié, czy pełne wdzięku domowego pożycia obrazy, gdzie Balzac z taką głęboką znajomością ludzi, rozwinął najdelikatniejsze serca ludzkiego uczucia, czy nareszcie przeszłość historyczną, wywołaną na jaw w romansach Pawła Lacroix de Vigny, Aleksandra Dumasa — wszędzie ujrzymy hojnie rozrzucone kwiaty nowych myśli,

i nowej poezyi, na bogatem tle literatury francuskiej.

«A jeżeli zwrócim uwagę na dzieje i dziejów pisarzy, to ujrzym we Francyi dwie szkoły: jedną opisową, drugą rozumową i systematyczną; pierwsza, która stara się oddawać wypadki spółczesne, opowiadając fakta takimi, jakimi je znajduje; druga, która je grupuje, aby z nich wyprowadzić wnioski i dobyć idee ogólne. Wzorem dzieł szkoły opisowej winniśmy uważać *„Historyą książąt burgundzkich“* p. Barante, która jest jako ciąg obrazów ciągle pełnych i wykończonych najdramatyczniejszej epoki; do szkoły rozumno-systematycznej prace p. Guizot'a policzyć należy. P. Thierry w dziele: *„Zdobycie Anglii przez Normandów“* zamierzył systema szkół obu w jedno połączyć, co także osiągnął i p. Capefigue w swej *„Histoiyi Filipa Augusta“*. Tu widzimy pędzlem Walter Scotta skreślony duch wieku i charakter osób działających: to zamki dawnych hrabiów lub baronów z całym ich systematem feudalnym, to ludu masy ożywione słowem wiary, ciągnące na odzyskanie Ziemi Świętej lub wytępienie Albigensów, to kolosalne rysy Barbarosy i Ryszarda Lwie-serce, to bitwy bez końca, to wesołe turnieje, to politykę książąt uginających się pod gromami Rzymu, to znowu cząstkowe gmin oswobodzenie się, to nareszcie minstrady, pieśni truwerów i trubadurów, i cały poetyczny obraz wiary i obyczajów wieku, którego reprezentantem jest Filip August. Słowem, czytając te dzieje, zdaje

nam się, że na tle zamierzchłem średnich wieków widzimy wywołane czarnoksięską laską Merlina, olbrzymie feudalnego rycerstwa postaci, co jak obrazy magicznej latarni w chronologicznem następstwie, i z całemi wyobrażeniami i pojęciami swego wieku, przesuwają się przed naszemi oczyma.

«A jeśli weźmiemy najnowsze odkrycia pod względem filozofii, zrobione przez Grzegorza Cuvier, nie powinniśmyż podziwiać, i trudów jego i głębokich pomysłów, który, chociaż nie wybiegał nad granice zmysłom naszym zakreślone, ale zato wdarł się do najskrytszych tajników natury, objaśnił jej prawa i wytłomaczył fenomena, a wskrzeszając z tylowiecznego uśpienia skamieniałe szczątki mamutów, odsłonił i objaśnił błędy, zniszczył hipotezy wielkoludów, przejrzał ciemności krajów i dziejów przedpotopowych, i z zmarszczek ziemi jej lata policzył.

«W tem porównaniu literatur dwóch najoświeceńszych na ziemi narodów, zamiarem moim było okazać: że gdy literatura francuska ciągle rozszerza widnokrąg swej władzy i ciągle naprzód postępuje, niemiecka przeciwnie ścieśnia się i upada, a stąd mi się ten naturalny nastręczył wniosek, że jeżeli znać przeszłość konieczną jest potrzebą, bo z niej dla przyszłości możemy wydobyć prawidła, to tem więcej teraźniejszość. Świat ciągle naprzód postępuje i my z nim postępować winniśmy, a zatrzymanie się chwilowe w tym biegu lub jedno cof-

nięcie w tył kroku, może nas o cały wiek spóźnić w postępie cywilizacyi».

Z odpowiedzi na ten list, który przybrał formę rozprawy, dowiadujemy się, że i Komarnickiemu nie była obcą najnowsza literatura francuska, że rozczytywał się w ówczesnych powieściach i wyrabiał sobie z nich sąd samodzielny. Pisał on też między innemi (27 sierpnia 1838 r.): „Winieniem zwrócić twoją uwagę na zawód znajomych tobie nowych pisarzy. Znasz pewnie *„romanse langwedockie“* Fryderyka Soulié, znasz jego *„Sathaniel“*, prawdziwą córkę szatana. Pisarz, żyjący ciągle jestestwem swojej Tuluzy, w pierwszych: sięga wychodu Gallów jeszcze przed Chrystusem, zstępując zwolna do epoki pierwszego chrześcijaństwa swojej krainy; w drugiej: króla Wizygotów Teodoryka II-go, uczynił bohaterem powieści . . . Między romansistami nowej szkoły francuskiej, wyznam otwarcie, Fryderyk Soulié ma największego we mnie zwolennika. Nie odrzucam Balzaka; ale mi braknie owej cudownej laski *(La canne de Balzac,* par Mad. Emile de Girardin) do przejęcia się nim całym; darmo się radzę Maturin'a[1]) i błądzę z nieprzeżytym jego *„Melmothem“*, chcąc zasmakować w *„le Centenaire“* pomienionego pisarza. Nad innymi się nie rozwodzę. Po Souliem, wielu mam

[1]) Maturin Robert romansopisarz angielski, lubujący się w obrazach okropnych i nadzwyczajnych, napisał między innemi *„Melmotha“*, gdzie zmarły pustelnik jednoczy bohaterkę związkiem małżeńskim z upiorem sługi zamordowanego.

jeszcze upodobanych. Naczytałem się ich w ciągu dwojga lat minionych do syta, i teraz mam jeszcze zręczność abonowania i czytania".

Komarnicki stanął w obronie literatury niemieckiej, sądząc, że kilkoma zdaniami zbije niepochlebną o niej opinię; ale Zieliński jakkolwiek przyznawał, iż głębsze zastanowienie nad rzeczą może sprowadzić zmianę w jego poglądach, trwał jednak przy wypowiedzianych myślach i starał się je wmocnić powołaniem się na głównego krytyka wśród młodych Niemców — Mentzla, autora dzieła: *„Die deutsche Litteratur"*. „Mentzel pierwszy — powiada Zieliński — pokazał mi istotne piękności i wady tej literatury; Niemiec bezstronny, głęboko znający swój naród i własną literaturę, nieuprzedzony kaprysami mody lub chwilowych uprzedzeń, z gruntownością jednym Niemcom właściwą, przebiega krytycznie wszystkie odnogi umiejętności i ich pisarzy. Nie przeczę, że tak rozmaite oceniając żywioły, można się nieraz pomylić, bo aby tylu rozbieżnych źródeł wyczerpnąć wody, mało jest jednego życia człowieka. Lecz w dziele tem są ustępy lepiej wypracowane, a do takich liczę artykuły, w których mówi o historyi, filozofii i poezyi niemieckiej. Trudno, abym się rozszerzał nad tem dziełem, bo ani moje siły, ani zakres pisma po temu, lecz powiem ci szczerze, że tem, co wyrzekł o Müllerze, Heglu i Goethem, wszystkie moje pojęcia o tych wielkich mistrzach obalił. Chciałem to sprawdzić w źródłach, przeczytałem

prawie wszystkie dramata Goethego i niestety, aż nadto się o prawdziwości jego uwag przekonałem. Nie sądź z tego, com wyrzekł o Goethem, abym nie był dla tego mistrza z prawdziwem uwielbieniem; lecz oddzielając dobre od złego, jeśli podziwiam jego arcydzieła, tem srożej sądzę *„Stellę“*, *„Clavijo“*, itp. Przytem, ten przeciw niemu mam zarzut najważniejszy, że kto wie, czy on nie jest jedną z przyczyn dzisiejszego upadku niemieckiej literatury, bo upoetyzował tę zniewieściałość umysłową, do której tak pochopnie rzucili się jego spółrodacy. Jeśliś czytał lub zdarzy ci się czytać dzieło Mentzla, napisz mi swoje zdanie, bo podług mnie, autorowi temu jedno z pierwszych miejsc się należy w tym zawodzie, w którym Lessing i Schleglowie, tak znakomicie się wsławili“. Co do Fryderyka Soulié, którego Zygmunt cenił tak wysoko, Zieliński wyznawał, że romansów wspominanych przez przyjaciela nie czytał, przyczem dodawał: „Znam wprawdzie jego romanse, także z historyi langwedockiej wyjęte, ale z późniejszej epoki, bo z końca XII-go i początku XIII-go wieku, z owych czasów, kiedy zapał pobożny uzbroił całą północną Francyą przeciw Albigensom. W tych romansach, sam autor w przypiskach zdaje sprawę z długiej pracy, którą przy wertowaniu miejscowych kronik podejmował. Nie można zaprzeczyć ani talentu, ani poetycznej wartości, dziełom Souliégo; jednakże w tym wyszukanym zbiorze okropności, widać silenie się autora na coraz dziksze

i straszniejsze obrazy, które przyprowadzają do tego, że straciwszy granice rzeczywistości, przestają interesować czytelnika. Cóż może być niesmaczniejszego, jak charakter Alberta de Brissac, bohatera romansu „*Le comte de Toulouse*“? A jednakże z tych samych materyałów, z których ten romans złożony, możnaby było mojem zdaniem, coś nierównie piękniejszego utworzyć. W dzisiejszym wieku, gdzie romans tak ważne zajął stanowisko na kartach literatury, widzimy na jak liczne rozdziela się odnogi, stosownie do form i odcieni, które przyjął na siebie. Podług mnie, romanse Souliégo należą do tej szkoły, na której często pana de Radcliff i Maturina postawić należy, z tym jednak dodatkiem, że pokost historyczny, którym Soulié powlókł swoje, tak jest piękny, tak urozmaicony, tak jaskrawy, jak sama Langwedocya. Bo co też to za kraj śliczny ta Langwedocya, ten pomost, po którym tylu przechodziło zdobywców i zwycięzców!... Ileż doznał kraj ten zmian, wstrząśnień, rewolucyj i wojen domowych, nim się wcielił, nim zlał się, nim się zamalgamował z dzisiejszą Francyą. A jeśli dodasz do tego pomniki, jakie różnymi czasy różne tu ludy wycisnęły: owe łuki tryumfalne, wodociągi, amfiteatra — resztki kolosalne olbrzymiego Rzymu; owe zamczyska i wieżyce na wierzchołku skał uczepione — gniazda sępów i feudalnych baronów; owe katedry, z różnobarwnemi szybami, z sklepieniami nieskończonej wysokości, z wieżami ostrzem obłoków sięgającemi, zaczernione, mistyczne,

potężne, wspaniałe, boskie, prawdziwe symbole średnich wieków i chrześcijaństwa. Dodaj do tego: szum wód Durance'y i Rodanu, pieśni truwerów i trubadurów, cień gajów cyprysowych i oliwnych, grobowce Laury i Petrarki, niebo pogodne i ziemię opromienioną światłem południowego słońca, i huk bałwanów Śródziemnego morza, rozbijających się o skaliste Prowancyi wybrzeża, — oto będziesz miał Langwedocyą, i dziw się, dlaczego romanse Souliégo tak są poczytnemi." — Dalszej wymiany zdań o literaturze pomiędzy Gustawem a Zygmuntem nie posiadamy — to, co w tej mierze Zieliński pisał do innych znacznie mniejszą ma doniosłość.

VIII.

Lata biegły. Stosunki pieniężne Gustawa ustawicznym ulegały wahaniom. Rodzina, zaplątana w liczne procesy, nie mogła nadsyłać zasiłków regularnie i w ilości dostatecznej. Zielińskiemu nieraz powracały pod pióro skargi, a w jednym z listów do siostry zgrzytliwie się wyraziły: „Wprawdzie stryj (Józef ze Skępego), ostatnim listem swoim zapewnił mnie, że 1000 r. as. rocznie od niego odbierać będę, lecz po odebraniu 325 już przeszło pół roku upłynęło, a tu ani kopiejki nie widać; pokazuje się, że niemasz teraz przy stryju nikogo, coby mu o mnie przypomniał. Co do mnie, jest to drażliwa zbyt okoliczność; wziąłem już sobie za prawidło, aby się nie przypominać,

bo to ciągłe jęczenie, proszenie, przemawianie do wspaniałości lub litości, ma coś w sobie żebrackiego, a żebranie jest niezgodne, ani z moim charakterem, ani sposobem myślenia. Jednejbym tylko przysługi żądał od was. Niepowodzenie interesów może was sprowadzić do tego położenia, że pomimo najszczerszej chęci nie będziecie w stanie nic mi posłać, nic mi udzielić. Gdyby to kiedykolwiek miało nastąpić, największą mi łaskę zrobicie, jeśli wprost otwarcie napiszecie, że na was nic już rachować nie mam, bo tym sposobem będę mógł tu uniknąć wszelkich nieprzyjemności, jakie mogłyby wyniknąć, gdybym długów narobił a nie miał ich czem potem zapłacić. Człowiek do wszystkiego w życiu przygotowanym być winien; i w obecnej chwili nie tyle przeraża mnie obraz nędzy, ile myśl ta, że musiałbym zawieść czyjekolwiek zaufanie. Może być, że niespokojność moja w tym względzie jest bezzasadna, ale postaw się w mojem położeniu — miesiąc za miesiącem upływa, ciągle mnożą się wydatki, bo wszystko sprawiać potrzeba, a tu na ich zaspokojenie nic nie przychodzi; mnie już, szczerze wyznać mogę, i myśli zabrakło".

Gdy nadeszły pieniądze, poprawiał się humor, ale na krótko, gdyż po spłaceniu długów niewiele do rozporządzenia zostawało. Ażeby tej niepewności jutra koniec jakiś położyć, zamierzył Gustaw poświęcić się gospodarstwu. Rząd dawał grunt darmo, potrzeba tylko było pieniędzy na zakupno inwentarza i narzędzi rolniczych. Osnuwszy plan taki,

zakołatał Zieliński w r. 1838 do jedynego już wtedy członka rodziny, co mu pieniądze nadsyłał, do stryja Józefa, pisząc:

«Myśl zwrócona na moje położenie, na moją przyszłość, coraz mnie więcej niepokoi. Za miesiąc kończę lat 30. Rok 30-ty jestto podług mnie najwyższy szczebel naszego fizycznego rozwinięcia; do tego kresu więcej żyjemy w świecie umysłowym, niżeli rzeczywistym. Kiedy lat 30 mija, człowiek, co dotąd ni razu na siebie nie zwrócił uwagi, zaczyna myśleć o tem, co będzie jutro, za tydzień za rok itd. — pierwej żył dla wszystkich, teraz zaczyna żyć dla siebie.

«Ten zbliżający się czwarty krzyżyk życia dał mi wiele do myślenia, tem więcej, że początkowe moje wychowanie nie przyzwyczaiło mnie do wszystkich trudów i niewygód życia; dziś lada przeciwność mnie trwoży — nie mam dość sił, nie już do jej zwalczenia, ale wprost do zniesienia przeciwności. Nie zbywa mi wprawdzie na siłach moralnych, ale zbywa na sile fizycznej. Dotąd z funduszu corocznie mi przesyłanego przez Stryja Dobr. starałem się żyć i odziewać, jakkolwiek szczuple, ale dostatecznie; jedyną bowiem myślą moją było, aby z każdym rokiem zmniejszać coraz wydatki, ograniczać się dochodami i po 4-ro letniem usiłowaniu doszedłem nareszcie do tego rezultatu, że dług jaki byłem przymuszony zaciągnąć z powodu słabości w początkach mojego na Syberyą przybycia, zapłaciłem zupełnie. Tobie Stryju Dobr. winien

jestem dzisiejszą moją pod tym względem spokojność. Ale teraz inna myśl często mnie napastuje, że w razie jakiego nadzwyczajnego wypadku, nagłej słabości, lub tysiąca innych nieprzewidzianych a od życia człowieka nieodłącznych (wydarzeń), ja nie mam żadnego funduszu na wytrzymanie takiego ciosu; a po najściślejszym z samym sobą obrachunku, nie mam w mem ręku żadnego środka, któryby mnie w takim razie potrafił z biedy wydźwignąć. Albowiem nauki i wiadomości, które w szkołach, uniwersytecie i długim czytaniem książek nabyłem, są tu dla mnie bez żadnego użytku; tę chyba jedną mam korzyść, żem się nauczył spokojności, wytrwałości na wszystkie pociski przeciwnego losu. Rzemiosła żadnego nie umiem — to byłoby mi najprzydatniejsze, gdybym był np. dobrym stolarzem, krawcem lub t. p.; ale w mym wieku uczyć się rzemiosła, cokolwiek zapóźno, zwłaszcza tam, gdzie niema ani jednego dobrego rzemieślnika. Pozostaje tylko przemysł rolniczy; lecz do tego potrzeba kapitałów, mniejszych jak u nas — lecz i tu nikt z piasku bicza nie ukręci. Przemysł rolniczy dwa tu rodzaje przedstawia spekulacyi: albo wziąć się do roli (bowiem od rządu dostać można 15 dziesięcin tj. 38 morgów) i tę uprawiać podług rutyny tutejszych włościan, albo do handlu bydłem. Donosiłem dawniej, jak ważnym produktem naszych okolic są skóry, sadło i masło. Jarmark zimowy jest tego najlepszym dowodem, gdyż za kilka milionów rubli rokrocznie tego produktu wychodzi

stąd do Rosyi; stąd spekulacya na bydle jako głównym przedmiocie handlowym naszego okręgu, jest najmniej wypadkom nieszczęśliwym uległa, albowiem jestto przedmiot, którego jest ciągłe i coraz większe zapotrzebowanie. Osiedliwszy się więc na 15-tu dziesięcinach, mając do tego ku pomocy nieprzejrzane okiem stepy, wykarmiające liczne stada, możnaby z korzyścią oddać się temu rodzajowi przemysłu. Ja sam, gdybym miał jednorazowo kapitał pięciu tysięcy rubli as., puściłbym się na tę spekulacyę, ponieważ wyrachowałem, że stąd korzyści byłyby dostateczne na moje utrzymanie się, a kapitał ciągle byłby nietykalnym kapitałem. — Tak to, kochany Stryju, ten zbliżający się 4-ty krzyżyk życia natchnął myśl mnie, z powołania poecie, zostania spekulantem na skóry i sadło; jestto myśl arcy-niepoetyczna, lecz nie lubię być nieczynny: potrzeba znalezienia sobie jakiegoś zajęcia każe mi wybierać takie, które najwięcej przynieść mi może korzyści.

«Cóż sądzisz, Najdroższy Stryju, o tym moim projekcie? — może to jest jedno z marzeń najpoetyczniejszych, jakie się kiedykolwiek przez moją przesuwały głowę? Zresztą może masz inne mi rady udzielić, może masz jakieś nadzieje? bo ja tak dobrze jakbym żadnych już nie miał, a przynajmniej ich nie mam — na długo».

Co Stryj odpowiedział, nie wiemy. Robił, zdaje się, projektowi zarzut, iż zagospodarowanie się na Syberyi mogło uniemożliwić uwolnienie, gdyż w późniejszych listach Gustaw uspakajał pod tym

względem rodzinę. W każdym razie zamiar nie doszedł do skutku. Zieliński w r. 1841 nabył po jednym z wygnańców domek wraz z koniem, krową i 4-mi psami za 500 rub. as. i zajmował się hodowaniem kwiatów. Zgodniejsze to zapewne było z usposobieniem młodzieńca, niż hodowla bydła; dawało zajęcie umysłowi i rękom, i usposobiało do bujania wyobraźni. Twórczość była dla Gustawa oczywiście jednym ze środków przepędzenia czasu, oraz kojenia tęsknoty za krajem i rodziną. Przypomniał sobie wtedy swój młodociany dramat p. t. „*Zbigniew*“ i ukończył go 17 marca 1839 roku. Mamy go w rękopiśmie prawie w całości; brak mu tylko dwu scen i to częściowo. Składa się z dwu części, każda zaś ma 3 akty.[1])

Za wątek posłużyły dzieje pobocznego syna Władysława Hermana. Jego charakter pojął Zieliński raczej jako nieszczęśliwego rycerza — marzyciela, aniżeli jako przewrotnego buntownika. Wedle poety, Zbigniew walczył nie przeciw ojcu, dobremu wprawdzie, ale wciąż wahającemu się, tylko przeciw niegodziwym knowaniom ambitnego Sieciecha, używającego wszelkich środków, nawet najhaniebniejszych, byleby Zbigniewa potępić wobec Władysława, i byleby wyłącznie rządzić królem i losami kraju. Powodów nienawiści Sieciecha względem

[1]) Dramatu „*Zbigniew*“ nie dajemy w niniejszem wydaniu, stosując się do woli Autora, który nie życzył sobie by takowy drukowano, znając widocznie jego dramatyczne usterki. *(Przyp. Wyd.)*

Zbigniewa autor nigdzie nie przedstawia, wskazując tylko pozory, pod którymi Sieciech szczuje ojca na syna, najgorszym wichrzycielem państwa go mieniąc. Stąd starcie się tych dwu osób, w dramacie pozbawione jest głębszego psychologicznego uzasadnienia i nie może obudzić żywszego zajęcia ze strony czytelnika. Takie żywsze zajęcie usiłował Zieliński nadać utworowi, przez wprowadzenie pierwiastku miłości silnej i ofiarnej. Miłość tę, reprezentuje Ludwika, poboczna córka Sieciecha (o czem zresztą Zbigniew dowiaduje się dopiero przy końcu dramatu), oddana w dzieciństwie, podobnie jak Zbigniew, do klasztoru, a potem sprowadzona na dwór królewski. Ma ona dużo podobieństwa do kobiet Schillerowskich: tkliwość, odwagę wśród niebezpieczeństwa pomimo kobiecej trwożliwości i wrażliwości, zdolność do poświęcenia życia i piękność poetycznych wyrażeń. Nie znając swoich rodziców, wychowana wśród obcych, rzewnie tęskniła do pieszczoty rodzicielskiej, do tkliwych stosunków rodzinnych. Pod wpływem otoczenia zakonnego, przejęła się uczuciami religijnemi i odrywała się od świata:

. . . Gdy samotna i sobie oddana
Z posępnej celi, jak z głuchej pustyni,
Zaczęłam myśli odrywać od ziemi,
A wtem . . . hymn zabrzmiał i tony pełnemi
Wznosząc się zwolna do sklepień świątyni,
Wzlatał z kadzidłem do zastępów Pana;
Gdy się w mej duszy odbiły te głosy
Wiary, miłości i nadziei świętej,

Gdy ziemia znikła, z nią wszystkie ponęty,
A wzrok z ufnością raz spojrzał w niebiosy:
Ach! gdzież słów znajdę, skąd wezmę wyrażeń,
Aby określić jak cudowną siłą
Wszystko się w paśmie moich wyobrażeń,
Co było ziemskie, w niebieskie zmieniło!
Świat mnie nie wabił, ni jego uśmiechy,
Bo z oczu spadła łudząca zasłona;
Świat mnie odepchnął, odmówił pociechy,
Kazał jej szukać wysoko na niebie . . .
Mógłże świat żądać przytułku wśród łona,
Gdy je Bóg obrał siedliskiem dla siebie? . . .

Jednakże będąc na dworze królewskim, gdy ujrzała Zbigniewa w nieszczęściu, gdy ten podstępnemi obietnicami Seciecha zwabiony, z małym orszakiem wszedł do Gniezna i do więzienia został wtrącony, Ludmiła uczuła wielką dla niego litość a potem miłość. Miała ona już jednak wielbiciela w osobie dzielnego rycerza Mścisława, którego Sieciech chcąc użyć za narzędzie do zgładzenia Zbigniewa w więzieniu, obiecał mu oddać Ludmiłę za żonę. W rozmowie, Ludmiła odgadła tejemnicę i w zamian za wskazanie sobie drogi wyswobodzenia Zbigniewa, przysięgła, że spełni potem wszystko, czego od niej Mścisław zażąda. W więzieniu, ładna jest jej rozmowa ze Zbigniewem. Na jego uwagę, iż oswobodzenie jego będzie własną jej zgubą, odpowiada szlachetnym okrzykiem:

Ach! czyż się wszystko czyni dla rachuby?
Cóż znaczy życie na wieczności morzu?
Cóż znaczy kwiatek na pustem bezdrożu?

Koniec ich wspólny . . . lecz losy oddzielne:
Kwiat straci listki bez wieści rozwiane,
A życie ciche, choć zginie nieznane,
Może dać innym — wielkie, nieśmiertelne!

Są to najpiękniejsze wiersze w całym dramacie; dalsze, bezpośrednio po nich następujące, mniej mi się wydają odpowiednimi w ustach niedoświadczonej dziewczyny, bo mieszczą wskazówki postępowania domniemanemu władcy kraju, gdy Ludmiła mówi do Zbigniewa:

Ty jesteś w wieku marzeń i nadziei,
W świat patrzysz jeszcze okiem niezepsutem,
Bo w twardej życia wyrosły kolei,
Nie żyłeś dworów powietrzem zatrutem;
Sam cierpiąc wiele, znasz, co jest cierpienie,
Słyszysz głos ludu, głos tej ziemi dzieci,
Co się o niebios obija sklepienie,
A uszu władzy nigdy nie doleci.
Może Opatrzność opiekuńcze oko
Zwraca, by zbadać twych myśli osnowę
I teraz wiedzie przez drogi cierniowe,
Aby cię kiedyś postawić wysoko.
O! jeśli staniesz na godności szczycie,
A cały szczęściu twych ludów oddany,
Otrzesz łzy sierot i nowe dasz życie,
Gojąc narodu cierpienia i rany;
Jeśli pochlebstwem, co się u nóg wije,
Wzgardzisz dla prawdy — i rzucisz obawę,
Na możną zbrodnię, co krew ludu pije,
A ziemi swojej dasz wielkość i sławę,
Duch mój — bo może ciało będzie w pyle —
Duch, co się prędko z swych więzów oddzieli,
Wróci na ziemię i tam się na chwilę,
Twojem i Polski szczęściem rezweseli.

Zbigniew uwolniony, uchodzi; Mścisław, który dla bezpieczeństwa Ludmiły, znalazł się na ich drodze, raniony ciężko. Na tem się kończy część pierwsza dramatu.

W drugiej części, główną osobistością staje się Mścisław. Z ran wyleczony, pałając żądzą zemsty względem Zbigniewa za zabraną mu Ludmiłę, obiecuje Sieciechowi zgnębić niespokojnego królewicza, który przy pomocy Prusaków i Pomorzan owładnął Kruszwicę. Udaje się tedy do obozu Prusaków, wpada w ich ręce w chwili odbywania uroczystości kościelnej i już ma być na ofiarę bogom zabity, gdy Zbigniew, który go nie poznał, ocala mu życie, a ujęty rycerskim jego zapałem i zmyślonem do siebie przywiązaniem, darzy go ufnością i blisko do swej osoby przypuszcza. Ludmiła wie o przewrotnym planie Mścisława, lecz związana daną niegdyś przysięgą, nie może ostrzedz Zbigniewa o niebezpieczeństwie, grożącem mu ze strony zdrajcy. Za radą jego, Zbigniew porzucając mury warownego grodu, postanawia rozprawić się z wojskiem Sieciecha w otwartem polu. Wprowadzony w zasadzkę, doznaje klęski; chce się ocalić ucieczką i wraz z Mścisławem wsiada w łódkę, by się przeprawić przez Gopło. Noc ciemna, — wtem z wieży kruszwickiej dobywa się jasna łuna. To Ludmiła, wbrew zakazowi królewicza, zapaliła stos, aby ukochany mógł się dostać do grodu. Ale właśnie wskutek matactw Mścisława, był to znak poddania kruszwicy wojskom Sieciecha. Zbigniew dostaje się

wprawdzie na wieżę, ale z Ludmiły nie może wydobyć ani słowa objaśnienia, pomimo zaklęć najgorętszych; przebija więc ją, a wtedy ona umierając czuje się rozwiązaną z przysięgi, odkrywa mu zdradę Mścisława i błaga o przebaczenie. Ostatnie jej słowa są zgodne z charakterem jej podniosłym, jakiśmy już poznali:

Ach! tak mi lekko, tak mało na ziemi
Z mojej istoty jeszcze pozostaje,
Tylko garść prochu — duch skrzydły lekkiemi
W nieskończoności podnosi się kraje;
A te marzenia, ziemskich żądz ostatek,
Zamienię wkrótce na wieczności *kwiatek* (!)
Bądź zdrów, Zbigniewie!—głos wyższy mnie woła
I więzy ziemi porzucić przymusza.
O! niech przynajmniej z twych objęć ma dusza
Uleci lekko w objęcia anioła,
A tam nad ziemią, na wysokiem niebie
Śród herubinów zaczeka na ciebie.

Nadciąga Sieciech; widzi umarłą Ludmiłę, zasłania sobie oczy rękoma, a wtedy Zbigniew wykrzykuje:

Ha! to w twem oku jest jeszcze łza szczera?
Poznajesz przecie, że dusza twoja
Nie jest zamknięta cierpieniom głębokim.
Naciesz się teraz twoich zdrad widokiem . . .
To jest twe dziecię . . . a jam jej morderca!
Tyś mi, jak oddech gadu zaraźliwy
Wszystkie dni zatruł. O! jakiem szczęśliwy,
Żem choć raz trafił do twojego serca . . .

Sieciech każe żołnierzom roznieść Zbigniewa

na szablach; wtem zjawia się król, powstrzymuje żołnierzy a do Zbigniewa dwukrotnie słowem: „Synu!“ przemawia; lecz ten rzucając miecz pod nogi króla, klęka, uchyla głowy i mówi: „Oto jest moja głowa — nie mam ojca“.

Są to ostatnie słowa dramatu. Jak całość, tak i te słowa nie robią potężnego wrażenia, bo stosunek między synem a ojcem, bardzo mglisto został nakreślony. Wogólności, wstrząsających słów niema wcale w tym utworze, lubo są sytuacye wysoce dramatyczne, tylko nie wyzyskane należycie. Zarzut robiony przez Zielińskiego Kraszewskiemu, iż styl jego nie dorównywał wysokim pomysłom, w zupełności stosuje się do tego dramatu.

Charaktery kreślone są w sposób ogólnikowy i bardzo małą liczbę rysów sumiennych wykazać mogą. Autor pozbył się więzów dramatyki pseudoklasycznej; zmieniał miejsce, rozciągał czas trwania akcyi, porzucił 13-to zgłoskowy aleksandryn rymowany parami, użył wiersza jedenasto-zgłoskowego z rymami przeplatanymi, ale nie zbogacił charakterów i nie zaniechał frazeologii obfitej w tyrady. Rozmowy jego osób, przemieniają się na rozprawy lub rozmyślania, tak dalece, że ustępy, w których dyalog żywiej biegnie, są dosyć rzadkie i słabo wykonane. Nie miał zaś takich świeżych i oryginalnych pomysłów, ażeby same przez się zająć mogły i zakryły niedostatki akcyi. W *„Zbigniewie“* widzimy raczej refleksyjnego epika, aniżeli dramatyka.

O odtworzenie zwyczajów, obyczajów i pojęć

XI-go wieku dbał niewiele; a raczej, jak wszyscy ówcześni pisarze nasi, wyobrażał sobie tę przeszłość fałszywie — z ustrojem rycerskim na wzór Zachodu, z zamkami murowanymi i wieżami, z wytworną galanteryą dla dam. Prócz obrazu obrzędów pogańskich w obozie pruskim, które według kronikarskich opisów a raczej *„Historyi Litwy"* Narbutta odtworzył, inne sceny, malują nam bardziej pojęcia spółczesne Zielińskiemu, aniżeli koniec wieku XI-go. Wpływ francuskich dramatyków nowszych nie odbił się tu wcale.

Pojmował Zieliński trudności, jakie się nastręczają pisarzowi, gdy chce odtworzyć wieki minione. Dowiedziawszy się, że Komarnicki pracuje nad powieścią z XI-go stulecia, takie mu przesłał uwagi: „Obrałeś sobie przedmiot niewdzięczny, bo wiek XI-ty, mianowicie też dla słowiańskiego pisarza jest rolą niezmiernie w plony ubogą. Poezya i romans historyczny napotyka tu nieprzezwyciężone trudności, bo wymaga wielkiego geniuszu autora, którymby potrafił zapełnić niedostatki spółczesnych kronikarzy. Jedna kronika Nestora jest znakomitym zabytkiem, ale prace naszych, mianowicie też Kadłubka, który ciągle z uczonością występuje, dla poety jakże są ubogie! Nie chodzi tu bowiem o fakta, ale o duch wieku i zwyczaje, a te, niestety znikły w peryodach justyniańskiej łaciny. Wszyscy jednak ci kronikarze mają tę niedarowaną (mojem zdaniem) wadę, że zatarli piętno XI-go wieku tak ważne dla słowiańszczyzny, to jest tę walkę sze-

rzącego się chrystyanizmu z wyznawanem pokątnie pogaństwem i obrzędami, w długie jeszcze czasy zachowywanymi. A co nam w tym względzie obcy spółcześni zostawili pisarze, jest także rzeczą małej wagi. Ważniejsze nierównie zabytki dla przyszłego poety lub historyka, przedstawia nam wiek XV-ty i XVI-ty. Prócz dzieł powszechnie znajomych, z każdym dniem nowe odkrywają się skarby: zbiory dokumentów hr. Rumiancowa, świadectwa spółczesnych o Samozwańcu zebrane przez Ustrjałowa, rękopism Żółkiewskiego wydany przez Muchanowa, pamiętniki J. Chr. Paska i tyle innych, których część wielka czeka starannego wydania, — co za bogata niwa dla dramatu, poematu lub romansu, co za materyały dla historyi! . . . Anglicy utworzyli romans historyczny, Francuzi zbliżyli historyą do romansu; dziś się dopiero przekonywamy, że aby wyjaśnić dzieje, nie analizy Monteskiusza i Woltera, ale potrzeba świadectw spółczesnych. Oni pisali dzieje tak, jak widzieli, jak słyszeli, jak czuli; oni są reprezentantami wyobrażeń i pojęć ludzi i epoki; na każdym kroku błądzą, a częstokroć te zboczenia są nieocenionej wartości. A dzisiejszy historyk, bogaty zbiorami krajowych kronik i pamiętników, tak powinien zdumionemu czytelnikowi rozwijać dzieje danego narodu, jak je rozwijały wieki w obliczu całej ludzkości — i nie poświęcać dla pięknego, na wzór Tacyta ukutego peryodu, naiwnych opowiadań naocznego świadka. Ponieważ wieku naszego zadaniem jest utworzenie literatur

narodowych, przeto o tyle tylko autor dopnie zamierzonego celu, o ile w utworze swoim najwięcej się zbliży do ducha pojęć, zwyczajów i obyczajów danego ludu i epoki. Jestem pewny, że te uwagi nieraz się samemu tobie nastręczyły i przekonanym jesteś, że w obranym przez ciebie przedmiocie, potrzeba całej siły talentu i wszystkich powabów sztuki, aby uczynić utwór pięknym i interesującym. A jeżeli dopełnisz wszystkich tych warunków jakie XIX wiek wkłada na swego pisarza, bądź pewny, że znajdziesz we mnie bardzo powolnego Arystarcha". Spostrzeżenia to słuszne, ale, jak wiadomo: innym radzić umiemy, a samym rady te spełniać trudno.

IX.

Uczuł, zdaje się, Zieliński przy samej pracy nad *„Zbigniewem"*, że malowanie przeszłości nie miało stanowić cechy jego talentu, że raczej czerpane z bezpośredniej obserwacyi temata, nabędą pod jego piórem takiego stopnia wyrobienia, iż za dzieła sztuki poczytać je będzie można. Prawdopodobnie w tych to latach pobytu w Iszymie powstał piękny poemat opisowy p. t. *„Stepy"*. Przygotowaniem do niego, były zarysy miejscowości, jakie w listach się jego przechowały. Nie posiadamy wprawdzie wszystkiego, co w tym względzie pisał do siostry i przyjaciół; ale istnieją dość znaczne ułamki, które poznać wypada, ażeby następnie w samym poemacie się rozpatrzyć.

Pierwszą dłuższą wycieczkę na stepy odbył Zieliński na wiosnę r. 1836, i pod świeżem wrażeniem skreślił kilka opisów. Postaram się ułożyć z nich jakąś całostkową mozajkę.

W liście do pani Damięckiej, która opisywała Gustawowi swoją podróż nad morze, czytamy: «Chciałbym ci się odwdzięczyć opisem naszej miejscowości, naszych stepów, gdzie jeszcze sztuka nie ujęła w karby natury, gdzie jeszcze stałe siedliska i miejsca uprawne swoją małością, nikną w obszarach dzikiego przyrodzenia. Widok rozległego stepu ma wiele poezyi, bo nawodzi jakieś tęskne, melancholijne uczucia i pomimowolnie wzrok od ziemi odrywa ku niebu. Tu, imaginacya nie wykreśla owych czarodziejskich pałaców, tak jakoś właściwych brylantowym złudzeniom pustyń powieści arabskich; owszem, zadymiony koczowy namiot Kirgiza, koń jego i trzody, lepiej się układają do obrazu, którego tłem nieprzerodna zieloność stepu, a ramami — zapadający błękitny nieboskłon. Kirgizy, zamieszkujący znaczną przestrzeń środkowych pustyń Azyi, których koczowiska, acz w małej liczbie i na Iszymskim stepie napotkać się dają, Kirgizy — są to potomkowie, wojowniczego niegdyś plemienia Mongołów, które pod wodzą Dżengishana, Tamerlana, Batego i innych, niewstrzymane ani murami Państwa Niebieskiego (Chin), ani wyżynami Himalajów, ani nurtami Eufratu, gdy mu już całej Azyi było zamało, rozniosło postrach i spustoszenia aż do środka Europy. Ale nie zapuszczając się w badania

historyczne, lud, o którym mowa, jest wyłącznie pasterski, którego chów koni i bydła jedynym przemysłem. Nie wyobrażaj jednakże sobie, że pasterskie życie Kirgizów ma jakiekolwiek podobieństwo z owym „*Pays du Tendre*“, tak niegdyś zawracającym głowy społeczności XVIII-go wieku. Owe czułe, płaczące, kochające, wzdychające postaci arkadyjskich pasterzy i pasterek, całem niebem odmienne są od surowych, dzikich, gościnnych Kirgizów od Kirgizek tak dobrze toczących koniem jak najbieglejszy jeździec, od ich dziatwy, która się prawie rodzi na koniu. Otóż obyczaje tego pasterskiego ludu, oraz step i zjawiska przyrodzenia, dały mi myśl ułożenia małej powiastki, z której ci jeden obraz wypisuję:

Słońce się z mglistych otrząsa się chmur,
Z dolin i gór
Zimowe śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody
Wre życie.
I znów na ziemię powraca raj;
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna,
Kwiat swe tulące rzuca osłonki,
Wonią tchną łąki
To wiosna! itd.[1])

W liście do Adama Pisarzowskiego mówił: «Jeśli z nadejściem wiosny puszczę się błąkać na

---

[1]) Urywek ten w zbiorze drobnych wierszy Zielińskiego ma tytuł: „*Powrót wiosny*“.

usiane kwiatami stepy, gdzie wesołe *tarbagany* skaczą śród koralowych wiszni i wonnych truskawek, gdzie posępny i ostrożny *suruk,* wyłazi z swej jamy i szuka pożywienia śród traw wybujałych i gęstych komyszów; jeżeli, mówię, puszczę me oczy po tych obszarach dziewiczej jeszcze natury, nieraz w poetycznym zapale kilka napiszę wierszyków, lecz te zupełnie inną cechę nosić będą od dawniejszych moich piosneczek, gdziem szczęśliwą moją młodość opiewał:

To znikło; cóż mnie dziś wzruszy?
Patrz, w tej świątyni natury
Znalazłem skarby dla duszy —
Stepy, pustynie i góry.
Na step leci myśl ma lotna
Śród pustynnych buja błoni,
Taka dzika i samotna,
Jak wicher, co się tam goni.

«Dawniej, słodkie uczucie przyjaźni, miłości, uniesienia, powabne okolice, gaiki, strumyki, słowiki, ciągle się w mojej wyobraźni i w moich piosneczkach rymowały. Dziś już

To nie dla mnie, lecz gdy burze
Zniszczeń skrzydłem dotkną ziemię,
Gdy w rozdartej blaskiem chmurze
Karę widzi człeka plemię,
Gdy śród trwogi, przerażenia,
Grom uderza, piorun głuszy,
To mój obraz, moje pienia,
To harmonia mojej duszy.

Najobszerniejszy atoli lubo niedokończony opis

wycieczki na stepy znajdujemy w urywku, który niewiadomo czy był na list do siostry przeznaczony, ale to pewna, że wycieczka na stepy była przedmiotem aż dwu do trzech listów. Urywek ten przytaczam w całości.

«Było to w lipcu. Zaledwie pierwsze światła na wschodzie zabłysły, już byłem na koniu i jednym pędem bez oddechu przebiegłem wiorst ośmiu odległość i stanąłem u podnóża tych gór, które od strony południa ciągną się nad Iszymską doliną; wdarłem się na góry przynajmniej 150 stóp wzniesione nad rzeki powierzchnią i spojrzałem za siebie. Wzrok mój kilkomilową obejmował okolicę: w jej środku miasto Iszym; biała, wyniosła, ozdobna cerkiew otoczona drobnymi drewnianymi domami, wydała mi się podobną do matki, przytulającej do łona cisnącą się dziatwę; pomiędzy miastem a górą smug równy, gładki, zielony, po którym kręto wijący się Iszym i mnóstwo odnóg wypełnionych wodą, porównać można do wstęg błękitnych rozwiniętych na pięknej zieloności kobiercu; na prawo i na lewo góry zaokrąglone w amfiteatr, ściskają jakby olbrzyma ramionami całą Iszymską dolinę, a poza miastem, mgłą błękitnawą oddalenia powleczone, widać w różnych punktach wsie i wioseczki, brzozowe laski i gęste zarośla; nareszcie nieznacznie podnoszące się wzgórza bujnymi plonami odziane i schylające się niebios sklepienie, zamykają widoki widnokręgu.

«W tej chwili wychyliło się słońce z pomiędzy

ciemnej zieloności zarośli; blask jego oblał jakby ogniem złocone cerkwi kopuły, odbił się jak w zwierciedle we wszystkich rzeki i jezior załamkach, a krople rosy kołyszące się na końcu trawek lub zebrane w dzwonkach i kielichach kwiatów, rozdzielając na tęczowe kolory promienie światła, nadały całej dolinie widok czarnoksięskich ogrodów, błyszczących światłem rubinów, szmaragdów i dyamentów.

«Bezwątpienia, piękny to widok, lecz nie dla poety. Filantrop, patrząc na te obszary, na które swych łask skarbnice wylało przyrodzenie, może tu widzieć w postępie wieków i cywilizacyi, rozmnożone człowieka siedziby, może prostować zakręty na spławne rzek kanały, zaludnić je łodziami i zamienić nieuprawne odłogi na bujne zagony; lecz cóż tu znajdzie poeta? Ten widok piękny, harmonijny, pasterski, przez ileż wieszczów dotychczas powtórzony; te wesołe stada, te łąki szmaragdowe, te skromne mieszkania wieśniaków, nareszcie ta rosa, te kwiaty, te wody, to słońce, ileż razy śpiewane, nucone, rymowane od Homera czasów? — ciągle jedne i też same obrazy, ciągle jedne i też same uczucia! . . .

«Zwróciłem konia i puściłem się na stepy. Jeszcze od brzegów góry widać gdzieniegdzie uprawne role; ja pędzę, aby je coprędzej stracić z przed oczu; omijam łąki, pola, zarośle, omijam gaiki, siedlisko cietrzewia i zająca, i nareszcie przybywam do miejsc, gdzie się drogi kończą, gdzie

nikną wszelkie ślady pracowitej człowieka ręki i gdzie przedemną prawie niedojrzana równina, powiewająca trawą i kwiatami.

«Jak tu miło odetchnąć! Zdaje się, że te miejsca zachowały dotąd też same formy, jakie miały w dniu pierwszym stworzenia, tylko pokłady przybyły; wegietacya wznosi się na wegietacyi — zgon jednych jest drugim kolebką. Gdybym był badaczem natury, jakież dla mnie skarby na tej płaszczyznie milionem usianej kwiatów! Tu liliowy irys, tu polna róża, tu błyszczący jaskier, tu skromny gwoździk wabi do siebie, a ileż tu kwiatów bez nazwiska otwierają swoje korony — czekają historyka, któryby opowiedział ich wzrost, miłostki i koniec. Jakżebym zbogacił mój zielnik; może niejeden kwiat, nikomu dotąd nieznany, dziś jedyna ozdoba stepu, przekazałby imię moje potomnym w dziejach państwa roślinnego.

«Wielką, niedocieczoną jest księga przyrodzenia; otwartą ona jest dla każdego, ale dla wybranych tylko przystępną. Od tylu tysięcy lat pracują ludzie nad wycyfrowaniem jej hieroglifów i wtenczas, gdy już pewni, że do nich klucz znaleźli, gdy z tryumfem głoszą, że jedną z jej stronic zbadali, niech spojrzą za siebie a zobaczą, ile im jeszcze kart nietkniętych do przewertowania pozostało. Poeta w tej pięknej rozmaitości kwiatów, w tej grze kolorów i światła, widzi światy piastowane na łonie natury, widzi cuda w najdoskonalszej pomiędzy sobą harmonii, których łańcuch ciągle

wiąże się z sobą, którego pierwsze ogniwo jest trawka lub muszka, a ostatnie — myśl Przedwiecznego.

«Na stepie pustym widać gdzieniegdzie podnoszące się kurhany. Tyle już wieków przewiało nad ich wierzchołkiem; może kiedyś wysoko wznosiły czoło, dziś poziome, ledwie nad powierzchnię podnoszą się stepu. Któż mi powie, w jakim je celu sypano: czy to są mogiły w bojach poległych, czy wodzów szczególnych, czy nareszcie skazówki ludów zmieniających siedliska?... Tu, dzieje milczą: nie są to bowiem ruiny, których jeden marmur, jeden kapitel, słowo jedno startego napisu, wyświeca całą historyą. Napróżnoby historyk spuścił się w ich łono — znajdzie popiół, dobędzie, a wiatr go po stepach rozwieje pierwej, nim on iskrę prawdy z niego wydobyć potrafi; nic — prócz domysłów.

Gdzie dziejopisa myśl w dowody zbrojna
Nawet szkieletu prawdy nie wyjąka,
Gdzie się pieśń gminna nie błąka,
Przesądów obrazem strojna,
Tam dla poety kraina marzenia,
Świat myśli, niebo natchnienia.

«Historyk na szczudłach propedeutyki jeżeli chce puścić się w ten labirynt dziejów, musi opatrzyć się nitką; ileż razy ta nie pęka, a dziejopis śród zamętu zostaje. Poeta jakby dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, stwarza tu sobie świat nowy; na jego głos, z mogił powstają rycerze, odnawiają

walki, które przed tysiącem lat staczali, rozwijają namioty, wodzowie się pod ich cieniem sadowią; czasem i miłość zabrzmi w pieśniach poety, miłość na dzikich stepach, tak dzika, tak naturalna, jak przyrodzenie.

«O! dziwnym jest świat poety; jeszcze stoi otworem ta wielka księga przyrodzenia, nad którą napróżno śledzą badacze natury. Oni wszyscy napróżno się chwalą, że wynaleźli klucz do jej hiehieroglifów — zaledwie kilka wyrazów decyfrowali, a ileż to kart dla nich jeszcze zamkniętych! Poeta ileż ma do wyboru! Jeżeli mu zamały jest świat zewnętrzny, zapuszcza się w drugi, niezbadany, niedocieczony, w świat samego siebie; tu myśl jego w żadne nieścieśniona granice, może swobodnie pobujać śród błoni w krainach jego fantazyi stworzonej, spuszcza się w otchłanie ziemi, o gwiazdy czołem dotyka i goni za ideałem — pięknością.

«Dalej, dalej i dalej okolica coraz dziksza, trawy bujniejsze, kwiaty coraz piękniejszych kolorów. Palące słońce zakryło się chmurami, a od południa, nakształt gór bazaltowych, ciągną ciemne chmur falangi; powietrze ciężkie, parne, płonące, grom słychać zdaleka i wszystkie znaki zbliżającej się burzy; już połowa przedemną stepu znikła z przed oczu, zaćmiona deszczem ulewnym, a dla mnie niema żadnego schronienia, bo na rozległych stepach jeden jest tylko namiot — niebios sklepienie. Ni drzewa, ni krzaczka, gdzieby podróżny

głowę mógł złożyć. Napróżno pędzę; burza otoczyła mnie wokoło i nic nie widzę prócz strumieni deszczu i błyskawic, i słyszę ciągły grom bijących piorunów.

«Piękny to widok burzy na stepach, gdzie wzburzone żywioły, niczem niehamowane, tem większą wywierają siłę swoją wściekłością i huk gromów mocniej się tu odbija... pęd wichru jest szaleńszy, i błyski mają więcej ognia i przerażenia. Kwiaty schyliły swe główki ... ja pędzę, i kiedy oko śledzi w całym horyzoncie punktu schronienia, z jakąż radością ujrzałem przed sobą jurty Kirgizów. Zapomniane trudy dziennej podróży...

«Tak, już tylko sam tu byłem z mojemi myślami i uczuciem; koń zdawał się zgadywać moje myśli, błąkał się śród stepów jak myśl moja w dawnej przeszłości pamiątkach, a wzrok mój, obejmując widnokrąg i podnosząc się ku niebu, spotkał również samotnego wędrowca, orła, który jakby za skrzydła przybity, wielkości motyla, otoczony wieńcem słonecznych promieni, zdało się, że się pod samym niebem kołysał.

«Żniwo, które zebrałem na polu tak obszernem i obfitem, podobne skromnemu botaniście, który przebiegłszy równiny i góry, widząc najpiękniejsze sceny przyrodzenia, przynosi z tego wszystkiego kilka zdziebł trawy i kwiatów kilka, zasuszonych w jego zielniku.

«Biedny opuszczony instrument! Nie mam rąk, któreby czuwały nademną i któreby dobyły ze mnie

harmonijne tony; lira zapomniana w pustyni, odtąd stanę się igrzyskiem wiatrów.

«Ze wszystkich pomników Wschodu, pomniki pośmiertne rodzajem swej konstrukcyi powinny dotrwać najdłużej. Człowiek wiedziony instynktem nieśmiertelności chciał przeżyć w nagrobkach samego siebie; piramidy Egiptu, wielkie grobowce Nubii i Jeruzalem, swoją wytrwałością zrównają górom i pagórkom.»

Pomimo jednak zachwytu dla stepów iszymskich, Zieliński nie ukrywał przed sobą i innymi, że widoki, na które spoglądał, zbyt były jednostajnemi. «I ten obraz — pisał do Aleksandrowej Z. — nudzi swoją monotonią; niema tu żadnej rozmaitości, tak potrzebnej dla odświeżenia myśli i wyobrażeń. Oko w przeciągu całego roku, dwa tylko postrzega widoki: latem — zieleniejącą się naturę i milionem kwiatów odziane stepy; zimą — szatę śnieżną iskrzącą się od słońca promieni i wichry, które całą zamącają okolicę. Ta ciągła tożsamość przedmiotów niczem nie urozmaiconych i nieożywionych, czuję, że silnie działa na moje władze moralne i zdaje mi się, że śpiesznym krokiem przybliżam się do tej starości uczuć, które niekoniecznym są lat wypadkiem, a których jedno tchnienie zabija młodość nie tylko z jej marzeniami i ideałami, ale nawet i z nadzieją. . . Niestety, napróżno co wiosna, gdy się nasze stepy milionem kwiatów ubarwią, napróżno między nimi szukam tak pożądanego kwiatu nadziei; widać, że on tu

nie rośnie, a doświadczenie powiada, że on należeć musi do tych roślin przewoźnych, które pod naszem niebem nie dają się aklimatyzować. Co do marzeń młodzieńczych, te podobne motylkom, z każdą chwilą tracą swe barwy ozdobne; zachwycają nas wiosną, latem już w ich szatach różnowzorych liczne skazy dostrzegamy, a za nadejściem jesieni, w ich szmatkach bezfarbnych, ledwo poznajemy smutne resztki niedodartych skrzydełek. Mając bowiem 28 lat wieku, już na świat nie poglądamy tem okiem, jakiem przed 10-ciu patrzyliśmy laty; już pryzmata łudzące ustępują miejsca szkiełku doświadczenia, a przez nie patrząc, cóż tak bardzo pocieszającego można zobaczyć na Syberyi, na tym pustyń i lasów oceanie?! . . . Mógłby kto zarzucić, że życie bez marzeń i nadziei przestaje być życiem, to prawda; lecz w naszem położeniu korzystniej jest pozbyć się jednych i drugiej, bo jeśli jeszcze jakie szczęście na ziemi jest tu dla nas zostawione, tem przyjemniejszem się wyda, im mniej było oczekiwane, a nadzieja bez ziszczeń nie jest dla serca balsamem, ale trucizną. Wyznać muszę, że lubo poniósłszy strat tyle, nie wygasły ostatecznie w mem sercu pamiątki osób, miejsc i chwil przyjemnie kiedyś spędzonych; że chociaż przeszłość ma dla mnie lube wspomnienia, jestem jednak obojętny, co się tyczy przyszłości — obecnie zaś spokojny, wesoły, bez żądz, bez życzenia nadewszystko, gdym się uwolnił od marzeń i nadziei.»

Przejażdżki w okolice Iszymu, rozmyślania, budzone już to widokiem krajobrazu, już to zwróceniem uwagi na pojęcia i poglądy ludów azyatyckich, nasunęły Zielińskiemu pomysł do poematu, który początkowo miał nosić napis; „*Fantasmagorye*", ale który w druku otrzymał tytuł szczuplejszy i bardziej określony: „*Stepy*".[1])

Składa się on z 4 części, słabą tylko nicią w jedną całość złączonych. Pierwsza z nich, to rzeczywiście szereg krajobrazów, przedstawiających step w zimie, podczas zawiei śnieżnej; na wiosnę, kiedy się rozlicznem kwieciem pokrywa i żyjątkom przeróżnym daje karm i schronienie. Autor pędzi na koniu; podziwia dziką piękność natury, rozmyśla nad kurhanami, gęsto wznoszącymi się na pustej płaszczyznie, dobiega przestrzeni szerszych a bardziej pustych, do umarłego morza podobnych, wreszcie oko jego postrzega w oddali jakieś poszczerbione wyniosłości, do chmur podobne, lecz nie będące chmurami. Pięknych ustępów w tym opisie stepów znajdujemy wiele. Zaraz na początku owa zamieć, kiedy to:

---

[1]) W druku „*Stepy*" ukazały się najprzód jako ułamek r. 1844, w „*Snopku nadwiślańskim*" ogłoszonym na dochód jednego z powróconych wygnańców, przez Cieplińskiego; następnie jako drobna całostka, sam tylko opis stepów obejmująca, w „*Poezyach Gustawa Zielińskiego*" (Warszawa, 1846); wreszcie w 10 lat potem, we właściwym, pierwotnym swym kształcie, poprzedzone później napisaną „Przygrywką", p. t. „*Stepy*", poemat przez G. Z. autora Kirgiza, Poznań, 1856, str. XXII, 80.

Rój gwiazd śnieżnych wirowym ruchem,
W takie cię gęste siatki okręca,
Tak nieprzebytym ściska łańcuchem,
Że zmęczonego wziąwszy jak jeńca,
Przy tobie żywym, jak przy swej osi
Biały, grobowy Kurhan podnosi.
Niebo i ziemia nikną ci . . . kołem
Ćma tylko luźnych atomów krąży,
Owija chwilę i dalej dąży;
Chwyta cię obłęd — sądzisz że społem
Lecisz z tym wirem co cię oplata . . .

A na wiosnę, gdy „z łez zimy oschłe, jaskrawe słońce jednem spojrzeniem całej przestrzeni śle bujne życie, więź swych promieni, co jakby w chmurę padając mglistą, po stepie ścielą tęczę kwiecistą“. . . zachwycają poetę przedewszystkiem niezabudki, więc pyta olśniony: „Odłam to niebios? czy wróżka która wzrokiem urzekła fale jeziora, że choć wiatr marszczy powierzchnie sine, z wyżyn się nie śmią stoczyć w równinę“. Wreszcie i ów step do umarłego podobny morza, z trawami pozbawionemi świeżości, skarlałemi, z powietrzem „tumannem“, siwą, nagą przestrzenią ciągnący się, przedstawia gdzieniegdzie tylko pewne urozmaicenie: „tu wydmuch piasku jak srebrna mora, jak kiedy wietrzyk przelotnym wiewem pomarszczy gładką szybę jeziora; tam, huraganów zmącone gniewem, kładąc się w warstwy żwirowe wały, w spiętrzonych, długich sypach zostały; ówdzie, jakgdyby żółwie olbrzymie, zapełzły na te lądy bezwodne, wzgórza z ciemnymi nagimi grzbiety“. . .

Czy te opisy stepu odpowiadają rzeczywistości? Sam ich nie znając, nie mogę dać odpowiedzi na takie pytanie, powtórzę tylko to, co jeden z przyjaciół Zielińskiego znający rozległe stepy kirgiz-kajsackie, napisał Gustawowi, gdy ten zakomunikował mu pierwszą część swego utworu. W liście z 19 grudnia 1843 r. pisał Adolf Januszkiewicz z Omska: „Wstęp twojej nowej kirgizkiej powiastki, jakkolwiek piękny, świetny, brylantowy, Bohdanowy, nic niewart! Trzeba nie widzieć kirgizkiego stepu, żeby prawić o błękitnych wzgórzach, sinych falach jeziora, kwiatkach pamięci niezabudkach!!! Tyś sobie nabił głowę, jak widzę, że step Tamerlanów jestto Arkadya, kraj zielonych łąk, szemrzących strumyków i pasterek nucących idylle. Nie bracie!... Nasz step nie przedstawia się podróżnemu w tym wabnym i pieszczonym stroju, w jaki ty jego ubierasz; ma on swoje piękności, lecz właściwe sobie. Dzikość, niepłodność, niedostatek wody: oto są ogólne jego cechy. Znajdziesz i tu wzgórza, lecz te będą nagie jak grzbiety żółwia; ujrzysz i tu jeziora, lecz po największej części smutne ich fale, przywiodą ci na myśl martwą Asphaltis Palestyny; za niezabudką musiałbyś zjeździć sto uroczyszcz, nimbyś znalazł dostateczną jej ilość na bukiet pamięci. Nic rzadszego w stepie jak owe piękne okolice Iszyma zasłane kobiercami róż i lilii. Jeżeli wreszcie nad brzegami jakiej rzeczki znajdziesz oazę wśród tych pustyń, bogatych tylko w słoną wodę, w słoną ziemię i w słone nawet trawy,

niedługo pocieszysz się jej widokiem. Oto wkrótce afrykański prawie upał, zwykle całe lato trwający, spali ją swym oddechem, lub będziesz szukał jej śladów pod kopytami wielbłądów, koni i baranów. Jednem słowem, żeby zakończyć tę recenzyą twojej poezyi, jeśli ci mało świadectwa wędrowca, który w tym roku widział 1000 wiorst samego środka kirgiskiego stepu, odsyłam cię do dzieła p. Lewszyna, który co się tyczy ogólnego widoku jego, to samo powtórzy. Pamiętaj, że ja mówię tylko wogóle; w górach np. kokczetańskich bardzo są piękne miejsca, ale to *rari nantes in gurgite vasto,* [1]) a i te góry w znacznej części nagie, gdzie zaś są pokryte lasem, z pośród sosen wyglądają dzikie skały. A cóż dopiero powiedzieć o niezmiernych przestrzeniach piasczystych pustyń, znanych pod imionami Barsuki, Karat-kum, Kizyt-kum, Bedpalidała itp. Wszystko to *horror horrendissimus*". [2]) Zieliński znał dzieło Lewszyna (*„Opisanije Kirgiz-kozaczych hord i stepow");* mimo to i mimo uwag Januszkiewicza, pozostawił na czele swego opisu, owe błękitne wzgórza i owe niezabudki, bo na nie patrzył, objeżdżając okolice Iszyma; pod koniec dopiero opisu, znać wpływ krytycznych spostrzeżeń przyjaciela, kiedy Zieliński mówi o stepie podobnym do Martwego morza (*Asphaltis),* i kiedy pustynne wzgórza do żółwich skorup porównywa.

---

[1]) = zrzadka pływające na rozległym wirze.
[2]) = okropność najokropniejsza.

W części drugiej poematu, zatytułowanej: *„Góry“*, autor nadzwyczaj mało zajmuje się kreśleniem kształtów górskich, wyłącznie niemal natomiast oddaje się rozmyślaniom nad powstawaniem wszechświata według wyobrażeń wschodnich. W obszarach „czczości“, Duch najwyższy spał głęboko bez marzeń, potem poszedł w „półśnienia“, objawiające się jako „ziarna światła, które w otchłanie leciały jak gońce, zwiastować cuda zmartwych powstające“. Coraz żywsze marzenia Ducha najwyższego, okazywały się jako coraz szybciej przebiegające smugi światła, które zapędzały mrok w coraz większe otchłanie; nareszcie gdy nadeszła wielka chwila przebudzenia ducha, „taki naraz ogrom blasku strzelił, że mrok granicą od światła oddzielił“.

Przez bramę wschodu, jak gdyby pożoga
Oblała niebo w igrach skier tysiąca
Coraz i coraz blaski wzmagająca;
Jego Mądrości zajaśniała zorza,
Ponad falami duchowego morza.

Duch — tworzyciel tchnął życie w wody; z jego skrzydeł „rój drobnych duchów leciał na głąb’ wody, przybrać się w kształty cielesnej urody; każdy duch, odłam twórczej jego myśli, innem piękności naznaczon znamieniem, w inne się stroi obsłonki i kreśli swój świat dla siebie“. Gdy następnie zabłysło słońce, a mgły niżej opadły, wytrysła góra *„Su-mer“*, zajmująca według buddystów, środek ziemi. Z wierzchołka tej góry rozpatruje się duch poety w wszechświecie, nie tyle we wszech-

świecie rzeczywistym, ile wymarzonym, przedstawiającym, wieczną a nieustanną walkę ciemności ze światłem: Arymana z Ormuzdem. Poeta, jako wyobraziciel ducha ludzkiego, nie chciał przeciwko duchom ciemności zwoływać duchów jasnych, lecz radzić postanowił sam sobie:

Ja, myślą silny, wolą moją dumny,
Mógłżem do serca przystęp dać bojaźni
I słabym tworom mętnej wyobraźni
Poddać się, uledz, zaprzeć się sam siebie? . . .
Wszakże On, kiedy mnie stworzył i w niebie
Duchowi memu ukazał siedlisko,
Dał czystą wiarę, bym nie upadł nizko,
Bym się igraszką nie stał sił tajemnych,
Tych kolumn duchów, i jasnych i ciemnych;
Więc czarne roty, co mnie jeńcem brały,
Strąciłem nogą — i patrzyłem na nie,
Jak zdruzgotane o sterczące skały,
W głąb', w najciemniejsze zapadły otchłanie.
Wtenczas myśl moja, skał grzbiety, gór głowy
Wziąwszy za stopnie, choć w przepaściach droga,
Szła śmiałym krokiem, niby Tytan nowy,
Wyżej i wyżej — do idei Boga.

Od Boga usłyszał „głosem piorunu“ wyrzeczone określenie stanowiska człowieka we wszechświecie, oraz jego zadania na nim:

Ty jesteś średniem ogniwem łańcucha,
Jądrem mej myśli; od ciebie do góry,
Coraz lżejszemi podnosząc się pióry,
Miliony istot szczebluje w świat ducha;
Od ciebie na dół — w otchłanie strącony
Ciągnie się tworów orszak nieskończony,

Co biorąc grubsze cielesne okrycia,
Gasi tę iskrę duchowego życia.
Przez cnoty, z ziemi wyswobódź się kału,
Przez umartwienia, panuj twemu ciału;
Przez miłość ludzi, przez poświęceń próby,
Miłości własnej otrząśnij rachuby.
Wówczas twa dusza, z pyłów oczyszczona,
W takie cudowne kształty się przemieni,
Że od słonecznych jaśniejsza promieni
Wróci odpocząć u mojego łona.
Lecz gdy twą duszę brudna żądza splami,
Gdy ją zbezecnisz i zczernisz zbrodniami,
W gad ją obrzydły zamienię i strącę
W bezdenną przepaść, otoczę ją cieniem,
Będę ją dręczyć trawiącym płomieniem,
Dam jej form tysiąc, i przez lat tysiące
Dźwigać się musi, nim spojrzy na słońce.

Potem duch poety znowu się spuszcza na ziemię, rozpatruje góry, stepy, pustynie, rzeki i jeziora (mianowicie „Bałcharz błękitny jak oko, rzęsą trzcin ciemnych obrosły szeroko“), unosi się od północy na południe nad całym olbrzymim Azyi lądem i dostrzegając posępny „ród Paryów“, powołuje go do wyrobienia w sobie żądzy wolności,

Pewny, że głos . . . pchnięty na obszary,
Jakby lawina, jak odłam granitu
Spadnie, w proch zetrze butwiejące wiary
I ledwie próchnem świecące ich trony;
Że głos ten, przez ust pochwycon miliony
Zagrzmi jak orkan, jak piorun śród burzy,
Że go tysiączne gór echo powtórzy,
I jako wulkan w straszliwym wybuchu
Świat strupieszały odmłodni na duchu! . . .

Niestety, nawet skały nie odbiły jego głosu, a cóż dopiero, żeby ludzie go usłyszeli i poszli za nim! Poeta puszcza się w stepy, zamieszkałe przez narody „z rdzy barbarzyństwa jeszcze nie otarte“, lecz godniejsze szacunku niż spodlałe Parye, bo wśród tych ludów „ślad dzikiej pozostał swobody“.

Stanowi to przejście do trzeciej części poematu *„Bajga“*, przedstawiającej wśród koczowniczej hordy, dzielnego wodza wielu plemion, sułtana Kodara. Silny, odważny, z wolą jakby z granitu wykutą, z przygód rzucał się w przygody; pozyskał sławę i szacunek. Czarne, pełne ognia oczy rzucały czar na niewiasty. Pokonanie tygrysa uczyniło go bohaterem stepów, a sprawiedliwość i dobroć, zjednały mu uwielbienie wśród wolnych dzikich Kirgizów, umiejących się ukorzyć przed wyższością ducha. Poeta, nie przedstawia Kodara w dobie walk jego i wypraw miłosnych, lecz w chwili opuszczenia przez koczowników miejsca dawniejszego pobytu. Odbywały się wtedy uczty, popisy, zabawy, a wśród nich niemałe miejsce zajmowały pieśni:

Tam widzieć trzeba, jak stepu synowie,
Pojmują wieszcza, gdy im go Bóg zdarzy;
Ile radości błyszczy na ich twarzy,
Jaka potęga w jego każdem słowie!
Niebo, step, konie i życie pastusze
Tłem jego pieśni, z którego ciąg zdarzeń
Snuje w natchnieniu i proste ich dusze
Porywa z sobą do krainy marzeń;
Ich lica, to jak zwierciadło bez skazy,
Na którem władzą słowa czarnoksięską
Pieśń — w rzeczywiste kształci się obrazy.

Zapał wojenny, ciche zadowolenie, żądza namiętna, smutek przygnębiający, odbijają się na twarzy słuchaczów, gdy pieśniarz odpowiednią strunę potrąci. Poeta, od pieśni stepowych, zwraca się do piewców ziemi własnej, ostrzegając ich, by swych natchnień pierwszych „nie rzucali płocho na pastwę salonów“, a umieli godnie „śpiewać dla ludu“, gdyż wówczas tylko pieśni ich nieśmiertelnemi się staną.

Bo pieśń, to boskie w dziejach ludów słowo,
Jako piastunka nad dziecięcia głową,
Tak lud — niemowlę kołysze i pieści
Czarownym wątkiem cudownych powieści;
Później, jak dziewczę, w dniach pierwszej miłości,
Namiętną iskrą jednego spojrzenia,
Młodzieńcze piersi ludu rozpłomienia
Urokiem szczęścia, sławy i wielkości;
A gdy lud kona, jak matka w żałobie,
Boleść swą w jęki przelewa i łkania,
I długo pomnik mchem zrosły na grobie
Mgłą nieśmiertelną jak krepą osłania.

Czwarta część poematu, najkrótsza p. t.: *„Śpiew“*, to pożegnanie pieśniarza stepowego z drużyną sułtana Kodara. Pieśniarz jest ślepy, już się nie może ucieszyć widokiem ni gwiazd, ni stepów, ni klucza żórawi, ni orła pławiącego się w przestworach podniebnych. Pieśniarz jest smutny, bo wie, że pomory niszczą stada, a nad pomory gorsza — zawiść wściekła plemion co zaściela szlaki trupami, a stepy płomieniem zażega.

Wszak brat już brata poluje jak zwierzą,
Matka za strawę sprzedaje swe dzieci,
I mąż się podli dla fraszki, co świeci.
A wróg wciąż czyha, jak żelazem ściska,
Wydziera bujne stad naszych pastwiska,
W krótce się każe zaprzeć i nazwiska . . .

Pieśniarz chciał już gęśl swoją skruszyć, albo ją w łono zagrzebać kurhanu; ale szczęściem trafił na koczowisko sułtana Kodara, które jak wielka rodzina żyło w zgodzie, miłości, pokoju, lecz gotowe walczyć z wrogami. O! rzekł wówczas sam do siebie, tu ojców duch stary nie zgasł, tu drzewo z silnymi konary na ich grobowym wyrosło kurhanie“:

Dzięki wam! cześć ci, Kodarze sułtanie!
Gdzie mąż tak prawy, lud tak dzielnej ręki,
Tam jeszcze śpiewak nie traci nadziei,
Że może kiedyś w dalszych lat kolei,
Piękniejsze z gęśli wysnuje piosenki.

Na tem się kończy poemat, piękny i świeży w poszczególnych ustępach, lecz w jednolitą artystyczną i myślową całość nie zespolony.

Pewnem, lubo nader dalekiem pokrewieństwem wewnętrznem łączy się ze „Stepami“ powieść wschodnia p. t. *„Koń Beduina“*. Treść do niej zaczerpnął Zieliński z dzieła Lamartine’a: *„Podróż na Wschód“*. Koń, ukochany przez pana, dostał się wraz z nim do niewoli. Skrępowany Beduin nie mógł przenieść myśli, by jego towarzysz miał zostać sługą Turków, co ich obu pojmali; postanawia raz

go jeszcze ujrzeć, więc na piersiach, na brzuchu przesuwa się czołgając śród straży tureckiej, i mimo ciężkich pętów i nieznośnej rany, dopełzł, kędy za nogę koń jego stał włosiennym powrozem przykuty do haku. Chwycił za pęto ustami, długo się silił i długo mocował, szarpał i gryzł i targał, aż wreszcie pękł włosień. Koń poczuwszy się wolnym, parsknął, wstrząsł się, spojrzał na swego pana i stał jak zdumiały; zdało się, że myśl człeka badał i przeniknął, bo w pół za pas zębami swego jeźdźca chwycił, wzniósł w górę i puścił się w drogę:

Już przebiegł pole i pnie się w góry
Wyżej i wyżej, aż tam gdzie chmury
Wierzchołek mglistym wieńczą turbanem;
Z gór się wijącą spuszcza drożyną,
Pomiędzy łomy, głazy, zawały,
Co się być zdają spadłą lawiną
W tysiączne kształty strzaskanej skały.
A od podkowy, z drogi krzemiennej,
Sypie się za nim szlak iskr promienny,
I pędzi dalej. Trafił na parów
Głęboki, ciemny — przepaść — nie wstrzyma. . .
Dał skok, przesadził — i już go niema,
Tylko się tętent został śród jarów.
I pędzi dalej — przybiegł do rzeki,
Cisnął się w nurty ze stromej ściany,
Pękają fale, pryskają piany. . .
Dopłynął brzegu. . . i już daleki. . .
I już śród stepów piersiami porze
Bałwany żwirów i piasków morze.

Dobiegł wreszcie do znanych sobie koczowisk i przed namiotem Szeicha złożył drogi ciężar;

matrony i dziewczęta cisną się do Araba, rozrywają więzy i gojące balsamy leją mu do rany. A koń śpieniony drży, chwieje się, słania, wreszcie wstrząsa się, wypręża i pada bez tchu. „A długo, długo, jak brata lub syna, płakał go Arab i cała rodzina“. Sam wątek jest zajmujący, a obrobienie bardzo udatne; ładne są ustępy opisujące przywiązanie Beduina do rumaka, oraz złudne majaki czyli *fata-morgana* w pustyni.

Z życia i pojęć Beduinów wzięta też została treść obrazka, niewiadomo kiedy nakreślonego [1]), a ogłoszonego dopiero po śmierci poety (w „Tygodniku ilustrowanym“ r. 1897 N.N. 46, 47) p. t. *„Antar“*. Jestto powiastka fantastyczna, pisana prozą poetycką, gdzieniegdzie rytmiczną. Beduin gonił za gazellą, ale tenże sam łup upatrzył sobie jakiś ptak olbrzymi i już miał zdobycz w szpony swe pochwycić, gdy celny strzał Araba oswobodził gazellę, a śmiertelnie zranił jej prześladowcę. Okazało się następnie, że gazella była to czarodziejka z rodu, w którym jedna z Peri połączyła się ze znamienitym poetą. Za wybawienie swoje, przyrzekła Beduinowi spełnić kolejno trzy życzenia, mające zawrzeć w sobie najwyższe słodycze bytu ziemskiego. Życzenia te były: dokonanie zemsty nad wrogami, panowanie nad ludźmi i miłość. Spełnienie dwu pierwszych dało Antarowi chwilowe jeno zadowo-

---

[1]) Zdaje się, że powstał jednocześnie ze „Stepami“. *(Przyp. Wyd.)*

lenie; dopiero miłość samej Giul-nazary, dała mu odczuć szczęście najwyższe. Wiedząc atoli, czem się kończą słodycze życia, błagał czarodziejkę, by życie jego wygasiła ostatnią kroplą słodyczy miłości, skoro ujrzy, że już gorycz zaczyna się w niej przebijać. Po latach wielu „Antar leży na miękkiej pościeli obok prześlicznej Peri i trzyma jej rękę w swej dłoni, lecz zdaje się tęsknić; usta jego milczą, myśl nawet zdaje się błądzić w pustyni“. . . Wierna Peri spoglądała na niego z boleścią, smutkiem i miłością, a pełne ognia promienie jej oczu, nie rozgrzewają już duszy Antara. Dwie pełne łzy roni i namiętnie oplata go swemi rękoma. On, jakby gwałtownem krwi uderzeniem ze snu przebudzony, rzuca się w jej objęcia i rumieni się na samą myśl obojętności. Jej ogień silną iskrą przeleciał w serce jego. Miłość wzburzyła w nim całe życie i zapaliła je tęczowym płomieniem rozkoszy, pogrążając następnie w upojeniu. Antar, przykuty do ust gorącej kochanki, przyjemnie zasnął na jej łonie. . . zasnął na wieki. Peri z ostatnim pocałunkiem wciągnęła w siebie jego duszę i ze swoją własną złączyła. Dopełniła przysięgi: „dusza Antara żyć będzie wiecznie miłością w duszy kochanki i nie dozna nigdy goryczy, idącej w ślad za słodyczami tej namiętności w ziemskim bycie człowieka“. Po upływie bardzo wielu wieków, można było ujrzeć „cudną Peri nieruchomie leżącą w tem samem miejscu, gdzie po raz ostatni poiła się szczęściem miłości w jego objęciach. Jedną ręką wspierała prześliczną swą

głowę, ocienioną rozpuszczonymi kruczymi włosami, w drugiej trzymała garść sinego pyłu, cały ostatek wielkiego niegdyś pomiędzy ludźmi Antara. Z tkliwością spoglądała na tę garstkę sypiącego się prochu; łza jedna upadła nań z jej oka i proch ukochanego śmiertelnika, owijając się wokół tego posłańca serca kochanki, raz jeszcze zadrżał słodyczą miłości". — Taki obraz niegasnącej nawet wobec trupa namiętności, może tylko w świecie fantastycznym nie razić; w stosunkach realnych może byłby wstrętny.

Z polskich, albo ściślej mówiąc, z ogólno średniowiecznych, europejskich stosunków, poczerpnął Zieliński barw do odmalowania dzielności i zacności rycerskiej w *„Janie z Kępy"* i w *„Giermku"*. Widownią obu obrazków są rodzinne strony poety, Płockie, za któremi tęsknił i które zaludniał tworami swej wyobraźni.

„Jan z Kępy" pod względem formalnym i stylowym, powstał pod wpływem *„Jerozolimy Wyzwolonej"* w przekładzie Piotra Kochanowskiego i *„Grażyny"*, a co do treści jest fantastycznem połączeniem jawy z sennemi marzeniami. Jan, „chociaż wiekiem nie dorósł lat męża", już pozyskał sobie sławę wielką i liczony był do rycerzy wybranych. Z wyprawy na Prusaków pogańskich podjętej, a nieszczęśliwie zakończonej, wracał sam w nocy, przedzierając się nieznanemi sobie ścieżkami. Jakiś rycerz w czarnej zbroi, ofiarował mu się na przewodnika i wprowadził na zaczarowany zamek,

gdzie przy stole biesiadnym siedziało 12-tu zamaskowanych rycerzy. Na ich żądanie, opowiedział Jan swoją przygodę z lat młodzieńczych, kiedy go młoda Prusaczka Ilha od śmierci wybawiła, lecz sama od strzały spółrodaków zginęła. Zaledwie skończył opowiadanie, rycerze odkryli przyłbice: były to piękne dziewy z palmami w ręku, „jak pańscy anieli“, a między niemi najpiękniejszą Ilha. Nazajutrz znaleziono ciało Jana martwe, na jakiejś dawnej mogile.

„Giermek“ — to przedstawienie mężnie wytrzymanych prób, na jakie wystawiani byli młodzi, w noc poprzedzającą pasowanie ich na rycerzy. Pacholę — sierota, wzięte na dwór przez księcia Ziemowita, zręcznością, męstwem, rozumem pozyskał sobie wielkie łaski panującego, wielu liczył przyjaciół, ale i wielu zawistnych. W sercu miał straszną tajemnicę: kochał żonę młodą Ziemowita, Jadwigę, córkę księcia na Zembicy. Nazajutrz miał otrzymać miecz z ręki władcy, więc w kościele samotny modlił się gorąco, myśląc z radością i trwogą o niedalekiej przyszłości. Wtem zjawiają się pokusy. Najprzód, ujrzał ukryty w kościele skarb, który zabrawszy, mógłby z całą świetnością dalsze życie prowadzić; potem szereg umarłych zawodzących straszny taniec lękiem okropnym go przejął; nie dał się jednak porwać ani chciwości ani strachowi. Nadeszła próba najtwardsza: sama Jadwiga namawia go, by ją od niemiłych związków uwolnił. Nastała w duszy giermka ciężka walka pomiędzy miłością a wiernością

jaką winien był księciu; z walki tej wyszedł zwycięsko, choć z wielkiem cierpieniem, ale jak mówił do widma Jadwigi: „Ufność księcia, to przepaść — granica, której ja nigdy nie przestąpię“. Nad ukorzonym, giermkiem rozlega się chór głosów nadziemskich:

Kto żądze pokona, pokusy przełamie,
Ten, na bój z żywotem ukrzepił swe ramię,
Ten, choć się namiętność na niego oburzy,
I czoło jej stawi, i oka nie zmruży.

„Giermek“ to fragment tylko, czyli, jak sam autor go nazwał, „epizod“ z większej jakiejś całości.

Najpiękniejszem jednak ze wszystkiego, co Zieliński utworzył, jest powieść poetycka p. t.: *„Kirgiz“*. Odznaczyła się ona świeżością wątku i żywością obrobienia, jakiej w innych poematach Gustawa nigdzie w tym stopniu natężenia nie znajdujemy. Stanowi ona całość w sobie skupioną i zaokrągloną, a jakkolwiek nie wszędzie można wykazać harmonijny stosunek części składowych, jakkolwiek niektóre ustępy, np. wróżby starego czarodzieja, są może za szczegółowo przedstawione, gdy inne ważniejsze w dramatycznym rozwoju treści chwile, (np. wewnętrzna walka pomiędzy miłością a żądzą zemsty) zostały ledwie naszkicowane, to przecież usterki te, mijają niemal niepostrzeżone wobec wartkiego przebiegu akcyi i coraz to nowych obrazów.

Przedewszystkiem, oceniając „Kirgiza“, zrobić należy uwagę, iż utwor ten, malujący obyczaje

wschodu, różnił się zasadniczo od wszystkich „powieści wschodnich“, jakie w ówczesnej literaturze europejskiej pod wpływem Byrona i Moore'a powstały i zachwyt budziły. Zieliński w „Kirgizie“ ani myślał iść śladem Byrona w przedstawieniu bohatera i stosunków społecznych, nie myślał ubierać własnej postaci i własnego nastroju w maskaradowe kształty i szaty cywilizacyi obcej, dalekiej, lecz pragnął odtworzyć bujną, napół dziką naturę syna stepów, namiętnie spragnionego swobody i całym żarem zmysłów pożądającego miłości. W duszę swojego barbarzyńcy, nie włożył ani myśli rozległych, ani refleksyj subtelnych, ani pessymizmu filozoficznego, lecz dał mu życie zgodne z całem otoczeniem dzikiem i z całem wychowaniem, a raczej brakiem wychowania — w znaczeniu europejskiem. Jego Kirgiz trzema tylko płonie namiętnościami: ukochaniem dzikiej nieokiełznanej swobody, żądzą pomsty na wrogu i pożądaniem pięknej dziewczyny. Interesa jakiegoś ogółu społecznego, a tembardziej cześć dla jakiegoś oderwanego ideału, są mu najzupełniej obce. W dzieciństwie, w czasie *„baranty“* tj. wyprawy na cudze konie, ojciec jego został zamordowany przez naczelnika pewnej hordy (Bija), a on sam zaprzedany kupcom w niewolę. Dziesięć lat z górą przebył zamknięty w ciasnym obrębie miasta „w jurtach kamiennych“, gdzie mu było „duszno jak w grobie“, całą duszą tęsknił za rozległemi przestrzeniami, ażeby mógł odetchnąć swobodnie, bo jak orzeł stepowy — *„berkut“*,

choć dzieckiem pochwycony w sidła przez człowieka, nie może się z nim zbratać, lecz przy nadarzonej sposobności sprobuje ucieczki, tak samo i ten młody niewolnik, którego wiatr pustyni chłodził, gdy na koniu biegł stada doglądać,

Niebo co się w krąg zgina,
Step — koń — wszędzie gościna,
Ach! tam tylko i żyć i umierać!

Wyrwawszy się z pośród „jurt kamiennych“ i dosiadłszy konia, również stepów wychowańca, poczuł się Kirgiz swobodnym i poleciał w znajome sobie okolice, bardzo a bardzo odległe, bo trzy dni i trzy noce pędzić musiał, zanim do pierwszego aułu się dostał:

Lecą — któż ich dogoni? . . .
Tylko trawa się kłoni,
Gdzie ją rumak w przelocie dotyka;
Ślad i jeździec — to chwila . . .
Wnet się trawa odchyla,
Jeździec przemknął — a za nim ślad znika.
. . . .
Zatrzymał konia, powstał w strzemieniu,
Rozpostarł ręce z czuciem dziecinnem,
Aby po długiem, długiem cierpieniu
Odżyć, powietrzem stepu gościnnem.
Jemu się zdało — czystsze i letsze . . .
A więc je chwytał z takim pośpiechem,
Jakby chciał jednym, pełnym oddechem
Objąć w pierś, całe stepu powietrze. —
I długo bał się o każde tchnienie,
Bał się, czy cała świeża natura
Pragnącej piersi zgasi płomienie.

Gdy się nasycił świeżem stepowem powietrzem, którem oddawna nie oddychał, gdy pierwsze ogniste poczucie swobody przeminęło, Kirgiz zapuścił myśl w przeszłość, a koń jakby zgadując przemieniające się w jego duszy obrazy, stąpał odpowiednio:

Przez dni dziecinne, szedł stępym krokiem,
Pustoty dziecka, znaczył podskokiem,
A w lekkich susach z nogi na nogę,
Przeskakał chwile młodości błogie.
Czwałem go niosły lata młodzieńca,
Gdy rozwinąwszy skrzydeł swych loty,
Puszczał się w kraje dzikiej tęsknoty.

Nadeszła chwila najboleśniejsza i wspomnienie o niewoli, i obudziła się druga potężna namiętność: żądza zemsty. „Koń chrapie, prycha, żuje wędzidło, pieni się, wspina, i jak błysk, co ćmy mocne rozpycha, sunął z kopyta i gnał szalony, piekielną myślą jeźdźca pędzony“. Namiętność ta jednak nie opanowuje całego serca; łagodzi je widok stepów ukochanych:

Jak tu tchnąć miło! . . . Jak ta przyroda
I wiecznie piękna, i wiecznie młoda!
Może-li człowiek, który ma serce,
Więzić się pośród murów ciasnoty,
Mając pod stopą takie kobierce? . . .
Mając nad głową takie namioty?! . . .

Wschód słońca wywołał z piersi jego pieśń „dźwięczną, donioslą, jak srebrny dzwonek“. Poeta unosi się nad pięknością tego śpiewu:

O dziwna nuto pieśni kirgizkiej! . . .
Melancholijna — jak te płaszczyzny,
Dzika — jak krwawej zemsty pociski,
Rzewna — jak tęskność do pól ojczyzny.
Gdy cię pierś męzka z siebie wylewa,
Cała natura wytęża słuchy;
Niebu się zdaje, że to step śpiewa,
Ziemi — że nucą niebieskie duchy;
A śniąc od wieku w łonie kurhanów
Dusze praojców, naddziadów, hanów,
Słysząc znajome i bujne dźwięki
Rodzinnej, tęsknej stepów piosenki,
Budzą się ze snu, — i śpiew zbłąkany
Z ust do ust echem sobie podają,
Coraz lżej . . . ciszej — bo im kurhany
Starsze — tem słabiej, wolniej śpiewają,
A dźwięk ostatni staje się ciszą. —
Ach! kiedyż znowu stepu ojcowie,
W rodzinnej nucie, w rodzinnej mowie
Tę pieśń, co z grobów budzi, posłyszą? . . .

Głód, straszna burza, stłumiły w duszy Kirgiza na chwilę żądzę zemsty, i gdy się dostał do aułu, to przedewszystkiem musiał pomyśleć o zaspokojeniu wygłodzonego przez trzy doby żołądka; to też jadł „za czterech“, a gościnni Kirgizi, wszyscy ubiegali się, by go z rąk swych nakarmić. Ale równocześnie z nasyceniem, zwraca myśl ku pięknej Kirgizce, córce gospodarza, co ledwie szesnasty rok rozpoczęła. „Świeża, młodziuchna, jak stepu kwiatek, kiedy się rankiem rozwinie z pączka“,

Jej kibić giętka — jej drobna rączka
Odgarnia z czoła włos kruczy, lśniący,
W siedmiu plecionkach na twarz płynący;

A z za tych wązkich, ciemnych warkoczy,
Przetkniętych w perły — żywe jej oczy,
Jak czarny węgiel gdy się rozżarzy,
Siały promienie z ogniska twarzy.

Miłość „gwałtowna, dzika, bez tęsknic, marzeń, z samych namiętnych osnuta wrażeń i z rozognionych tęcz wyobraźni — jakieś morze uciech rozkoszy, pieszczot", objęła odrazu dwa serca, które już bez siebie żyć nie mogły. Ale w sercu młodzieńca musiała się stoczyć walka straszna, między żądzą i obowiązkiem zemsty, a upojeniem rozkoszy. Jego gospodarz, toż to morderca jego ojca! Wspomnienia znowu tłumem wdarły się do duszy:

Tęskniąc do swojej strony stepowej
Kląłem dzień, co mi dwoił się długi,
A gdy noc przyszła, gdy świat spał głucho,
Stawał przedemną krwawy trup ojca,
Budził mnie ze snu i szeptał w ucho:
Leć! . . . mścij się! . . . dotąd żyje zabójca! . . .

Tymczasem cóż on robi, gdy wyswobodzony dostał się do pierwszego aułu Kirgizów?

Wpadam, nie pytam jakiego rodu,
Bo w każdym głosie, stroju, postaci,
Poznaję swoich — i jak mych braci
Ściskam, całuję, łza z ocz mych tryska . . .
Mnie wtenczas urok jakiś czarował! . . .
Wszakiem zabójcę ojca całował . . .
I u jednego siadł z nim ogniska!
Przeklęta gwiazda, co mnie tu wiodła! . . .
Przeklęta pamięć, co mnie zawiodła!
Jam go nie poznał — bo przed mym wzrokiem

Olśnionym nagle szczęścia widokiem
Miłość — zwodniczą rozpięła tkankę . . .
. . . .
Czyż tak w przeznaczeń wyryto księdze?
. . . .
Że gdy mnie straszna ściga powinność,
Padnę, ulegnę wdzięków potędze,
I nędzny, od tych przyjmę gościnność,
Którym nienawiść przysiągłem wieczną?! . . .

Dręczony niepokojem zasnąć nie mógł; błąkając się wśród jurt, dostrzegł, że nie on sam tylko czuwał, że i w jurcie Bija paliło się ognisko, a przy niem gospodarz ze starym czarodziejem, rozmawiali o przeszłości i wywodzili wróżby na przyszłość. Podsłuchawszy rozmowy, dowiedział się, że o nim była mowa i że czarodziej doradzał Bijowi, by młodego Kirgiza pozostawił w mniemaniu, iż mu swą córkę Demelę da za żonę:

Dozwól, niechaj go czcza mara zwodzi;
Nie mów, że pierwsi z kirgizkiej młodzi
Z dalekich stepów ślą do cię swaty
Dając za córkę *Kałym* [1]) bogaty.
Łudź go — niech ogniem żądzy goreje . . .
Zapomni zemsty, karmiąc nadzieje . . .
A kiedy jurty zwinąwszy nasze,
By zająć dolin żyźniejszych paszę,
Odkoczujemy na step rodzinny . . .
Staraj się zręcznie za krąg gościnny
Nierozważnego młodzieńca zwabić,
A wtenczas, wtenczas . . . — rzekł z cicha — zabić!

Poeta, nie maluje nam stanu duszy młodzieńca

[1]) = Okup.

po usłyszeniu słów tych, odkrywających zamiar wroga, pozwala się tylko domyślać, że on istotnie pod wpływem miłości dla Demeli, zaniechał rodzinnego obowiązku zemsty. Zbliżamy się do katastrofy. Zapowiedziane opuszczenie miejsca dotychczasowego nastąpiło. Razem z innymi, wyruszył także nasz młodzieniec. Jedni, zabawiali się łowami, inni, próbowaniem sił swych nawzajem, inni udaną bitwą; inni wreszcie, stają rzędem, by zacząć gonitwę do widnego w dali kurhanu. Między tymi ostatnimi znajdowała się Demela i jej wielbiciel. Mieli najlepsze konie, wyprzedzili więc innych w wyścigu. Kirgiz namówił Demelę, by z nim uciekła, gdyż tu poza gościnnej opieki granicami, niechybna śmierć go czeka. Bij spostrzegł ucieczkę, a gdy napróżno starano się dogonić zbiegłych, użył strasznego, niezawodnego środka — kazał zapalić stepy! Pięknie, malowniczo, pożar stepów skreślony, a z siłą dramatyczną przedstawione położenie i uczucia kochanków. Koń Demeli nie mógł nadążyć koniowi Kirgiza, a gdy padł przesiadła na drugiego i razem z ukochanym jechała; ale dym i żar coraz bliżej nacierał . . .

. . . . . A koń, jeździec i kobieta,
Kłębem dymu jak chmurą owiani,
Falą ognia jak piekłem ścigani,
Umykają z największem pośpiechem. —
Wtem — wiatr z ognisk takim żarem wionął,
Że duszącym objęty oddechem
Padł koń drugi — i ducha wyzionął.

Krótko, ale przejmująco maluje poeta ostatnie chwile dwojga kochanków, niechybną zagrożonych śmiercią:

Jeździec groźno wzniósł oczy do nieba,
Twarz mu dzikim pałała wyrazem. —
„Luba! . . . luba! . . . tu się rozstać trzeba! . . .
„Śmierć już blizko! . . . Umierajmy razem!“
I obłąkany wzrok topiąc w jej lice,
Dodał głosem największej żałości:
„Oh! . . . już nigdy, nigdy nie nasycę,
Ani zemsty, ani mej miłości!“ . . .
Jak dwie wierzby przy jednym strumieniu
Gałązkami ujmą się, pochwycą,
Tak młodzieniec z stepową dziewicą,
W tem ostatniem, smutnem uściśnieniu,
Pocałunkiem usta do ust zdali;
Duch się duchem, tchnienie zbiegło z tchnieniem;
Pocałunkiem i tem uściśnieniem
Tu — na całą wieczność się żegnali . . .

Idąc za rozwojem głównej postaci i uwydatniając trzy główne w niej namiętności, pominąć musiałem sylwetki Bija i czarodzieja, obrazy koczowiska, wyruszenia taboru w podróż, wspaniały opis burzy na stepie, jak nie mniej wzmiankowałem tylko o ślicznym opisie pożaru stepów. We wszystkich tych szczegółach, widnieje chęć odtworzenia rzeczywistości, tu i owdzie jeno uidealizowanej, bez paczenia jednak zasadniczych rysów natury dzikiej, krępowanej tylko prawami gościnności. Starając się atoli o wierność względem stosunków rzeczywistych, poeta wcale nie dążył do przedmio-

towości, i chętnie swoje własne uwagi wtrącał w wątek opowiadania, biorąc niejako żywy, sympatyczny udział w losach bohatera.

Czy wszystkie okoliczności odnoszące się do sposobu czucia i postępowania Kirgizów, odpowiadają istotnie prawdzie realnej? Na takie pytanie trzeba powtórzyć to, com powiedział z powodu „Stepów“. Ten sam przyjaciel Gustawa, Januszkiewicz, co mu przesłał ocenę „Stepów“, wyrażał się w listach dosyć sceptycznie o wierności rysów; przytaczał zdanie jakiegoś znawcy obyczajów kirgiskich, iż w nim, sposób zapoznania się Kirgiza z Demelą śmiech wywołał; że wogóle poetyczniej Zieliński przedstawił mieszkańców stepowych, niż oni są w rzeczywistości; obiecywał nawet szczegółową recenzyę poematu, nakreśloną przez jakiegoś specyalistę, lecz tej recenzyi w papierach po Zielińskim nie znalazłem.

Przypuszczając atoli, że nie wszystkie rysy, któremi skreślił Zieliński swego bohatera, jak i otoczenia jego, są zgodne z codziennymi, powszednimi stosunkami życia wśród Kirgizów, to jednak za pewne uznać można, iż w jego obrazie daleko wierniej odbiły się obyczaje stepowców, aniżeli życie Turków w powieściach poetyckich Byrona. A ponieważ były to rzeczy świeże, pierwszy raz w naszej literaturze w ten sposób malowane, ponieważ wykonanie odznaczało się żywością tętna, nie dziw, że przyjęto „Kirgiza“ (Wilno, 1842) entuzyastycznie, że od chwili wydrukowania, autor

jego, stanął odrazu w rzędzie głośnych w kraju poetów, że wydania następne ponawiały się często i sprawiły, że poemat ten stał się jednym z nader popularnych i znanych ogółowi czytającemu. Wprawdzie już przedtem w *„Piśmiennictwie krajowem“*, w *„Przeglądzie Warszawskim“* i *„Nadwiślaninie“*, były drukowane drobne wiersze Zielińskiego, ale dopiero „Kirgiz“ nadał rozgłos jego nazwisku.

X.

Druk „Kirgiza“ sprowadził wymianę listów pomiędzy Gustawem Zielińskim a bratem spółwygnańca, Januarym Januszkiewiczem, który lubo pisał nieortograficznie, był zapalonym wielbicielem poezyi i utrzymywał stosunki z literatami, księgarzami i drukarzami. On to zajmował się sprawą druku i spieniężaniem wydrukowanej książki. Za odbitych 600 egzemplarzy „Kizgiza“ wziął księgarz gotówką r. 25, oraz 100 egzemplarzy do rozprzedania. Ponieważ cena egzemplarza wynosiła kopiejek 30, więc dochodu mógł autor mieć najwyżej 125 rubli; a że musiał wiele egzemplarzy rozdarować, owa szczupła sumka jeszcze się bardziej zmniejszyła. W miarę rozprzedaży, January Januszkiewicz przysyłał Zielińskiemu książki, jakie tenże mieć zapragnął. Wtedy to nabył na własność, wydane wówczas tomy *„Historyi literatury polskiej“* Wiśniewskiego; wtedy również żądał książek, któreby go zaznajomiły z czasami Zygmunta Augusta; zamie-

rzał bowiem pisać dramat o Barbarze Radziwiłłównej. Z tego planowanego utworu, nie posiadamy dziś najmniejszego nawet śladu. Być może, powrót do kraju, usilnem staraniem rodziny wyjednany, w drugiej połowie r. 1842, odwrócił myśl poety w zupełnie inną stronę.

Z tej powrotnej podróży posiadamy drobne jeno i oderwane zapiski Gustawa. W Ekaterynburgu dnia 9-go października 1842 roku, pisał: «Drugi dzień jak jestem w Rosyi, a za parę godzin będę w Europie. Wyjechałem w najgorszą drogę z Tobolska; pierwsza stacya najlepszą była próbą dla mojej powózki, bowiem ciągle *staccato*. Dalej droga coraz się zaczęła polepszać; nareszcie wyjechawszy z granic Syberyi, od stacyi Markowa, zaczęło się szosse tak doskonałe, jak najlepsze belgijskie lub polskie; ostatnia dopiero stacya pod Ekaterynburgiem w niczem nie ustąpi pierwszej od Tobolska — sądziłem, że powózka nie wytrzyma. Na drodze żadnych przygód. Kiedym wyjeżdżał z granic Syberyi, z pilnością obserwowałem w lesie słupy graniczne, aby oddać pokłon tej ziemi, na której się przeszło 8 lat spędziło, nie bez chwil gorzkich, ale też nie bez przyjemnych. Wyjeżdżając z granic Syberyi, zdawało się, że w inny świat wjeżdżam — czas najpiękniejszy, niebo wszystkie chmurki zdjęło z siebie; noc cicha, spokojna; na zachodzie różowa pręga od zorzy zachodniej, niby uśmiechająca się nadzieja; nie widać śniegu, który tu i owdzie w powiecie tiumeńskim ukazywał mi

się. Od Kamyszłowa wszystkie wsi na drodze wytyczone drągami, aby porządnie i w prostych liniach się budowały; jestto ślad nowej organizacyi, która jeśli zechce odpowiedzieć zamiarom rządu, może o wiele polepszyć byt włościan. Od Kamyszłowa kraj coraż garbacieje — znać blizkość gór, które z ostatniej stacyi się pasmem swojem ukazują; lecz Ural w tem miejscu nie ma tego *grandioso,* jakie zwykle górzystemu miejscu towarzyszy; podnosi się piętrami zwolna, przeto i ostatni łańcuch, nie gór, a jakiegoś ciągu pagórków ma widok. Lubię góry, lecz nie mógłbym żyć w jakiejś dolinie zamkniętej górami; zdaje mi się, że brakłoby mi powietrza; o! milszy step ze swoim okiem niedosięgłym widokiem . . . Ekaterynburg, jedno z najpiękniejszych miast Rosyi, a przynajmniej z czasem niem będzie: ulice jakby place szerokie, mnóstwo domów murowanych a wszystko jak pałacyki w kolumnadzie. Nie mogłem widzieć żadnej fabryki, bo dzień niedzielny; zresztą sam Ekaterynburg ich nie ma, a tylko okolica. Cukiernia zupełnie na ład europejski — doskonały maraskino.»

Z dalszej drogi dopiero Smoleńsk zaznaczył się śladem wyraźniejszym. Tu Zieliński napisał wiersz: *„Gwiazda“*. Podróżny w pielgrzymiem odzieniu szedł z dalekich pustyń; ujrzaną gwiazdę wziął za swoją przewodniczkę, rozjaśniającą mu ciemności i przyoblekającą przedmioty w barwy tęczowe. Ale wnet zjawiła się niepewność, czy to nie ognik błędny,

a zaledwie to pomyślał, już gwiazda zgasła. Pielgrzym jednak nie utracił ufności:

Błądzi — czarniejsze nakryły go chmury,
Pustynia wkoło, nigdzie świateł niema,
On przecież wzrok swój podnosi do góry
I w całem niebie szuka jej oczyma . . .

Serdeczne przyjęcie znalazł niedaleko Wilna w wiosce Dziahylni, gdzie przebywał January Januszkiewicz i jego matka, z którymi przez kilka miesięcy często korespondował.

W listopadzie był już w Warszawie. Znalazł się tu w gronie młodych poetów, z którymi w różnych czasopismach, jako autor sąsiadował. Niedługo jednak zabawił w stolicy; pośpieszył w strony rodzinne, w Lipnoskie, do stryja Józefa. Jak mu się te strony rodzinne po 8-iu latach niewidzenia wydały? — nie wiemy napewno; możemy jednak przypuścić, iż patrzył na nie podobnie, jak jego przyjaciel Czermiński, który wcześniej od niego bo w r. 1840 wróciwszy w Lipnoskie, taki dał obraz tamecznego towarzystwa w liście na Syberyę do Gustawa wyprawionym (27 lutego 1841).

«Chcesz słyszeć coś o twojej stronie, więc ci powiem: ta sama ziemia, ten sam stopień kultury, lasy się tylko więcej przerzedziły. Pod względem obyczajów maleńka zaszła zmiana. Jak dawniej, tak i dziś szlachta lipnoska nie myśli o jutrze, a że w tym roku zboże nie źle płaci, Lipno słynie zabawami, na których po 150 bywa powozów. Spojrzawszy na stosy butelek z szampanem lub od

szampana, na kupy złota, któremi los wielowładnie rządzi, Lipno wystawia nam obraz Eldorado, nie bez tego, że wielu po tych szumnych zabawach będą mieli rachunek, do którego pośrednictwo komornika okaże się nieochronnem . . . W Lipnie jest i teatr, który się od września, pomimo srogich mrozów ciągle utrzymuje, co tem bardziej cię zadziwi, że reprezentacye odbywają się w stajni Rokickiego — bez pieca. Scenę, a w tęgie zimna i parter, ogrzewają spirytusem w naczyniach rozstawionym: — masz tedy niezaprzeczony dowód postępu umysłowego. Na wsiach, gdy przed dwór zajedziesz, wita cię najprzód lokaj w godła heraldyczne ubrany i uwiadamia, czy Jaśnie Pan jest w domu, — jestto tytuł uzurpowany przez tych, co się z pierwszego postanowienia wylegitymowali; godła zaś powtarzają się za wejściem do pokojów: na meblach, srebrach, bieliźnie a nawet pieluszkach, boć się bielizna niszczy, a zniszczona na podlejsze idzie użytki. Stąd tylko na przyszłość dla sposobiących się w nauce heraldyki ta trudna do rozwiązania powstać może zagadka, dlaczego kiedy ojciec zyskał białe dla herbu pole, syn używa *żółtego!* . . . Jeżdżąc jak kwestarz od domu do domu, zajechałem i do Skępego; na nieszczęście Sędzia, co ciągle prawie w domu siedzi, wtedy wyjechał do Wąchorza. Sprawę wielką z miastem, wygrał świeżo w rekursie, co jak się rozumie, znacznie poprawiło jego interesa; przystąpił do Towarzystwa Kredytowego: nie wiem tylko, czy mu przyznają pożyczkę, z po-

wodu że tylko w 49/50 się legitymował do dziedzictwa».

Od stryja Józefa wziął Gustaw w dzierżawę rozległy majątek, dawno, już za czasów Księstwa Warszaw. oczynszowany. W liście do Ignacego Orpiszewskiego z 31 maja 1843 r., krótko a dobitnie scharakteryzował swoje położenie: „O sobie to ci powiem, że jestem w ciągłym ruchu; w przeciągu kilku miesięcy przeszedłem z jednej ostateczności w drugą: z życia książkowego, spokojnego, literackiego, do życia pełnego czynności, kłopotów i ruchu. Objąłem znaczne dobra w dzierżawę: oprócz zatrudnień gospodarskich, spadł na mnie ciężar interesów procesowych, które mnie ciągle na bryce trzymają. Warszawa, Płock, Lipno i Skępe—miejscem mojego pobytu; stałe zaś zamieszkanie w Skępem, gdzie najmniej przebywam. O literaturze nie mam czasu i pomyśleć; ledwo dla gazety kilka się minut zostanie". W r. 1847 po śmierci stryja, odziedziczył cały ogromny po nim spadek. Na krótko przedtem w r. 1846, jakby zamykając epokę młodzieńczą, wydał w Warszawie zbiorek *„Poezyj"* swoich, w którym pomieścił same rzeczy dawniej już drukowane (str. 224).

Zaczął się tedy dla Gustawa Zielińskiego drugi okres jego życia, trwający dłużej, aniżeli pierwszy, pod względem wpływu społecznego na spół-obywateli niewątpliwie daleko ważniejszy i mogący dać możność kompetentnemu znawcy gospodarstwa, do skreślenia wizerunku człowieka, który trudem co-

dziennym, rozumem bystrym, okiem czujnem, a przytem i sercem szlachetnem, osiągnął wyniki ogromne w podniesieniu gospodarstwa rolnego, zaprowadzeniu gospodarstwa leśnego na tysiącu blizko włókach obszaru, w ustanowieniu wzorowej administracyi. Pracy drobnej, mrówczej, oddawał się skrzętnie i z zamiłowaniem. Oto maleńki obrazek zajęć w drugim roku gospodarstwa, jaki w liście ze Skępego nakreślił: „Dziś pracowałem jak wół w pługu, dzień cały, ułatwiłem kilka korespondencyj i wyekspedyowałem 61 czynszowników. U mnie biuro jak rządowe. Czterech pomocników ciągle gryżdze i rachuje, a ja zgarniam monetę i kwestye rozstrzygam; stoły pełne piór, papierów, ksiąg, atramentu, kałamarzów, piasku; podłoga jak śniegiem, osypana szczątkami kwitów. Nad tem wszystkiem wznosi się mgła tytoniu, którego (wybacz) pozwalam sobie więcej nad pięć porcyj, ale wiesz, że bez fajki żadnej ważniejszej czynności przedsięwziąć niepodobna“.

Nie mając ani odpowiednich materyałów pod ręką, ani też kompetencyi, do skreślenia szczegołów takiej pracy, trwającej całe lat szeregi, muszę poprzestać na krótkiej, a nawet suchej notatce o tej tak ważnej i tak wpływowej stronie życia Gustawa Zielińskiego, uwydatniając głównie te chwile, kiedy go powoływano do pełnienia posług obywatelskich.

W r. 1850 wybrany został na prezydującego zebrania członków Towarzystwa Kredytowego gubernii płockiej, a odbytego w dniach 2 i 3 czerwca

1852 r. W r. 1856 został radcą dyrekcyi głównej Towarzystwa Kredytowego na lat cztery; w tymże roku postanowieniem Rady Administracyjnej Królestwa z 19 września, mianowany został sędzią pokoju powiatu Lipnoskiego. W r. 1857 decyzyą namiestnika z 24 listopada, powołany został na członka rady przemysłowej oddziału rolniczego, przy komisyi rządowej spraw wewnętrznych. W r. 1858 zostawszy członkiem świeżo naówczas utworzonego Towarzystwa Rolniczego, które doniosłą odegrać miało rolę w naszych dziejach najnowszych, w r. 1860 powołany był przez prezesa tegoż Towarzystwa, Andrzeja Zamojskiego, na prezydującego w sekcyi administracyjnej, podczas obrad ogólnego zebrania Towarzystwa Rolniczego, i na tem ogólnem zebraniu wybrano go na członka komitetu tegoż Towarzystwa. W czasie reform Wielopolskiego, którym sprzyjał jako zwolennik pracy organicznej, wybrany był na członka rady powiatowej powiatu Lipnoskiego, a przez komisyę rządową spraw wewnętrznych, reskryptem z 16 października 1862 r. mianowany został przewodniczącym tejże rady w pierwszym roku jej zasiadania. W roku 1858 założył wraz z Kleniewskim i Jackowskim, pierwszą w kraju spółkę obywatelską: „Dom Zleceń rolników płockich", kierując się przy jej organizacyi radami znanego ekonomisty, Falkenhagen-Zaleskiego. Urok nazwiska, odpowiedzialność moralna i majątkowa, stanowiły wielkie poparcie dla tego przedsięwzięcia, które świetnie się mogło rozwinąć, ale

niestety, z powodu rozmaitych przyczyn nie rozwineło się. W. r. 1865 musiała nastąpić likwidacya; Zieliński, nie zważając na ofiary poprzednio poniesione, nie wahał się poświęcić kilkadziesiąt tysięcy rubli, byle tylko uczynić zadość zobowiązaniom.

W czasie powstania styczniowego r. 1863, jako jego przeciwnik, niechętnie był widziany przez przewódców ruchu. Jeden z nich powiedział: „Gustaw Zieliński jest szkodliwym dla naszych zamiarów, lecz za wysoko głowę nosi, byśmy sięgnąć po nią mogli; musimy więc zmusić go tylko do usunięcia się“. Jakoż Zieliński, widząc, że głosu chłodnej rozwagi nie usłuchają, wyjechał za granicę, ażeby uniknąć drobnych przykrości, których mu nie szczędzono.

Za granicą zaznajomił się dokładniej z prądami socyalizmu bezwyznaniowego i stał się jego wrogiem jako chrześcijanin, wyznający że „tylko dobrych środków dla osiągnięcia dobrych celów używać należy“. W tej myśli, skreślił r. 1865 wiersz, który później wydrukował *„w miejsce przedmowy“* do poematu *„Samobójca“*. Oto poeta kończąc swą drogę, ujrzał się nad przepaścią straszliwą. Dalej niepodobna było iść, ani też się cofnąć; więc usiadł na skale i wzrokiem miłości obejrzał się na drogę przebytą, na której nie tylko rosły ciernie, ale i kwiaty, a za nią „horyzont mglisty, gdzie w mgły przezroczu tak cudne obrazy, że jako dziecię do swej matki łona ku nim się rwała dusza utęskniona“. Z głębokiej zadumy obudził go „krzyk dziki rzu-

cany przez tłumy, co do przepaści rączym biegły skokiem, tłumy wpół nagie, całe w krwi i pianie gnane przez furye, smagane z wężów ukręconym biczem". Jedna z tych furyj zrobiła wyrzut poecie, iż zapuszcza oko „w świat miniony, odziany mgłą ciemną", a sama przedstawiła mu widoki przyszłości:

My śpieszym zdobyć dla siebie świat nowy,
Idź z nami! Widzisz chorągiew na przedzie
Krwawą i napis ognistemi słowy:
„Wszystko godziwe, bo do celu wiedzie".
Tam w głębi słyszysz świst machin i młoty;
To są cyklopów dzisiejszych roboty,
Olbrzymie łuki przez przepaście wiążą,
Nurt rzek zwracają, łono ziemi drążą.
Oni przez lądy i przez oceany
Ścielą nam drogi do prędszej wygranej
I zajdziem dalej, parci siłą pary,
Niż wy na skrzydłach fantazyi i wiary . . .
Ale kto z nami, musi się obnażyć,
Zrzucić strój zdarty, odwiecznej roboty,
Sumienia, wiary, i sławy, i cnoty;
Nam, co idziemy posiąść nowe światy,
Potrzebne szersze, wygodniejsze szaty,
Niż te, co głosił syn cieśli — któremi
Wolę i rozum skrępował na ziemi.
Życie za krótkie, i czekać za długo,
By świat zdobywać pracą i zasługą;
My chcemy, dziejów poczynając kartę,
Wydrzeć — co tylko może być wydarte,
Burzyć — to nasza idea przewodnia,
A środki — sztylet, trucizna, pochodnia,
Gdy wszystko stare wysieczem i zwalem
Wtenczas wzniesiemy nową Jeruzalem! . . .

Poeta z oburzeniem odepchnął namowy, przechowując wiarę dla dawnych ideałów i mówił:

. . . . W pokorze i wierze
Chrześcijanie palmę wynieśli ze zgonu
I z Bogiem w sercu szli dawni rycerze,
Zatknąć znak święty na murach Syonu.
A wy bez Boga, bez cnót, bez zapału,
Bez żadnej myśli dodatniej, przewodniej,
Wy karły, z piętnem podłości i zbrodni
Frymarkiem chcecie dojść do ideału?!
Do wielkich czynów — wielkich cnót potrzeba!
Pokory, aby dostać się do nieba!
Wam niegdyś bratnie Timura zastępy,
Znikły w pustyniach, pożarte przez sępy,
Bo zbrodnia krótko dzierży berło świata,
Bóg dobrej sprawie tylko da zwycięstwo.
Cóż wam zostanie? . . . Sława Herostrata! . . .
I wieczne . . . tak, wieczne przekleństwo!

Wiersz to najznamienniejszy ze wszystkich, jakie w tej drugiej dobie swego życia Zieliński utworzył; wyraża bowiem dobitnie stanowisko autora wobec nowych prądów społecznych, które pojął z najjaskrawszej tylko ich strony.

Inne poezye w tym czasie pisane, nie dotykają kwestyj bieżących, obracając się w kole pojęć moralnych ogólniejszego znaczenia. Najobszerniejszą z pomiędzy nich jest fantazya p. t. *„Pokusy“*. Autor za tło obrał ulubione sobie stepy, jeźdźca pędzącego na koniu, tak jak w „Kirgizie“. Jeździec tu, to jakby nowy Herkules na rozstajnych drogach, tylko, że przed nim stają nie dwie, ale cztery postaci, wabiąc ku sobie. Pierwsza od strony Wschodu

pędząca, polecała młodzieńcowi miłość, obiecując pokazać taką piękność, że „żadna hurys w Edenie Proroka, nie ma blasku tak czarnego oka, ani włosa z tak bujnymi sploty, ani ustek milszych do pieszczoty“. Druga postać, od strony Południa przychodząca, zachwalała bogactwo, za którem pójdzie uznanie i cześć społziomków. Trzecia postać od Północy przybyła, wystawiała zalety władzy, powiadając, że „rządzenia nie tak trudna sztuka, gdy się własnych korzyści nie szuka, gdy do siły łączy się przebiegłość, która wpoi bojaźń i uległość. Czwarta wreszcie postać mówiła krótko, ale o sprawie ogólnej, o obronie ojczyzny:

Gdy trzej wysłańcy z trzech stron jeźdźca stali,
I na odpowiedź w milczeniu czekali,
Nadbiegł i czwarty od zachodniej strony;
Znać pędził szybko, bo koń był spieniony,
A na ognistym przybywał rumaku:
Wronym bez zmiany. Sam, dorodny młodzian,
Od stóp do głowy w czarne szaty odzian,
Tylko miał orle pióro przy kołpaku.
Wraz za nim, łuna smugami krwawemi
Coraz się wyżej wznosiła od ziemi,
Szła do pół nieba, jak gdyby odbicie
Stepów płonących na nocy błękicie.
Przybyły ręką wskazał na pożary:
„Tam walka! spór to dawny, jak świat stary,
Dzikich najeźdźców, co za łupem gonią,
I tych — co swobód i swej ziemi bronią“
A nachylając się do *jeźdźca* ucha,
Szepnął mu słowo. . . Tym jednym wyrazem
Tak rozpłomienił młodzieńczego ducha,
Że bez wahania wyrzekł: „jedźmy razem!“
Jakoż dwaj jeźdźcy wespół się objęli,
Pomknęli czwałem i w ogniach zniknęli.

Jak z tego widzimy, szlachetna walka o wolność, miała w śpiewku „Kirgiza“, stałego i wiernego wyznawcę.

W formie dramatycznej napisał w tej drugiej dobie i wydrukował (r. 1856 Warszawa) urywek p. t. *„Czarnoksiężnik Twardowski“*. Składa się on z dwu ustępów, kończących dramat i odtwarza znane szczegóły podania gminnego. Znużony już życiem Twardowski, zapragnął rozrywki; przywołuje więc Szatana, by się o nią wystarał. Ten w zwierciadle czarnoksięskiem, ukazuje mu przecudną postać Hanny, oddanej przez brata do klasztoru. Następnie widzimy Hannę porwaną z klasztoru i zakochaną w tym, co ją porwał, ale nie wiedzącą, że to Twardowski. Gdy w karczmie, do której Szatan podstępnie Twardowskiego sprowadził, ludzie poznają głośnego czarodzieja, Hanna odstępuje od niego, ponieważ jej uczucie religijne jest niewzruszone. A że karczma nazywa się „Rzym“, następują sceny: zasłaniania się dzieckiem, a wreszcie oddania się mocy dyabelskiej, gdy się na jego słowo szlacheckie powołano. Śpiew godzinek, ułożonych przez Twardowskiego w młodości, śpiewanych przez dawną opuszczoną kochankę, w chwili porwania czarodzieja sprawia, że ciało jego zawisło w powietrzu. Chór aniołów śpiewa:

Dusza grzesznika zawisła w przestworze
U granic ziemskich i niebieskich dróg;
Długa pokuta zbawić ją może;
W dzień sądny przebaczy jej Bóg.

Wielkich zalet pod względem pogłębienia psychologicznego, ani też żywości akcyi dramatycznej urywek ten nie posiada. [1])

Inne zamierzone przez poetę większe całostki, jako to: rapsod o *„Bitwie pod Grunwaldem"*, gawęda na wzór Syrokomli p. t. *„Kum Antoni"*, pozostały fragmentami. Z wrażeń doznanych w Szwajcaryi, utworzył Zieliński poemacik opisowy: *„Schynpass i Via mala"*. Z wierszy lirycznych zasługują na uwagę: *„Do Wincentego Pola"*, *„Do Teofila Lenartowicza"* i *„Wisienki"*. W pierwszym (napisanym 22 czerwca 1858 roku), Zieliński przedstawiwszy ładnie znaczenie pieśniarza, który całą „Ziemię naszą" za przedmiot śpiewu obrał i złożył perły w skarbcu twórczości, mówi skromnie o samym sobie:

I jam się puścił, ale w kraj nieznany,
Między lud dziki, między huragany,
Gdzie, jak świat stary, bój zacięty wiodą,
Człowiek — pył marny, z olbrzymią przyrodą.
Tam, mimowoli zgiąć musisz kolana,
A głos, co ci się wyrywa z płuc cieśni,
To już modlitwa do zastępów pana.
Jam grosz ten wdowi złożył w skarbcu pieśni.

W końcu wypowiada, jakie pobudki kierowały twórczością, i jego i Pola:

---

[1]) Jest rzeczą niewątpliwą, gdyż w papierach po Gustawie pozostały ślady, że pierwotną myślą jego, było napisanie libretta do opery *„Mistrz Twardowski"*, do której muzykę miał utworzyć Moniuszko. *(Przyp. Wyd.)*

Czyż nam o marne chodziło oklaski?
Względy krytyki lub chwilowe blaski,
Którymi wieńczy ulubieńców — moda?
Nie! — dla śpiewaka to żadna nagroda.
Niech jedna ręka serdeczniej cię ściśnie,
Niech jedno serce silniej ci uderzy,
I łza zapału w tęsknem oku błyśnie,
I młoda dusza, co w lepszy świat wierzy,
Niech tylko jedną chwilę słodko prześni, —
To jest najwyższa nagroda dla pieśni!

W wierszu *„Do Teofila Lenartowicza“*, pisanym za granicą podczas podróży po Włoszech, powitał Zieliński serdecznem słowem poetę ludu, tęskniącego za ojczyzną i tem chyba tylko słodzącego swą troskę, iż „w bronz lub marmur myśl polską wcielał, albo dobywał czarowne dźwięki, ze złotostrunnej swojej lirenki“; przepowiadał: że lud rozmiłuje się kiedyś w pieśni Lenartowicza i na ściężaj dla niej chaty otworzy i ze czcią ją przyjmie“.

„Wisienki“ wreszcie, pisane w później starości (w czerwcu 1879), tchną świeżością młodzieńczą, odznaczają się lekkością i swobodą rytmu, jak rzadko który z lirycznych utworów Zielińskiego. [1])

---

[1]) Oprócz wymienionych powyżej utworów poetyckich, pozostawił Zieliński w rękopismie komedyjkę prozą w 5-ciu odsłonach, p. t. *„Panna włościanka“*, i obszerną powieść historyczną z czasów wojny Napoleońskiej w Hiszpanii, p. t. *„Manuela“*. Jestto zajmujące, choć może nieco rozwlekłe opowiadanie weterana polskiego, uczestnika tej kampanii, o różnych swoich przygodach w tym kraju, podczas wojny 1808 r. Powieść ta wkrótce drukowaną będzie. — Zieliński brał też nieraz udział jako współpracownik w różnych war-

I pracą naukową zajmował się nasz pilny i rozumny gospodarz. Bibliotekę w Skępem wzbogacał nie tylko nowościami swojskiej i obcej literatury, ale także rzadkościami bibliograficznemi z XVI-go wieku i pod tym względem wśród nielicznych zbiorów tego rodzaju u nas, poczęstne zajmuje miejsce biblioteka Zielińskiego. [2]) Dopomagał mu w tem powinowaty *Ignacy Wilczewski,* znany bibliofil w Warszawie, ktory szperając po żydowskich antykwarniach na placu Krasińskich i Nalewkach, nie jednego *„białego kruka"* w nich odnalazł. Wszystkie swoje fundusze poświęcał Wilcz. na książki, odmawiając sobie nietylko najniezbędniejszych potrzeb do życia, ale nawet czasem i dziennej strawy; ostatni grosz oddawał, byle tylko upatrzoną rzadkość bibliograficzną, zadobyć. Odgrzebany skarb, w postaci starej księgi lub pergaminu, unosił do mieszkania swego na Miodowej, składającego się z dwóch izdebek, od podłogi do sufitu zapełnionych różnorodnemi księgami, pokrytemi grubą warstwą kurzu. Po śmierci Wilszewskiego († 1867 roku), większą część biblioteki po nim pozostałej,

---

szawskich wydawnictwach. Pomijając „Bibliotekę Warszawską", w której dużo prac swoich drukował, w „Encyklypedyi Powszechnej", S. Orgelbrandta (1859-1868.) pomieścił sporo opisów Syberyi; w t. V-ym „Encyklopedyi Rolnictwa" (1879 r.), obszerny artykuł o *prawie rolniczem w dawnej Polsce;* w „Wiadomościach Acheologicznych" zaś, (t. II-gi. Warszawa 1874) artykuł p. t. *„Starożytności Dobrzyńskie". (Przyp. Wyd.)*

[2]) Obecnie własność syna, Józefa.

Zieliński od rodziny zakupił i do swej biblioteki wcielił.

Wszelkie wydawnictwa, mające na celu rozwój wiedzy, rozpowszechnienie zabytków piśmiennych przeszłości, obronę żywiołu polskiego na kresach (*„Biblioteka Warszawska“*, pomnikowe wyd. *„Dzieł Kochanowskiego“*, *„Gazeta Lecka“* itp.), chętnego znajdowały w Zielińskim mecenasa, tak samo jak wszelkie ogólne cele narodowe (pomnik Mickiewicza w Krakowie), lub wspieranie pobratymców (Serbów Łużyckich). Prenumerował przytem prawie wszystkie pisma polskie. Sam dokonał bardzo cennej pracy badawczej, prostującej mylne zapatrywania dawniejsze. Mieszkając w okolicy, mającej ciekawą przeszłość za sobą, po przeczytaniu pracy J.N. Romanowskiego: *„Poszukiwania nad zakonem Dobrzyńców i nad stosunkiem pierwotnym krzyżaków do Konrada Mazowieckiego“* (w „Bibliotece Warszawskiej r. 1856 i 1857), postanowił usunąć znajdujące się w niej błędy, a to na podstawie dokładniejszej naocznej znajomości tej części kraju, w której Zakon Dobrzyńców osiedlony został. Tym sposobem powstała rozprawa (niedokończona co prawda) p. t. *„O ziemi dobrzyńskiej, badanie historyczne, z mapą“*, (w „Bibliotece Warszawskiej“ 1861, t. III). Wypowiedziana tu zasada o potrzebie dokładnej znajomości topografii dla historyka, nie była wprawdzie nowa, ale po raz pierwszy u nas z taką siłą przekonywającą sformułowana. „W badaniach naszych — powiada autor — teśmy powzięli

przekonanie, że najgruntowniejsze dzieła, najdokładniejsze karty geograficzne, nie zastąpią dokładnej znajomości miejsca z wszystkiemi tegoż właściwościami i nomenklaturami. Zwracamy na ten przedmiot uwagę naszych badaczów historyi, że do oczyszczenia z błędów naszych zródeł dziejowych oprócz pergaminów, potrzeba jeszcze zbadać miejsca na których się działy opisywane wypadki. Do ziemi naszej przylgnęło wiele nazwisk, które się dotąd w nomenklaturach zachowują; każde pole, las, łąka, bagno, jezioro, strumień, zdawien dawna miały swoje nazwiska, których znaczna część drogą tradycyi między naszym ludem się zatrzymała, a z tych niejedno ma ważność historyczną. Jeżeli dla dziejów wewnętrznych ważnymi są zbiory pieśni i przysłów narodowych, tedy zbiór nomenklatur nie mniejszą mógłby oddać przysługę, dla języka i faktów historycznych, a mianowicie, z epoki przedpiśmiennej". Na takiej znajomości Ziemi Dobrzyńskiej opierając się, Zieliński oznaczył dokładnie zarówno jej granice, jak i granice nadania, zrobionego przez Konrada Mazowieckiego Zakonowi Dobrzyńców, dowodząc wbrew Romanowskiemu, że wspomniany w nadaniu Dobrzyń jest istotnie Dobrzyniem nad Wisłą, a nie żadnym innym i że rozległość terytorium, objętego nadaniem, wcale nie była tak wielka, jak ów młody badacz sobie wyobrażał.

Drugą, znacznie obszerniejszą pracą historyczną, wykończoną pod koniec życia, przy pomocy krewnego, Jana Z. ze Smoszewa jest „*Wiadomość histo-*

ryczna o rodzie Świnków, oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka", (2 części w 3 tomach, Toruń, 1881). Nie jestto bynajmniej rzecz schlebiająca dumie i próżności rodowej, lecz zbiór wiadomości, oparty na źródłach autentycznych z całą ścisłością dziejopisarską przetrząśniętych i wyzyskanych. Obok kronik i wogóle dokumentów dostępnych w druku, autor robił poszukiwania archiwalne, zarówno w parafiach, w których rodzina Zielińskich niegdyś zamieszkiwała, jak i w metryce koronnej, kiedy chodziło o dokładne oznaczenie godności, piastowanych przez członków rodziny tak bujnie rozgałęzionej. Od najdawniejszych wzmianek o rodzie Świnków, aż do chwili wydania książki, mieszczą się tu wszystkie informacye, jakie skrzętna gorliwość zebrać potrafiła. Pierwszy tom zawiera historyą rodu do r. 1600, drugi do najnowszych czasów, a trzeci obejmuje dokumenta. Rzecz całą przeznaczono tylko dla rodziny i uczonych, nie puszczając dzieła w handel księgarski. Oto, co w tej mierze pisał Gustaw Zieliński do Erazma Wróblewskiego pod datą 14-go lutego 1881 r.: „Co się tyczy Rodowodu, ponieważ odbitych zostało 100 egzemplarzy, więc z góry było przyjęte, że ta publikacya nie jest przeznaczona do handlu księgarskiego. Ale ponieważ obok tekstu, głównie mogącego obchodzić rodzinę, zamieszczona została znaczna liczba dokumentów, historyczne i naukowe mających znaczenie, więc uważałem właściwem, żeby tę pracę udzielić do ważniejszych bibliotek

krajowych i celniejszym naszym uczonym, poświęcającym się głównie badaniom historycznym. Kiedy Gebethner i Wolff zrobili mi zapytanie, jak sobie mają postąpić z tym fantem, napisałem im to samo co tu wyżej zamieściłem, nadmieniając, że aby tę publikacyą wystawić na sprzedaż, toby trzeba wysoką cenę nałożyć, a korzyść jakąby nabywca osiągnął, byłaby zbyt mała w stosunku do poniesionego kosztu; ograniczona zaś liczba egzemplarzy najlepszą jest wskazówką, jąki sobie cel zamierzyli wydawcy. . . A co się tyczy dzisiejszego usposobienia umysłów i krytyki, to przyznam ci się, że wszyscy ludzie są równi w obliczu Boga i prawa, i że osobista tylko zasługa stanowi istotną wartość człowieka; jednakże z przeszłością nie zrywam, i uważam ten ród wyższym, którego przodkowie, krwi i mienia nie szczędzili dla kraju, nad ten, którego przodkowie lichwą lub faktorstwem dobijali się społecznego stanowiska, — chociaż to na potomków pierwszych, daleko cięższe wkłada obowiązki".

W ciągu druku ostatniego tomu *„Wiadomości o rodzie Świnków"*, nastąpiła śmierć Gustawa Zielińskiego w Skępem, dnia 23 listopada 1881 roku; Współpracownik Jan, z synem Józefem pomieścili tu krótką charakterystykę Gustawa. Daje mi to sposobność do pomówienia o rodzinnych stosunkach poety-gospodarza.

Gustaw Zieliński żonaty był dwukrotnie. W r. 1844 zaślubił Urszulę Romocką, córkę Stanisława Romockiego, kapitana b. wojsk polskich; z tego

małżeństwa pozostał i dotąd żyje jeden syn: Józef, gdyż inne dzieci w niemowlęctwie pomarły. Powtórnie ożenił się w r. 1854 z Anielą Romocką, córką Hieronima, właściciela dóbr Obrowo w powiecie Lipnoskim, a wdową po Stanisławie Popławskim; z tego małżeństwa żyją synowie: Karol, Władysław, Konstanty, Ludwik, Jan, oraz córki: Zofia, (zamężna Nałęczowa † 1886 r.) i Kazimiera za Puzyną.

W przedstawieniu rysów charakteru, jako nieznający osobiście poety, winienem się wyręczyć uwagami, a po części słowami tych, co mieli sposobność częstego z nim obcowania i zgłębienia jego duszy. Mam tu na myśli krewnego, Jana („Wiadomości o rodzie Świnków“), oraz Zofią S. która skreśliła życiorys Gustawa w „Kłosach“ (r. 1881, N. 859).

«Tłem wewnętrznego usposobienia Gustawa Zielińskiego była skromność, granicząca prawie z nieśmiałością, chociaż w razie potrzeby potrafił być stanowczym. Skromność ta, połączona z życzliwością dla bliźnich, wyrażała się łagodnością w obcowaniu z ludźmi. W życiu codziennem małomówny, umiał zabierać głos, jeżeli przedmiot żywiej go obchodził, zwłaszcza kiedy rzecz dotyczyła spraw narodowych lub wspomnień z dawnych czasów. Chętnie słuchał, gdy inni mówili, nie przerywając wywodów chociaż zauważył w nich błędy, dopiero później rozwijając ten sam przedmiot, umiał wytknąć usterki, bez obrażania miłości własnej kry-

tykowanego. Takiem obcowaniem z ludźmi, kierowanem nieskazitelną uczciwością, Gustaw zjednywał sobie każdego i w życiu sąsiedzkiem nie miał nie tylko wrogów, lecz nawet i niechętnych sobie. Na tę okoliczność tem większy nacisk położyć się godzi, że Zieliński wyrastał po nad poziom ogólny, i majątkiem i nauką, a więc wyższem stanowiskiem społecznem, co zwykle nie wywołuje pobłażliwości wśród sąsiadów.

Pod układem napozór zimnym Zieliński krył serce gorące, umysł żywy i bogaty, zapał niemal młodzieńczy do wszystkiego, co piękne, dobre i zacne. Cichy, skromny, małomówny, nigdy nie gonił za popularnością, nigdy nie uczynił ani jednego kroku dla zyskania poklasku tłumów. Gardził zbytkiem i próżną wystawą, kryjącą częstokroć ubóstwo moralne i umysłowe; choć był panem wielkiego majątku, żył skromnie jak ziemianin, nie lubiąc imponować nikomu. W życiu domowem łagodny, wyrozumiały — może czasami zbyt słaby dla tych, których kochał, — był dobrym i rozumnym mężem, ojcem i panem. Rozkosz była go słuchać, kiedy ożywiwszy się, zaczął gawędzić w nielicznem a dobranem kółku przyjaciół. Poprawiając ulubiony ogień na kominku, sięgał do skarbnicy wspomnień i opowiadał o swoich podróżach po Europie, o Syberyi, kędy młodzieńcze przepędził lata, o stepie, po którym tak lubił bujać, o wiernych przyjaciołach i towarzyszach niedoli. Poetyczne obrazy, pełne grozy opisy, urozmaicał humorystycz-

nymi epizodami, wywołując kolejno, to łzy, to uśmiech na twarzy słuchaczów. Ileż uroku miała wtedy jego rozmowa, jakim wdziękiem i prawdą tchnęło opowiadanie!

Jako dobry chrześcijanin, zachowywał przepisy wyznania, w którem się urodził, bo, jak utrzymywał, „treść słabnie w człowieku, jeżeli zewnętrzne jej oznaki zaniedbanemi zostaną“. Czynił bardzo wiele dobrego, ale najczęściej potajemnie, nie szukając rozgłosu, ni chluby. Dawnych towarzyszów na Syberyi przygarnął do siebie, dając im zajęcie w swych dybrach, (Ignacy Orpiszewski, Babski i inni), lubo niezawsze dobrze na tem wychodził. Wspaniały i bezinteresowny, nigdy się chciwością nie splamił, nigdy przed złotym cielcem czoła nie uchylił. Ceniąc ludzi tylko podług rzeczywistej ich wartości, umiał oddać hołd cnocie i zasłudze. Dobroczynny, nie szczędził grosza, gdzie tylko widział potrzebę przyjścia z pomocą niedoli ludzkiej. Nie było prawie żadnej dobroczynnej składki, którejby hojnym nie zasilił datkiem. Wspierał wiele rodzin i osób, o czem z najbliższych nawet mało kto wiedział. Wyrozumiały dla dzierżawców, pełny dobroci i względności dla włościan i oficyalistów, iluż on ludziom pomógł, ilu byt zapewnił!

Poważną a zarazem sympatyczną była postać Gustawa w starości. Na wyniosłem czole, na którem myśl i cierpienie wyorało brózdy głębokie, osiadła smętna powaga; bujne włosy, latami posrebrzone, nadawały dziwnie łagodny wyraz tej

szlachetnej twarzy o rysach regularnych, jakby z marmuru wykutych; postać cała, pełna godności, budziła mimowolny szacunek i cześć nawet.

W r. 1895 w końcu stycznia, w kościele parafialnym po bernardyńskim w Skępem, po solennem nabożeństwie, odbyło się odsłonięcie i poświęcenie tablicy pamiątkowej dla zmarłego. U góry tablicy z białego marmuru, mieści się medalion z profilem poety w płaskorzeźbie. U spodu na rozwiniętej karcie umieszczono dwuwiersz Zielińskiego: „Nie zginie praca dla dobra ludzkości, kiedy pochodzi z najczystszej miłości“. Na tablicy zaś napis brzmi: „Ś. P. Gustawowi Zielińskiemu, zasłużonemu obywatelowi i poecie, urodzonemu w Markowicach d. 1 stycznia r. 1809, zmarłemu w Skępem d. 23 listopada r. 1881“. U dołu wreszcie: „Cześć jego pamięci“. Tablica została wykonana w pracowni artysty-rzeźbiarza A. Pruszyńskiego w Warszawie. [1])

Kończąc ten zarys, najlepiej zrobię, gdy o człowieku i obywatelu ostatnie słowa na tablicy wyryte, powtórze z głębi przekonania, dodając o poecie, iż nie należał wprawdzie do pierwszorzędnych lub wpływowych, lecz poruszywszy w tworach swoich takie strony, jakich inni nasi poeci nie dotykali, dawszy poznać krajobrazy i charaktery z krajów dalekich, i zrobiwszy to w sposób

---

[1]) Kuryer Codzienny 1895, numer z 2 lutego. Artykuł Wiktora Gomulickiego.

zajmujący, a czasami prawdziwie świetny, ma prawo do zaszczytnego wspomnienia w dziejach poezyi naszej.

Dr. Piotr Chmielowski.

DROBNE WIERSZE,

W MŁODOŚCI PISANE.

DO BOGA.

Wysłuchaj prośb . . . . Ty pomoc dasz,
Pył podźwigniesz uciśniony,
W swej dobroci nieskończony,
Boże wielki, Boże ojców, Ojcze nasz!

Jedno westchnienie — serc czystych głos święty;
Łza jedna — którą szczery żal uroni;
Jedno pokorne pochylenie skroni,
Milsze niż ofiary masz.
Ta łza pokorna, to jedno westchnienie,
Prędzej się w niebios przebije sklepienie,
Niż złego dary, te świata ponęty;
Z serc ofiar chcesz, bo serca znasz,
Sam, śmiertelnym niepojęty,
Przedwieczny, święty,
Boże wielki, Boże ojców, Ojcze nasz!

W niedoli, wsparcia gdzież szukać trzeba,
Jeśli nie w niebie i łaskach Twych Panie;
Z padołu płaczu usłysz me wołanie,
I uzbrój duszę Twej wiary promieniem,
I otocz serca miłością nieba,
I w myśli moje wszczep nadziei kwiat;
Wszak i ja również ręki Twej stworzeniem,
Jak nim jest wielki, niepojęty świat.
Ty, duszę, serce, myśli moje znasz,
 Nieskończony, niepoczęty,
 Cudowny, święty,
Boże wielki, Boże ojców, Ojcze nasz!

1832 r.

DO PRZYJACIOŁ.

Przygód młodości mojej, — towarzysze!
Słuchajcie piosnek, dla was piosnki piszę.
Wy zrozumiecie, bo wasze uczucie
Winno być echem, tęsknej mojej nucie.
Wspólnie — przyjaźni wznosilim świątynię;
Grom w nią uderzył — gdy budowę zwalił,
Ozdobne ściany zagrzebał w ruinie,
Ale podstawę z granitu — ocalił.
Granit — przyjaźni naszej odtąd godłem,
Przyjaźń — rozkoszy nieprzebranem źródłem,
Chociaż daleka — zakwita nadzieją;
Jej zwierzyliśmy młode nasze chęci,
Nasze wspomnienia, błogi dar pamięci,
I serca, co się zdala rozumieją.
Bo na tej długiej i szerokiej ziemi,
Dziś rozpierzchnieni w różne okolice,
Rozwińmy myśli, wytężmy źrenice,
Szukajmy punktu w niebie i na ziemi,
Gdziebyśmy dawne złączyć mogli tchnienia,
I myśleć mogli, myślami dawnemi;

Gdziebyśmy wieku młode uniesienia,
I wyobraźni ognistej marzenia,
O świecie wielkim, o uczuciu tkliwem,
Świętej przyjaźni mogli spiąć ogniwem.
Niech dusza, duszę — myśl za myślą goni,
Gdy dłoń nie może ścisnąć bratniej dłoni.

Błogie, dziecinne, szybko zbiegły chwile,
Kiedy wesoły, pod piastunki okiem
Biegłem za fraszką, albo rączym skokiem,
W zawody z wiatrem, ścigałem motyle.
Płochy, jak motyl — z uśmiechem dziecięcia
Świat cały w drobne tuliłem obięcia,
A świat się do mnie uśmiechał radośnie;
Bom namiętności nie znał, ni uniesień,
Które tak lube w młodzieńczych lat wiośnie,
Często nam życia zatruwają jesień.
Luby wiek minął, jak senne marzenie,
Tylko mi słodkie zostawił wspomnienie.

Jako młodzieniec, — wyobraźni loty,
Z błoń ziemi, w przestrzeń skierowałem nieba,
Marzyłem wdzięki niebiańskiej istoty,
A serce puste, szukało zajęcia.
Błysnęły oczki lubego dziewczęcia
Blaskiem aniołów zstępujących z nieba;
W sercu osiadły — rozkosz i zgryzoty.
Chwilka słodyczy, — cierpień długie lata,
Gdzie serce biło, — pustka, odrętwienie;
Gdzie róże kwitły, — cierń gałązki splata;
Oto miłości przekwitłej, — wspomnienie,

Hymn wojny zabrzmiał, rozniecił bój krwawy;
Żądza wielkości, niebezpieczeństw, sławy,
Zawrzała w piersi, umysł wzniosła młody.
Wojna! dwa bratnie krzyknęły narody;
Wojna! i mściwem starły się ramieniem.
Lecz wśród wysileń i odwagi cudów
Bój się zakończył . . .
A sława, wielkość, zostały — złudzeniem.
Tak w lat niedługich przemiennej kolei,
Tyle już zwodnych widziałem nadziei;
Młodość i miłość, i sława przebrzmiała,
Tylko się przyjaźń wierną dochowała.

O! pielęgnujmy, niech ta iskra święta,
W łonie młodości poczęta,
Której, świat duszy — siedliskiem,
Będzie i myśli naszych, i uczuć ogniskiem.
Niech z ogrodów natury niebiańska roślina
W tajniki serca wszczepiona,
Błyśnie listkiem nadziei, kwiat szczęściu rozwinie,
Owoc w nieskończoności wykruszy dziedzinie,
Którego ani morze cierpień nie pokona,
Ani w rozkoszy spędzona godzina.
A gdy kres przyjdzie, w którym wszystko miłe
Zabierzem w zimną mogiłę,
Niech pozostały przyjaciel, poświęci
Jedno westchnienie, zgasłego pamięci;
Niech na grób, płatną usypany ręką,
Przyjdzie, — z kwiatkami, z piosenką,

Niezapominków wianek przyrzuci,
I o przyjaźni piosnkę zanuci.

1832 r.

DO AUGUSTA O.

(przesyłając mu zbiór moich wierszy).

Miłość — szczęściem tego świata,
Mary — niebios są natchnieniem;
Goń, gdy służą młode lata,
Za miłością, za marzeniem.

Marzyć — lecić w złudzeń kraje,
Kochać — niecić płomień chęci;
To nam tylko pozostaje
Na tej niwie niepamięci

Ja kochałem ziemi bóstwa,
I marzyłem lepsze światy,
I do wianka z roślin mnóstwa,
Gór i dolin brałem kwiaty.

Lecz w tym wianku, jak w naturze,
Gdy na dzikie spojrzysz niwy,
Możesz znaleść wonną różę,
Pośród ostów i pokrzywy.

Żądz i uczuć mych koleje
Ocalone śród rozbicia,
Czytaj! . . . to są moje dzieje,
To pamiątki mego życia.

Lecz gdy zmęczy cię czytanie,
Nie trać czasu, nie łam głowy;
Spal, i patrz, czy Fenix nowy
Z tych popiołów niepowstanie.

1832 r.

WSPOMNIENIE.

Z dziedziny kwiatów, które srebrzy rosa,
Z błoni rozkosznych, w otwarte niebiosa
Już wzlecić miałem — anielskich mamideł
Kosztować nektar — a przecież nieśmiałem
Opuścić ziemi, by młodym zapałem
Kierować w niebo loty moich skrzydeł.

O! kto zna serce, i serce bez winy,
I łzy i uśmiech anielskiej dziewczyny,
I uczuć czystych chce przestąpić szranki;
Przysięga miłość, którą usty kłamie,
Przyrzeka wiarę, którą zaraz łamie
U stóp, zwiedzionej urokiem kochanki,

Kto świętość uczuć stawia na igrzysko, —
Temu jest martwe to ziemi kolisko;
Temu są obce natchnienia zapału,
I obcą piękność; — piękność go niewruszy,
Bo jej niewidzi w obrazach swej duszy,
Stworzonej tchnieniem z pianki ideału.

Do bram wieczności, od chwili powicia,
Wspomnienie, kwiatem ubiegłych scen życia
Kiedy w nas budzi nadziemskie marzenie.
Ja — po krainie rozkoszy błądziłem,
Ujrzałem niebo, lecz w niebie nie byłem,
Bo mnie do ziemi przybiło — wspomnienie.

1832 r.

POŻEGNANIE.

Po cóż, o luba! na ciebie spojrzałem?
Po cóż mi słońce świeciło łaskawsze?
Blizki, przy tobie, żegnać cię nie śmiałem,
Daleki . . . żegnam na zawsze.

Gwiazdy rozkoszy niedługo nam świecą,
A chociaż zgaszą, w pamięci nie giną;
I me westchnienia nieprędko przelecą,
Nieprędko łzy me przepłyną.

Łódka mych uczuć o skały rozbita,
Wicher, jej szszątki po morzach rozwieje,
I kwiat nadziei co tobie rozkwita,
Na mojem sercu więdnieje.

Samotny, w obszar puszczam się daleki,
Marzę bez końca, myśli w myślach giną,
Tęsknię — a chwile dłuższe niźli wieki
Leniwo w tęsknocie płyną.

Lecz gdy się twoim pocieszam obrazem,
A myśl i dusza wzniosą się do ciebie,
W tem zachwyceniu, zda mi się że razem
Po błękitnem lecim niebie.

Czasem i ziemia ma dla mnie powaby,
Śród ciszy, ucho każdy dźwięk rozmierza,
Wtedy zda mi się, słyszę odgłos słaby
Jak twoje serce uderza.

Gdy słońce w morzu ciemności zatonie,
Moje powieki sklei sen przelotny,
Marzę, jakobym spoczął przy twem łonie,
Budzę się — jakżem samotny!

Gdy twe uczucia, twoja postać całą,
Ścigam na złotych falach zachwycenia,
Daj mi nagrodę, a nagrodę małą,
Jedną chwileczkę wspomnienia.

Wspomnij, i uroń łezkę na mym grobie,
Czas rączy, w szybkim porywa nas pędzie,
Może ta piosnka, którą nucę tobie,
Ostatnią z pieśni mych będzie.

O! nie raz pierwszy w mojem życiu całem,
Zachodzi słońce, krótko mi łaskawsze,
Przyjm pożegnanie, choć wyrzec nie śmiałem
Bądź zdrowa — może na zawsze.

1832 r.

DO MŁODEGO POETY.

Pośród ludzi, od nich zdala,
Za czem tęsknisz, wdychasz skrycie?
Wszak wydarłeś zmysłom życie,
Wszak świat duszy cię zapala.
Zmysły zwodzą, pogardź niemi,
Własną gwiazdą myślom świeć,
Co ziemskiego, zostaw ziemi,
Nieba szukasz — w niebo wzleć.

Wytężyłeś swe ramiona
Gdzie myśl, przepaść wieków chłonie,
Bo iskierka z bóstwa łona,
W twojej duszy ogniem płonie
I aniołów blaskiem świeci;
Cichych marzeń zrywa kwiat,
I orlemi skrzydły leci
W nieskończony natchnień świat.

O! jak słodko, o jak miło,
Póki strumień życia płynie,
Własną myślą, własną siłą
Wznieść się, bujać w tej dziedzinie,
Gdzie początku, ani końca,
Gdzie rozkwitła wabi błoń,
Gdzie wschodzący promień słońca
Opromieni wieszcza skroń.

Śród zapału, śród marzenia,
Gdy harmonija niebios nęci,
Nim odlecisz, zanuć pienia,
Uszczknij wonny kwiat pamięci.
A bogaty skarby temi,
Z iskry czucia, płomień wznieć,
Mgły i ciemność — zostaw ziemi.
Z ogniem słońca, w niebo wzleć.

1832 r.

TULIPAN I FIOŁEK.

SYN.

Powiedz mi ojcze kochany,
Najpiękniejsze tulipany,
Farbami strojne różnemi,
Dla czego nie są wonnemi?
A fiołek, niepostrzeżony,
W trawce skryty, nieurodny,
Rozlewa w dalekie strony
Zdrój zapachu niebian godny.

OJCIEC.

To, co widzisz w drobnym kwiecie,
W jednym — powab, w drugim — cnoty,
Spojrzyj na świat — w wielkim świecie,
W ludziach, ujrzysz te przymioty.
Pycha, próżność, blask zwodniczy —
Tulipan, w społecznem życiu;
Fiołek, skromność, cnoty liczy —
Fiołek znajdziesz, lecz w ukryciu.

SYN.

Ojcze! ja uwijam wianek,
I mnie nęci tulipanek,
On wieńca będzie ozdobą;
Ojcze! ja wezmę go z sobą,
I powrzucam w kielich kwiatu,
Fiołki, które zapach wsławił,
I z uśmiechem wskażę światu,
Żem natury błąd poprawił.

OJCIEC.

Blask nietrwały, pożyczany;
Co człek stworzy — prędko minie,
Co Bóg stworzy — to nie zginie,
Wieków przetrwa oceany;
Bo naturę, któż poprawi? . . .
Któż, przemierzy jej granice?
Któż, jej zbada tajemnice?
Jeśli sam Bóg nie objawi.

1832 r.

ODPOWIEDŹ E. K.

czyli dodatkowy obraz Latarni magicznej.

Chciałeś odgadnąć miłość w twych uczuć iskierce,
Nie doszłeś czystej prawdy, boś nie spojrzał w serce,
Twe pióro, słabej strony poruszyć nieśmiało,
Jednym, dałeś za wiele, innym nazbyt mało;
Nie wspomniałeś o sobie — pozwól więc wykoń-
[czyć,
I do twoich obrazów, ten jeszcze przyłączyć.
Znasz miłość, — czemuż z iskry, którą serce sieje,
Chcesz dostrzegać pożary wzniecone na skale,
Która silnie odtrąca, i burze i fale,
I z szturmów niepogody litośnie się śmieje.
Iskra, padła na ciało palne z przyrodzenia,
Wznieciła cichy płomień, — twa istność nim płonie;
Iskra woli się żarzyć na gorącem łonie,
Niżeli się wytrawiać na sercu z kamienia.
Był świadek, co igraszki wzbudzał i podzielał,
Lecz czasem w tajnik serca, okiem duszy strzelał,
I wydobył nieznacznie z uczuć twych zacieni,
Kilka nie dość strzeżonych miłośnych płomieni.

Widział, jak ciebie nieraz trawił ogień skryty,
Gdyś się zbliżał do serca drogiej ci kobiety;
Gdy wonną tobie różę, na nie długą chwilę,
Okoliły, na kwiatach znużone motyle,
Chcąc pierwiastek słodyczy, ciągnąć z jej kielicha;
Jakim okiem tryumfu poglądałeś zdala,
Przekonany, że ogień co różę zapala,
Do ciebie się jedynie z jej listków się uśmiecha.
A zresztą, te pół słodkie, pół smętne spojrzenia,
Te jakby nie umyślnie dobyte westnienia,
Ten powab, który tylko miłość rozlać, zdoła,
Urok — jakim zachwyca obecność anioła,
Rozkosz — która do serca kroplami się sączy,
Harmonia — co twe czucia z jej uczuciem łączy, —
To wszystko wierzyć każe, i nie nadaremnie,
Że kochasz, i że jesteś kochanym wzajemnie.

1832 r.

W IMIONNIKU L.

O piękna różo dolin! twych listków korona,
Woń Edenu rozprasza, ogniem niebios płonie,
Uśmiechasz się do świata, a światem nęcona
Wiankiem złotych motyli, upiększasz swe skronie.
Motylek krótko bawi — gdy zefir powieje,
Lekki jak zefir, w inne odlatuje sady,
Cóż, jeżeli ze sobą uniesie nadzieję? . . .
Szczęście, nie jest odbłyskiem jednej płochej chwili;
Krótka rozkosz, a smutne niestałości ślady,
Czemże są? . . . godłem motyli.

1832 r.

DOBRANOC.

Dobranoc wam!
Niechaj sen wonny, sen złoty,
Jak anioł stróż, otoczy waszą skroń;
Niech wieńce róż, rozleją rajską woń,
I niechaj zefir zanuci swemi pieszczoty,
Dobranoc wam.

Dobranoc wam! . . .
Chociaż tu szczęście nie świeci,
Gdzie każdy dzień, wspomina tyle strat;
Gdy nocy cień, w spoczynku złoży świat,
Niech przez sen, dusza wasza, w kraje szczęścia leci,
Dobranoc wam!

1833 r.

DO ADAMA P.

O mój Adamie! głucho na tym świecie,
A jam ku niemu wyciągał ramiona;
Jam nań poglądał, jak matka na dziecię,
Gdy je śród pieszczot przyciska do łona.

Gdy myśl młodzieńcza skrzydła swe rozwinie,
Gdy ptaszek gniazdko rodzinne porzuci,
Ledwie odetchną w lotnej swej dziedzinie,
Już myśl i ptaszek do gniazdka nie wróci.

Bo myśl gdy śmiało leci w złudzeń szlaki,
A ptaszek zwiedza wonne ziemi kwiatki,
Niewiedzą o tem, że ich los jednaki:
Że myśl i ptaszek wpadną w łowców siatki.

Płocho rzuciłem zakres mój rodzinny;
Ludzie daleko, a Pan Bóg wysoko.
O mój Adamie! dziś dla mnie świat inny,
I z innem czuciem pogląda me oko.

Wznoszę się wyżej myślami mojemi,
Nic mnie nie smuci, nic nie uwesela,
To tylko jeszcze wiąże mnie do ziemi,
Że mogę ścisnąć dłonie przyjaciela.

1833 r.

DUMKA.

I.

Gdy młodzieńcze zapały
Lot mój wzbiły w świat marzeń,
W pieśniach ledwie zostały
Słabe rysy mych wrażeń,

Zapalony, szczęśliwy,
Świat tuliłem do łona,
Cuda, czary i dziwy
Myśl roiła stęskniona.

Każdy kwiatek na łące,
Każda trawka na błoni,
Plotły wieńców tysiące
Na ozdobę mych skroni.

Każdy słowik, skowronek,
Pól śpiewacy, i leśni,
Ledwie złoty błysł dzionek,
Mnie nucili swe pieśni.

Każde serca odbicie,
Każde czułe westchnienie,
Powiększało złudzenie,
Upiększało me życie.

Był czas błogi, — lecz minął:
Ptaszek, nuci nieśmiało,
Kwiatek, uwiądł i zginął,
Serce — kochać przestało.

II.

Czas — uczucia wystudzi! . . .
Bez nich — błędny wędrowiec,
Poglądałem na ludzi,
Jak na martwy grobowiec.

Mych nadziemskich mar siła,
Tak osłabła, że szczątki,
Nawet serca pamiątki,
Noc wieczności okryła.

Z duszą tęskną na poły,
Z okiem smętnem, nieśmiałem,
Ni marzący, ni czuły,
Błądząc — ciebie spotkałem.

Ledwieś rzekła mi słowo,
Ja . . . ach! wyznać się wstydzę,
Kocham, marzę na nowo,
Nic, prócz ciebie nie widzę.

Powiedz — mamże z mych wrażeń,
Wieczne niecić zapały,
By mnie znowu wzbijały,
W nadzmysłowy świat wrażeń? . . .

Mamże w nowej kolei,
Dawne wskrzeszać cierpienia? . . .
A nie zyskać — nadziei,
A nie wzbudzić — westchnienia? . . .

1833 r.

PODRÓZ.

I.

Przed mojem okiem piękna okolica,
Na widnokręgu rzucone półkole;
Dzień gasnął zwolna, a promień księżyca
Oświecał wzgórza i wzniosłe topole.

Pośród topoli — dworek czerwienieje,
W nim moje szczęście, w nim mój skarb jedyny,
Moje pamiątki i moje nadzieje,
Złożyłem w sercu kochanej dziewczyny.

Z smutkiem żegnałem sny moje zwodnicze,
Miejsca mych zabaw, ustronia wieśniacze,
Żegnałem lubą, z nią świata słodycze,
Bo nie tak prędko znowu ich zobaczę.

II.

Słychać ton jakiś! . . . lecz pieśń nie wesoła
W tęsknej i smętnej jak myśl moja, nucie,
Gdy sercu brakło pociechy anioła,
Jakże niemiłe budziła uczucie.

I łza boleści spadła na jagodę,
Łza — co już dawno w mem oku nie była;
Bom sobie wspomniał te dni moje młode,
Które mgła ciemna na długo zakryła.

Wspomniałem miejsca, gdzie czas płynął mile,
Gdym dłoń jej ściskał, uściśnięty wzajem;
Gdybym miał w życiu drugą taką chwilę,
Wzgardziłbym niebem i poetów rajem.

III.

Wspomniałem! . . . ależ tych wspomnień tak wiele
Plączą się, mącą i giną w oddali;
Moja kochanka, moi przyjaciele,
Przypomnąż sobie, że mnie kiedyś znali? . . .

Może przypomną, . . . odemkną podwoje
Z czuciem, na które czcza się grzeczność sili;
Przetrwam nieszczęścia, ale serce moje,
Nigdyby takiej nie przeżyło chwili.

Lecz już głos trąbki, do drogi znak daje;
Znikają wzgórza, dworek, szczyt topoli,
Wszystko co miłe za mną się zostaje,
Przedemną — obraz smutku i niedoli.

1833 r.

DO Z. G.

z powodu oddalenia.

I.

Gdy lekkim skrzydłem, wędrowna ptaszyna
W świat długi goniąc, nasze gaje rzuca,
Jakże ten widok trwoży i zasmuca,
Jakże nam bliskość zimy przypomina.

Gdy zwiędnie róża, co nam wonią tchnęła,
Gdy zeschną trawy, gdy pożółkną liście
Gdy wszystko wróży chwil niemiłych przyjście,
Jakże żałujem wiosny, co minęła.

Z ubiegłą wiosną, z odbiegłą ptaszyną,
Z martwym już wdziękiem, z oniemiałem pieniem,
Tylko się cichem żegnamy westchnieniem;
Szczęśliwy! . . . za kim łzy żalu popłyną.

II.

Ty, już na lotnem skrzydle wyobraźni,
Daleko od nas, na obcej nam ziemi,
W rodzinnem kole, pomiędzy swojemi,
Spoczywasz, w tkliwych objęciach przyjaźni.

Ty, naprzód myślą wyścigasz godziny,
Czas ciebie nudzi swym leniwym ruchem,
Ty, wkraczasz przedział promiennym swym duchem,
Co cię oddala od łona rodziny.

Lecz nam! — czas szybko swe chwile przegania,
Próżno go wstrzymać chcemy władzą myśli,
Coraz się zbliża — i obraz nam kreśli,
Niewesołego z tobą pożegnania.

III.

Nim nas porzucisz, chciej przyjąć życzenia,
Które ci dajem — są one tak czyste,
Jak te poranne rosy łzy przejrzyste,
Które wschodzące słońce rozpromienia.

Rozjaśniasz czoło uśmiechy lekkiemi,
Które mgła smutku tak długo pokrywa;
Gdybyś ty jedna nie była szczęśliwa,
Któżby był godnym szczęścia na tej ziemi?

Tak! — ujrzysz szczęście w różanym obłoku,
Bo to z przeznaczeń wypada kolei,
I znowu piękny, wsparty na nadziei,
Anioł radości zabłyśnie w twem oku.

Przeminą smutki jak te nocy cienia,
Które świt ranku, w złoty promień zleje;
Gdy ci się szczęście na nowo zaśmieje,
Toć nie odmówisz nam chwilki wspomnienia.

1833 r.

DWA SONETY.

I.

(na śmierć brata.)

Mija czas — płyną chwile nakształt wód strumienia,
Przeszłość, na oceanie niepamięci znika,
Jak wiatr, przewieje wątłe życie śmiertelnika,
Do kresu, który ludzi w proch ziemi zamienia.

Wszystko, co nam jest miłe, zimny grób zamyka,
Giną — zaszczyty, wielkość i sława imienia,
Skoro śmierć niezbłagana, ten anioł zniszczenia,
Żelaznem swem ramieniem, serc naszych dotyka.

Taka nasza puścizna na tej bryle ziemi,
Wicher, kości umarłych po świecie rozwieje,
Po mogiłach, piołuny i chwasty zasieje;

Tylko cnota, tak rzadko między śmiertelnymi,
Co nad gmin pospolity, czyni ich wyższymi,
Śród chaosu, jak gwiazda zbawienia, jaśnieje.

II.

Myślą — błądziłem w czasów ubiegłych wspomnieniu,
Serce, gwałtownie w piersi bić zaczęło,
Gdym drzącą ręką wykonywał dzieło
Pełne życia, na martwo leżącym kamieniu.

Pismo — w postaci twego imienia stanęło;
Cóż wtenczas zrównać mogło memu zachwyceniu?
Drzące usta złożyłem na twojem imieniu;
Czemuż z siłą marzenia życie nie minęło.

O! tajniki serc naszych są nam samym ciemne,
Samotność je rozwija, wskrzesza szczęścia chwile,
I obudza z letargu uczucia tajemne,

Lecz przy nich tyle cierpień i udręczeń tyle,
Że zaćmią i dni lube, i chwile przyjemne,
Zostawią mdłą nadzieję, — jak kwiat na mogile.

1833 r.

ROZSTANIE.

Rozniósł dźwięki dzwon klasztoru
I gasnęła lampa światów,
I zapadał mrok wieczoru,
Na malowne niwy kwiatów.

Głuchą była okolica:
Wietrzyk, listkiem drzew nietrąca,
Ani cichej wody lica,
Drobna muszka nie zamąca.

Nad strumieniem, w progu chatki
Przy dziewicy, stał młodzieniec:
On jej dawał wonne kwiatki,
Ona jemu wiła wieniec.

On, pogląda w okolice
Wzrokiem w którym żądza pała;
Ona wzdycha, a na lice
Już nie pierwsza łza spływała.

ONA.

Masz, — dwa wieńce wiję tobie,
Jeden z lauru, drugi z róży;
Gdzieś daleko wspomnij sobie,
Który z wianków kwitnął dłużej.

Ty, rodzinne rzucasz wzgórza,
Wesół, lecisz w świat bez końca,
Zwiedzisz lądy, zwiedzisz morza,
Pod weselszem okiem słońca.

Lub rzucony gdzie daleko,
Uroszony łzą poranku,
Opalony słońca spieką,
Westchniesz sobie, mój kochanku,

Do rodzinnej lubej chatki;
Wspomnisz o tej kwiatków grzędzie:
Lauru, zwiędłe rzucisz kwiatki,
Róża, wiecznie kwitnąć będzie.

ON.

W ten wypadków wir rzucony,
Gdy mnie pędzi wyższa siła,
Żegnać muszę lube strony,
Bywaj zdrowa! moja miła.

Jeśli kiedy wspomnisz sobie
O rozstaniu w tej godzinie,
Pomyśl luba, że i w grobie
Miłość nasza nie przeminie.

Czas ucieka, moja droga!
W pocałunkach, w zaklinaniu;
Bywaj zdrowa! . . . lecz na Boga!
Tylko nie płacz przy rozstaniu;

Bo mi w ustach giną słowa,
Bo gdy los chce nas rozegnać,
Nie śmiem wyrzec — bywaj zdrowa!
Nie śmiem, nie śmiem cię pożegnać!

* *
*

Już ich znaczna przestrzeń dzieli;
Chwila szybko chwilę goni,
Pamięć znika — zapomnieli
Ona o nim, a on o niej.

Prędzej róży uwiądł wianek;
On, niestały — ona, płocha:
Przy niej inny był kochanek —
On, już inne dziewczę kocha.

Z sercem lekkiem jak motyle,
Doświadczyli skutków zmiany;
Choć im w szczęściu biegły chwile,
Czas, nie zgoił pierwszej rany.

I nim młody wiek upłynął
Jemu we łzach, jej w żałobie,
On, podobno w boju zginął, —
Róże, kwitły na jej grobie.

1833 r.

POCAŁUNEK.

W dniu majowym, na dolinie,
Kędy strumyk szemrząc płynie,
Moja luba kwiatki zrywa,
Wiążąc wianek, piosnki śpiewa.
Jak jutrzenka, świeża młoda,
Miała serce jak łza czyste,
Oczki czarne promieniste,
I usteczka jak jagoda.
Jakaś wzięła mnie pokusa
By ją prosić o całusa;
Nieodmawia — czyjaż wina? . . .
To był anioł, nie dziewczyna!
I spojrzała moja miła,
Białą rączką mnie ścisnęła,
Usta do ust przybliżyła,
I w objęciu mem spoczęła.

Świat przed moją znikł źrenicą,
Martwą ziemię opuściłem,
Raj minąłem, w niebie byłem,
Z moim czuciem, z mą dziewicą.
Śród boskiego zachwycenia,
Gdy jej ustek chwytam tchnienia,
Myśl ją bierze, śmieszna, pusta,
By oderwać od ust, usta,
Zniszczyć urok omamienia.
Tylko jeszcze, z cicha skromnie,
„Nie mów o tem“, — rzekła do mnie,
I pobiegła po dolinie.
Głos jej luby w dali ginie,
Coraz ginie — w końcu znika,
Jak porankiem śpiew słowika.
Nie goniłem — bo w mej myśli,
Już się nowy zamiar kreśli,
By nie zważać na przestrogę.
Jakież dla mnie szczęście, proszę? . . .
Jeśli poznać mam rozkosze,
A objawić ich nie mogę?
Nic nie taić — moje zdanie! . . .
Lecz mnie teraz czeka bieda,
Pewnie za to, piękne panie,
Żadna mi już buzi nie da.

1833 r.

KTO MILCZY, ZEZWALA.

Panicz.

„Rzuć tę ustroń niewesołą,
Cóż w niej widzisz? — chatkę biedną;
Ciemne lasy na około,
Trwożyć muszą samę jedną?
Cóż cię wiąże do tej chatki?
Czy pamiątki młodszych lat? . . .
Czy wspomnienia, ojca, matki? . .
Czy rozkwitły z wiosną kwiat? . . .

Patrz ten zdroik na dolinie,
Co się wydarł z ziemi łona,
Ujrzał światło i tam płynie
Gdzie go milsza wabi strona;
Gdzie i wietrzyk lżej powiewa,
Gdzie weselej szumi gaj,
Gdzie rozkoszniej słowik śpiewa,
Gdzie piękniejszy ziemi kraj.

Ty! o piękna! śród ukrycia,
Maszże więdnąć jak kwiat z wiosną,
I najmilszą porę życia,
Tak młodzieńczą, tak miłosną,
Chceszże okryć tłem cierpienia?
Zniszczyć urok lubych tchnień?
I bez wspomnień, bez westchnienia,
W noc zamienić życia dzień?

Porzuć chatkę, porzuć kwiaty,
A jak w raju albo niebie,
Pyszny zamek, strojne szaty,
Miłość, szczęście czeka ciebie.
Rozkosz wabi w swą zaciszę,
Gdzie cię sen, jak anioł stróż,
Śród balsamów ukołysze
Na wezgłowiu wonnych róż.

Płaczesz? — łzy ja umiem cenić,
Łezka, szczęścia nierozpłoszy,
Lecz mi pozwól, pozwól zmienić,
Łzy boleści, w łzę rozkoszy.
Jak dwie lutnie gdy zabrzmieją
Strojnym dźwiękiem, zgodnych stron;
Dusze nasze tak się zleją
W jeden wzniosły boski ton.“

* *
*

Dziewcze milczy — więc przystaje. —
Czy co rzekła? — próżno śledzić;

Niewiem — ale mnie się zdaje
Że nie miała co powiedzieć.

1833 r.

MIŁOŚĆ.

„Czy wiesz co miłość?“ — „Miłość, mój kochanku,
Dwóch serc harmonja, pierwszy uśmiech w życiu,
Słońce wschodzące w dni naszych poranku,
Fiołek kwitnący w ukryciu.“

„O! moja luba, to nie znasz miłości;
Miłość w tem życiu, krótka złudzeń chwilka,
Jeden sen piękny na kwiatach młodości,
Bóstwo, na skrzydłach motylka.“

1834 r.

SZTUKI PIĘKNE.

W martwych kształtach życie wzbudzić;
Ująć namiętne uczucie;
Myśl zatrzymać, oko złudzić,
Znaleźć obraz w wieszcza nucie;
Rozwinąć świata koleje,
I naturze odkraść skarby;
Na jaw dobyć znikłe dzieje:
To świat malarza i farby.

Wznieść duszą w wyższe dziedziny,
Przygasłe wskrzesić pamiątki,
Przypomnieć szczęścia godziny,
Wzruszyć tajne serc zakątki;
Wzburzyć żądze i — uśmierzyć,
Nieść zapał w wojenne szyki,
Łzę wycisnąć — w cud uwierzyć:
To władza boskiej muzyki.

Lecz spojrzeć w przyszłość tajemną,
Uzacnić człowieka serce,
Rozjaśnić błędów noc ciemną,
I na geniuszu iskierce
Przebić chmury, spojrzeć w nieba,
I nad słońca, nad planety
Wznieść tron Bogu — na to trzeba
Uczuć i natchnień poety.

1834 r.

WIDOK NA POWĄZKI.

Luba przeszłości! ileż to ja razy
Do ciebiem westchnął głęboko;
Minęło szczęście — a smutne obrazy,
Ciągle dręczą, myśl i oko.

Ziemię szron odział zimowej zawiei,
Z północy wichry zawyły;
Myślom, już gwiazdka nie świeci nadziei,
Przed okiem — cmentarz, mogiły.

Na tych mogiłach, pamiętam przed laty,
Gdy szczęśliwsze były chwile,
Z wesołą myślą, rwałem wonne kwiaty,
Ścigałem płoche motyle.

Na tych mogiłach, dziś mój wzrok spoczywa,
Z po za krat mego więzienia;
Może ta ziemia, co tylu przykrywa
I mnie użyczy — schronienia.

Kto tęsknej myśli nigdy nie zatrzyma,
Na zgasłej ludzkości szczątkach,
Ten, na świat patrzy rozkoszy oczyma,
Żyje — w wspomnieniach, w pamiątkach.

Lecz kto w swem życiu z szczęściem się rozminął,
Komu nadzieja nie gości,
Komu świat wspomnień od dawna zaginął,
Na oceanie wieczności;

Ten przywykł słuchać jęków pogrzebowych,
Spokojny — spojrzy na groby;
Bo jemu nawet śród pieśni godowych,
Brzmi ciągle piosnka żałoby.

1834 r.

ODJAZD.

Bywajcie zdrowi! — odjeżdżam daleko,
Aż na kraj świata, — daremnie, daremnie,
Stęsknioną myślą i łzawą powieką,
Będziecie czekać uścisków odemnie.

Odjeżdżam wesół — jak ten co się śmieje
Śmiechem rozpaczy, gdy życie ucieka;
Odjeżdżam wesół — bom stracił nadzieję,
Ostatnie źródło udręczeń człowieka.

Gdzież moje boskie, gdzież są ideały,
O pięknej cnocie, o wzniosłej przyjaźni,
I o miłości? — z chwilą się rozchwiały,
Jak senne mary młodej wyobraźni.

A rzeczywistość, jak śmierci cień blady
Co łzy wycisnął, co szczęście zakłócił,
Dotyka serca i idzie w me ślady
Abym już nigdy do niebios nie wrócił.

Do niebios myśli, do których się wzbiłem,
Do mych przyjaciół, do mojej kochanki,
I do tych krain, gdzie szczęśliwy żyłem,
Gdym nucił pieśni, gdym wił z kwiatów wianki.

Z obrazów zmianą, zmienia się uczucie,
Z inszą harmoniją, insze będą dźwięki;
Może wy kiedyś, tylko w dzikszej nucie,
Słuchać będziecie wygnańca piosenki:

Jak on daleko, pod zaspami śniegu,
W krainie zimy i wiecznego lodu,
Po dziennym trudzie szukając noclegu,
Umierać będzie od zimna i głodu.

I w strony lube źrenicą zaciekłą
Patrząc bez końca, marząc śród zawiei,
Przeklnie to życie co się będzie wlekło,
Na lodowatym brzegu Jenissei.

Bywajcie zdrowi! . . . lecą bystre konie
Coraz i coraz unosząc mnie dalej . . .
Ach! nim mą pamięć wraz ze mną utonie,
Wspomnijcie czasem, żeście mnie kochali.

1834 r.

DO MOJEJ MYŚLI.

Myśli! — ciebie puszczam gońcem
Gdzie wieczorna zorza płonie,
Za zachodniem pośpiesz słońcem,
Ku rodzinnej mojej stronie.

Przeleć Ural — miń pustynie,
Szumną Wołgę, fale Oki,
Piękne wzgórza gdzie Dniepr płynie,
I Litwinów kraj szeroki.

Lecz gdy ujrzysz Wisły wody,
Lot twój bystry niech ustanie;
Tam — upłynął wiek mój młody,
Tam — poznałem co kochanie.

Tam się ciągle przypomina,
Śród kwiecistych marzeń wianka,
Ojciec stary — dom — rodzina,
Przyjaciele i kochanka.

Myśli moja! — krąż dokoła,
Każdy luby zwiedź zakątek;
Spojrzyj w serca — gdzie mnie woła,
Nieskończony świat pamiątek.

Wracasz? — jakież są przyczyny?
Ach! zgaduję twój kierunek:
Niesiesz uścisk od rodziny,
Od kochanki — pocałunek.

Tobolsk 1834 r.

PRZEMIANY.

Przemarzyłem lat niemało,
I cóż z moich mar zostało? . . .
Jeden zeschły listek z wieńca! . . .
Tylko echo z dum młodzieńca.

Jak łza rosy w róż bukiecie,
Oprzędziony marzeń tkanką,
W idealnym żyłem świecie,
Z idealną mą kochanką.

Bo myśl, jakby z słońca, z siebie
Jasny strumień światła biła,
I po chmurnym życia niebie,
Tęcze, gwiazdy, rozstrzeliła.

Z przymierzchłego dziś ogniska
Próżno ponad świat ziemiański
Myśl wystrzeli; blado błyska
Jak robaczek świętojański.

Każda w wieczność lecąc chwilka,
Gasi jednę z iskr zapału;
Złote skrzydła zdejm z motylka.
Co zostanie z ideału? . . .

Bo nie wszystko na tym świecie,
W tak się cudne barwy stroi,
Jak je sobie młodość roi,
Jak się jawią w snach poecie.

* * *

Odpływamy pełni życia
Na to morze bez echowe.
Marząc, jakieś lądy nowe,
Nam przejrzane dla odkrycia.

Łódka, bystro w przestwór leci . . .
Fala — niby matka w pysze,
Najpiękniejsze z swoich dzieci —
Na swem ręku ją kołysze.

O! nie długo tej pogody . . .
Bo na głębiach oceanu,
W jednej chwili spiętrzy wody
Groźny trójząb huraganu.

Głąb' otworzy paszcz wodnistą,
Wiatr się ujmie lin porwanych,
Grom, po masztach potrzaskanych
Rzuci flagę swą ognistą.

Aż łódź biedną koral jaki
Co na toniach się gałęzi,
Zwabi zdradnie w swoje szlaki,
I w kamienną sieć uwięzi.

I tam — będzie jej mogiła.
Ależ pamięć czy zostanie? . . .
Że i ta łódź tor żłobiła
Po tym życia oceanie.

* * *

Młodość — wierzy w bujne żniwo,
Choć błoń ledwie się zieleni;
Z kwiatów, dźwięków i promieni,
Snuje barwne swe przędziwo.

Uczuć, myśli, wszystkie skarby,
W gwiazdach sadzi na swem niebie,
I atomy w koło siebie
W Himalajskie piętrzy garby.

Przez ruiny głośnych czynów,
Śmiało toczy wóz zwycięzki,
A z brylantów i rubinów
Wznosi pałac czarnoksiężki.

Lecz gdy życie krok uczyni,
Mary — stają z twarzą zbladłą;
I ulata mkłe widziadło
Z tej piasczystej serc pustyni.

Z piosnki — co tak była szczera,
Dźwięk za dźwiękiem obumiera
I z nadziei złotych drzewa,
Liść po liściu wiatr odwiewa.

Myśl spłoszona z swego raju,
Widząc w koło step nieżyzny,
Tęskna — wraca z złudzeń kraju
Do błękitnej swej ojczyzny.

1834 r.

NIE MOGĘ BYĆ TWOJĄ.

Mazurek. [1]

Jakoś się przypadkiem
Okno otworzyło;
Prócz doniczki z kwiatkiem
Nic w oknie nie było.
Ktoś trącił doniczkę,
Księżyć błysł z obłoku,
Oświecił twarzyczkę,
W niej łezkę na oku.

Wtem, z dalekiej strony
Ktoś pędzi na koniu,
Sadzi przez zagony
Aż tętni po błoniu;
Stanął przy okienku,
Dał znak, skłonił głowę,
I po cichuteńku
Rozpoczął rozmowę:

---

[1]) Muzykę do niego ułożył Dobrzyński.

„Witaj moja miła."
„Witaj mój jedyny."
„Czyś za mną tęskniła?" . . .
„W łzach pędzę godziny."
„Łzy, co smutek roni,
Czyż się nie ukoją?" . . .
„Matka kochać broni,
Nie mogę być twoją."

„O! luba! któż ciebie,
Któż ciebie wzajemnie
Na ziemi, na niebie
Ukocha nade mnie?
Płoną moje tchnienia.
Więdną dni me błogie" . . .
„Dzielę twe cierpienia,
Twoją być nie mogę." . . .

„I za cóż, mój Boże
Tyle cierpień znoszę? . . .
O! luba! ja może
Ostatni raz proszę,
Bo z jutrznią różową
Daleką mam drogę" . . .
„Ach! nie jedź, daj słowo
Wszak twoją być mogę!" . . . .

Księżyc nic dobrego,
Wyjrzał z za obłoku,

Oj! śmiał się z młodego
I z łezki na oku;
Co dostrzegł z jej lica,
Co odgadł w rozmowie,
Spytajcie księżyca,
Najlepiej wam powie.

1835 r.

DO STANISŁAWA D.

Różne na świecie losu przybywszy koleje
Zeszliśmy się w nieszczęściu — w miejscu zkąd
[nadzieje,
Zkąd miłość, wiosna, kwiaty i każda myśl człeka,
Jak z miejsc dżumą dotkniętych, w lepszy świat
[ucieka.
Nie tę nam pieśń w kolebce piastunka nóciła,
Nie ten obraz nam młoda fantazya tworzyła
Ażebyśmy wygnańcy, bez siedzib, schronienia,
Liczyli czas na wieki, chwile na cierpienia.
Przyszłość nasza jest ciemna, lecz przeczucie wieszcze
Kiedyś, każe chwil lepszych spodziewać się jeszcze;
A przetrwawszy już próby i ognia i wody,
Gdy kiedyś u ojczystej zejdziem się zagrody,
Jakże nam miło będzie, spotkać się, powitać,
Historyą cierpień naszych na twarzach wyczytać,
I wspomnieć — że przebiegłszy, że wytrwawszy tyle,
Kości nasze na ojców, złożemy mogile.

1835 r.

TU I TAM.

Mazurek. [1]

Tam daleko, w lubym kraju,
Już kwiat ożył z tchnieniem wiosny,
I śpiew jakiś brzmi po gaju,
Czuły, miłośny.
W listki drzewa
Wiatr powiewa,
To drżą listki, to się chwieją;
Ja tak drżałem
Tak się chwiałem
Między szczęściem i nadzieją;
Bo w poranku mego życia
Śród ukrycia,
Serce biło,
I na różach sobie śniło.

---

[1]) Muzykę do niego ułożył Konstanty Wolicki, towarzysz niedoli G. Zielińskiego. W papierach jednak po Zielińskim muzyki do tego mazurka nie znaleźliśmy. Może ją rodzina Wolickiego przechowała.

Tu — jak głucho do około . . .
Chociaż wiosna się rozśmieje,
Wionie północ — zwiędną zioła,
    Znikną — nadzieje.
    Myśl skrzydlata,
    Stąd ulata
By ojczysty ujrzeć kątek, —
    Gdzie ja byłem,
    Gdzie przeżyłem
Chwilę marzeń i pamiątek.
Bo tam tylko w dniach młodości,
    Dla miłości
    Serce biło;
Tu — śród cierni się zbudziło.

1835 r.

ROZBÓJNIK KALABRYJSKI

(ballada).

W Abruzach żył zbójca, odważny, krwi chciwy,
Czasami wspaniały, lecz w zemście straszliwy,
Na zamki i dwory, i mnichów klasztory
Napadał — rabował i palił.

Napróżno król liczne wysyłał zastępy,
By przetrząść wąwozy i lasów ostępy;
Pod ziemią szukali, lecz z niczem wracali,
Bo zbójca się zawsze ocalił.

Noc była — wiatr szumiąc kołysał dębiną,
Przy ogniu siadł zbójca z swą wierną drużyną,
Wiatr miotał ogniskiem, a z trzaskiem i błyskiem
Sypiące się iskry padały.

Huk gromów po górach rozlegał się dziko,
Lecz wichry i piorun są zbójców muzyką,
Spełniano kielichy, a wrzaski i śmiechy
Z odgłosem się burzy mięszały.

Śród zbójców, jak anioł, dziewczyna tak miła,
Z zalotnym uśmiechem włos wodza trefiła,
On brał ją w ramiona, przyciskał do łona,
I śliczne całował jagody.

Dziewczyna z klasztoru porwana jak branka,
Przysięgła być Bogu . . . dziś, zbójcy kochanka,
Czas długi płakała, nareszcie przestała
Bo zbójca był piękny i młody.

Kochankom, czas szybko ulata w pieszczocie . . .
Nie słyszą ni gromów, ni burzy w przelocie,
Szczęśliwi! w tej chwili, wysoko się wzbili
Od ziemi, od ludzi, od świata.

A w bandzie szmer powstał podobny do wrzawy,
Na wodza nieczynność, na miękkie zabawy,
I rosnąc, szedł dalej; aż grzmiąc jak ryk fali
Do uszu dowódcy dolata.

Więc porwał się z miejsca i krzyknął: — „Ej
[śmiałki! . . .
Czy chcecie spróbować ciężaru mej pałki? . . .
Toż u was jest winą, żem z piękną dziewczyną
Raz ziemskich skosztował słodyczy?

„Stawajcie w krąg wszyscy i sądźcie oczyma,
Czy wódz wasz zniewieściał, czy męztwa już nie ma;
Za chwilę najdłużej, będziemy w podróży
Do mordów, do nowych zdobyczy.“. . .

Wtem, chwycił za sztylet, i przy błyskawicy,
Uderzył w pierś śnieżną struchlałej dziewicy.
„Ha! . . . wrzasnął . . . śmiałkowie, kto w oczy
[mi powie,
Że miłość dla wodza jest matnią!“ . . .

Tryumfu krzyk powstał, sam grom go nie zgłuszy . . .
Wódz spojrzał, lecz w tajnik najskrytszy swej duszy;
Twarz ręką zasłonił, łzę jedną uronił,
Łzę pierwszą — a razem ostatnią. . . .
1835 r.

DO MEJ LUBEJ.

O moja luba! znikł świat marzeń sennych,
Płyną bez przerwy, godziny, dnie, lata,
I coraz dalej — po morzach odmiennych,
Pod różną flagą zwiedzamy krąg świata.

Nigdy! . . . może nas nigdy na tej ziemi,
Przyjaźny wietrzyk ku sobie nie zwionie;
Tylko wieść, łzami opłaczem rzewnemi
Gdy z nas kto pierwej na falach zatonie.

Lecz jeśli prawda, że kiedyś na niebie
Gdy już do rajskich zawiniem przystani,
W jedną harmonię, w jeden promyk zlani,
Znajdziem się luba, znowu obok siebie;

Jeśli to prawda? — więc choć duch odbieży,
Miłość się nasza z nami nie ukończy:
Ona, jak cząstka co bóstwu należy,
Wróci do bóstwa — i tam nas połączy.

1835 r.

CZAROWNIK.

Był pewien, jak mówią, czarownik przed laty;
Sam, miał się za niebios posłańca,
Przecież go nikt nie znał, bo któż zna mieszkańca
Ubogiej w poddaszu komnaty?

U niego tłum cacek, a wszystkie rozbite . . .
Gruz, kwiecie —, bez ładu, porządku
Zmięszane, zsypane i zmierzchem spowite,
Jak chaos przy świata początku.

I mnóstwo głów trupich leżało pod stołem,
A każda odmiennie znaczona;
Na każdej był napis wyryty nad czołem:
Dant, Szekspir, i inne imiona.

On, nieraz w krąg siebie rozstawiał te głowy . . .
Choć stare, lecz czas je szanował;
On pilnie w nie wzierał, pył nawet zdejmował,
I długie wiódł z niemi rozmowy.

„Bóg, rzekł raz czarownik, w przestworzu jałowem
Przez: „Stań się“ świat wywiodł z nicości.
I ja rzeknę: „stań się“ — i wyrzekł. — Tem słowem
Odłączył od światła, ciemności.

Następnie wszedł w koło; wziął laskę Merlina,
Uderzył . . . o! dziwne przemiany,
Gruz zrósł się w kolumny, rozpadły się ściany . . .
W около — czarowna kraina.

„Na co mi ten ołtarz, ten gaj, ta świątynia,
Jeśli mam tu zostać sam jeden, —
Bez oczu kochanki i w raju pustynia;
Zstąp piękna i ożyw mój Eden!“

Wziął dłuto . . . wzniósł oczy . . . w marmurze
[nie kował,
Z powietrza wytoczył jej członki,
I w mgliste, w przejrzyste i w śnieżne obsłonki
Swą piękność odziewał, drapował.

I dzieło skończywszy, mistrz pierwszy się zdziwił,
Choć życie nie biło w jej łonie;
A czołem uderzył, gdy piękną ożywił
Twą gwiazdą, o boski Platonie!

1835 r.

FANTAZYE.

I.

(Improwizacya).

Gdzież fantazjo moja, ulatasz, wybiegasz?. . .
Czyliż tam daleko, lepszy świat spostrzegasz?
Czyli już znudzona na ziemskim przestworzu,
Chcesz odpocząć sobie na wieczności morzu? . . .
Śpiesz na bystrej łodzi
W te dalekie kraje,
Gdzie słońce nie wstaje,
Ani nie zachodzi.

Tu, ziemia — bryła czarna, którą ogień boski
Na chwile opromienia, a ciemność zanurza,
Gdzie szczęście iskrą tylko, którą cierpień burza
Natychmiast gasi, zostawując troski;
Gdzie wspomnienie — jak anioł z niebios wypę-
[dzony,
Błąka się w koło ciebie, i na krótką chwilę
Pocieszy i rozrzewni — lecz wiatrem zdmuchniony
Ulata i utraca swe wdzięki motyle;

Gdzie miłość! — która w pierwszej młodości roz-
[wiciu
Była twym ideałem, i z której tak dumny,
Nuciłeś boskie hymny — dziś, smutny, w ukryciu
Widzisz ją — jak świątyni złamane kolumny.
Gdzie wszystko, co na sobie bóstwa nosi znamie,
Co jest piękne i czułe — co jest skarbem duszy, —
Ledwie błyśnie dla człeka, wali się i łamie
I niknie, jak kwiat polny, gdy go chwast zagłuszy.

O! fantazjo moja! wybiegaj daleko,
Staraj się, to co ziemskie, od siebie odegnać;
Bo tu nic nie zostawiasz, z czem łzawą powieką
Mogłabyś się raz jeszcze na wieki pożegnać.
Śpiesz na bystrej łodzi,
W te dalekie kraje,
Gdzie słońce nie wstaje
Ani nie zachodzi.

1835 r.

II.

WIOSNA.

Matko wdzięków — wiosno!
Łąki, ogrody, drzewa,
Odmładzasz zefiru tchnieniem.
Miłości porę radosną,
Zbudzona natura śpiewa
Harmonijnych tonów brzmieniem.

Gaik się liściem zieleni, —
Skowronek wisząc w przestrzeni
Czarownej dźwięków krainy,
Srebrnym tonem radość kwili.
Motyl — zwiedza róż doliny,
Róża — wabi rój motyli.

Śród szmaragdowych błoni,
Śród rozlanej kwiatów woni,
Gdy ziemi — szczęście uśmiecha;
Kiedy słowik miłość głosi,
Kiedy pszczółka słodycz nosi,
Wyssaną z kwiatów kielicha;

Jedno serce skamieniałe:
Ani miłość je zagrzewa,
Ani bogów nuci chwałę,
Ani wiosny nutą śpiewa;
Ani zwija kwiatów wianki,
Dla przyjaciół i kochanki.

Czyż to serce od powicia,
Nieczułe na wdzięki życia,
Żadnym ogniem nie płonęło? . . .
Czy oderwane od świata,
Oczyma wzgardy pomiata
Najpiękniejsze niebios dzieło? . . .

O! nie serce winić trzeba,
W które częste ciosy biły;
W niem zagasły myśli nieba,
Pięknej ziemi zwiędły róże;
Tylko na przekór naturze
Krzewi się piołun mogiły.

Serce, biegło w raj omamień,
Czułe, wzniosłe, i ogniste.
Lecz w pierwszej śpiewanej nucie,
W szkielet zmieniło się czucie;
Żar — zgasiły chmury dżdżyste,
Z uczuć wzniosłych, został kamień.

Biedne serce! — gdy dla woni
Rwało róże, i rzuciło,
Zostawiwszy kolce w duszy.

Dziś — pędzone losu siłą,
Gdzież przed burzą się uchroni? . . .
Czyjeż oko do łez wzruszy? . . .

1832 r.

III.

SEN.

To był sen! . . . jakże dziwny! . . . Widziałem
[krainę
Pustą, dziką, okropną jak sumienie zbrodnia,
A na burzliwem niebie, jedna gwiazdka wschodnia
Oświecała, na skale opartą dziewczynę.
Dziewczyna nad przepaścią, śród dzikiej natury,
Była tem, czem w nieszczęściu jest promyk nadziei.
Lecz niewidoma siła, zbliżyła z kolei
Dziewczynę do przepaści, a gwiazdę do chmury.
Dziewczyna była młoda — a młodość kobiety
Jestto kwiat, który poczuł pierwsze wiosny tchnienia;
Dziewczyna była piękna — jak geniusz poety,
Jak to zjawisko rajskie, pół swiatła, pół cienia.
Tylko — że w jeden przedmiot wlepione jej oko;
Melancholijny uśmiech po twarzy rozlany,
I myśl — myśl jej tak była ciemną i głęboką
Jak przepaść, gdy w nią nocne spuszczą się tumany;
Tylko — że jej obsłonki tak lekkie, tak mgliste,
Którym powab i skromność skreśliły granice,

Owijając to ciałko, powietrzne, przejrzyste,
Zmieniały córkę ziemi w nieziemską dziewicę.
Wtem nagle śród mętnego dziwnych marzeń tłumu
Jedna się myśl odbiła, bom słyszał jej słowa:
„W lat piętnaście doświadczyć zbłąkania rozumu,
Okropność! . . .“ Tu snu koniec, bo druga połowa
Tak miała skład dziwaczny, że pomimo chęci,
W jeden go obraz złożyć nie mogłem w pamięci.

* *
*

I cóż w tem tak dziwnego? — z boku ktoś zapyta;
Ludzie! . . . jak niedaleko oko wasze sięga! . . .
Widzicie martwe kształty, a duszy potęga
Nigdyż się w głąb' nie wedrze? . . . nigdyż nie [powita
Zamkniętej myśli, i jej na jaw nie wydźwignie? . .
O! ileż wy to razy, jak pieszczone dziecię
Na popsutą zabawkę, na swój świat patrzycie?
Zachwyci was . . . nasyci . . . i zapał ostygnie.
Nic żeście nie dostrzegli w mem sennem widziadle?...
Nic pewnie . . . oprócz pięknej i młodej dziewczyny
Siedzącej nad przepaścią śród dzikiej krainy.
Ja zaś, jej świeżą duszę widzę jak w zwierciadle:
Ona się po raz pierwszy z snu błogiego budzi,
Postrzega świat — ku niemu wyciąga ramiona,
I pragnie go i nie chce . . . i wówczas to ona
Uczuwa, że ma serce i że jest śród ludzi.
Czuje i tęskni . . . ale przestrach ją porywa,
Świat zdaje jej się pustym, bez wdzięków, bez życia,
Wiosna martwa, bez pieśni, echo bez odbicia,

I sądzi, że już nigdy nie będzie szczęśliwa.
Oto jest obraz duszy snów moich anioła,
Trwoży ją obłąkanie i w przepaść popycha;
Bo nie wie — że jest czucie, do którego wzdycha:
Miłość . . . która ją wkrótce do życia powoła,
Która jej świat nieznanych odsłoni słodyczy,
I która tak przeminie, jak mój sen zwodniczy.

1835 r.

IV.

W wiośnie życia myślą błędną
Nie goń za omamień rajem,
Otocz skronie wonnym majem,
Bo latem — róże uwiędną.
Bo już za jesieni przyjściem,
Inną pieśń natura śpiewa:
Gdy złoty owoc dojrzewa,
Roślina, żegna się z liściem.

Gdy przez młode niepokoje,
Wielka myśl się w tobie budzi,
Gdy chcesz poznać serca ludzi,
Zgłębij pierwej serce swoje.
Jak oceanu ustronie,
Tak niezbrodne serca fale, —
Nim znajdzie perłę przy skale
Nie jeden nurek utonie.

Z uczuć wzniosłych, z uczuć tkliwych,
Snujem złoty życia wątek;
Czemuż w krainie pamiątek
Tak mało chwilek szczęśliwych? . . .
Bo my płyniem śród zawiei,
Śród skał grożących rozbiciem;
Ta krucha nawa, jest — życiem
Miotanem — żaglem nadziei.

1832 r.

V.

Noc, milczenie — tylko w dali
Wietrzyk, listkiem drzew szeleści;
Księżyc igra w drżącej fali,
Lub się z kwieciem wiosny pieści.
Słowik, w gęstem drzew zaciszu,
Miłym dźwiękiem Echo budzi;
Sen, zstępując na promieniu,
Słodzi dzienne troski ludzi.

Miły obraz — dla pasterza
Gdy namiętnych żądz nie roi;
Dla kochanka — gdy się zwierza
U stóp lubej, z myśli swojej;
Dla poety — gdy w swej nucie,
Z całym ogniem wyobraźni,
Śpiewa pierwsze serca czucie
O miłości, o przyjaźni.

To nie dla mnie! — Lecz gdy burze
Zniszczeń skrzydłem dotkną ziemię;
Gdy w rozdartej gromem chmurze,
Karę widzi człeka plemie;
Gdy śród trwogi, przerażenia,
Grom uderza, piorun głuszy:
To mój obraz — moje pienia,
To harmonija mojej duszy.

1834 r.

VI.

Kwiat życia stracił powaby,
Nieszczęście-m poznał zbyt rano;
Lecz czyliż będę tak słaby,
Bym przed niem ugiął kolano?
Łza z ocz moich nie popłynie,
Raz tylkom w życiu łzy sączył,
W tej strasznej dla mnie godzinie
Gdym się z ojczyzną rozłączył.

To znikło! . . . cóż mnie dziś wzruszy?
Patrz! . . . w tej świątyni natury,
Odkryłem skarby dla duszy,
Stepy, pustynie i góry;
Na step leci myśl ma lotna,
Śród pustynnych buja błoni,
Taka dzika i samotna,
Jak wicher, co się tam goni.

Lecz, gdzież góra tak wysoką,
Gdzie lecąc, jak dźwięk mej struny,
Mógłbym niebem poić oko,
Deptać orły i pioruny!? . . .
Bliżej Boga — dalej ludzi;
Gdziebym ziemskich żądz daleki,
W śnie, którego świat nie zbudzi,
O szczęściu marzył na wieki.

1834 r.

VII.

ŻYCIE.

Poranek — wstało słońce — cisza i pogoda;
Niebios, nie chmurzą obłoki;
Wietrzykiem kołysana, cicho szumi woda,
I pluszcze w okrętu boki.
Sterniku! weź za rudel, każ poruszyć wiosła,
Znasz przyjazne wiatrów tchnienia, . . .
Rozwiń żagle — by woda co prędzej mnie niosła
Tam — gdzie dla mnie, port zbawienia.

Wieczór — łamie się fala, piętrzą się bałwany,
Hymnom zniszczenia, grom wtórzy;
Mój okręt, bez rudla, wiatrami miotany,
Leci za podmuchem burzy:
Maszty, piorun zdruzgotał, zerwały się liny,
Ciska nawą, fala grzmiąca,
Chwyta ją, jak swą zdobycz i pośród głębiny,
O skryte skały roztrąca.

Już noc — z odłamkiem masztu, sam śród morza [płynę,
Otwarta przepaść podemną,
A w górze czarne niebo; — tak w śmierci godzinę
Wieczność zaledwie jest ciemną.
Choć słońce znów zabłyśnie, ja go nie zobaczę,
Nie spojrzę ku lubej stronie;
Zniknę, — któż mi grób wzniesie, nademną za- [płacze?
Któż wspomni o moim zgonie?

1834 r.

VIII.

ŚMIERĆ.

Kilka wzgórków mchem porosłych,
Zburzonych pomników szczątki,
Nad niemi, kilka drzew wzniosłych —
To wszystko człeka pamiątki.
Jego marzeń ideały;
Sny — co prędko się prześniły,
Róże — które kwitnąć miały
A zwiędły w łonie mogiły.

W chwili zgonu, hymn pogrzebu,
Dzwięcząc tony żałobnemi,
Ma powrócić duszę niebu,
Ziemskie ciało, oddać ziemi.
Gdzie zebrani przyjaciele,
Niosą z smutkiem do grobowca,
Kilka westchnień, łez nie wiele,
Dla innych światów wędrowca.

Anioł śmierci, na mogile,
Którą zdobi próżność złota,
Garstką piasku liczy chwile,
I przecina nić żywota,
I tak nuci, szydząc skrycie,
Gdy wiatr pędzi zmarłych kości:
„Patrz, człowiecze! czem twe życie,
Czem marzenia twej wielkości!“

1834 r.

NA POMIESZKANIE
ADOLFA JANUSZKIEWICZA.

Gdzież jestem? . . . czy to jurta kirgizkiego hana,
Co jak łódka po morzu, po stepach żegluje? . . .
Której gwiazda, jak diament z zawoju sułtana
W doliny tulipanów nomadom przodkuje.

Czyli jestem pod niebios płonących namiotem
Pod którym wiecznie błędne snują się Araby?
I widzę pienia wieszczów wypisane złotem,
Na jedwabiach zdobiących jedną z bram Khaaby.

Czy to harem w balsamów owiniony tchnienia?
Kędy basza na łonie wschodniej odaliski,
Śród kwiatów, śród słowików, śród szmeru stru-
[mienia,
Pieszczotami opłaca kupione uściski;

Lub w śnie narkotycznym siódme marzy nieba,
Widzi w kioskach Edenu, dziewicze piękności,
A nie pamięta o tem, że po nie iść trzeba,
Przez most, nad przepaściami wiszący wieczności.

Lecz dla czegoż ten widok, co myśl mą weseli,
Zmienia się, na przedmioty żałobą pokryte,
I jest jako marzenie, co z duszy wystrzeli
W krainę ideałów — a spadnie rozbite.

Wytłomacz mi Adolfie co to wszystko znaczy?
Może to zmienne życia naszego koleje:
Z jednej strony różowo, — to niby nadzieje,
A z drugiej wszystko czarno, — to obraz rozpaczy.[1])

---

[1]) Podajemy piękną odpowiedź Adolfa Januszkiewicza, towarzysza niedoli Gustawa Zielińskiego:

Nie jest to bracie jurta kirgizkiego hana,
Ni namiot Beduina w oazach Tadmoru,
Ni harem odalisek wschodniego sułtana,
Błyszczący brylantami na brzegach Bosforu.

Jestto bracie kraina ojczystych pamiątek,
Kwiaty drużby, miłości, z rodzinnych ogrodów;
Rozbitej mojej łodzi ocalony szczątek,
Jaśniejący przeszłością śród Sybiru lodów.

A. J.

NA STEPACH.

I.

Ileż to razy człek w krainie ducha,
Chciałby zapomnieć o ziemskim padole,
I chciałby skruszyć żelazną niewolę,
Która go wiąże do nieszczęść łańcucha.

Chociaż swe loty wybije nad chmury,
Myślą, jak strzałą strop niebios przenika,
Cofnąć się musi, — bo nie ma języka
Jakim ma mówić do Stwórcy natury.

Wraca — chce śpiewać co widział, i smutnie
Patrzy, na nicość swych promiennych tworów;
Bo choć od ziemi pożyczy kolorów,
Niebiańskich tonów, nie wleje w swą lutnię.

I próżno żąda siłami wszystkiemi,
Skruszyć swe pęta, lecieć w złudzeń kraje!...
Gdy zwichnie skrzydła, dopiero poznaje
Że on jest wiecznie przykuty do ziemi.

II.

ORZEŁ.

Kiedy tak marząc, błądzę samotny
I tylko kwiatów szmer słyszę,
Spojrzę ku niebu . . . tam . . . pielgrzym lotny
Orzeł się w słońcu kołysze.

Czy on się stroił w wieniec promieni,
Czy pióra złotem malował?
Czyli też z górnej wiatrów przestrzeni,
Jak król tym stepom panował?

Niewiem! . . . lecz gdybym miał takie loty,
I bystre jak orzeł oko,
Jakżebym cudne widział istoty,
Jakżebym sięgał wysoko!

Wyżej i wyżej — w ten świat bym wkroczył,
Gdzie ledwie rozum nasz sięga;
Tambym, promieniem myśli zatoczył
Nowe koło widnokręga.

Tambym . . . w tem orzeł, co w górze płynął
I wzrokiem cały step mierzył,
Myśląc że zdobycz, skrzydła swe zwinął,
I z niebios ku mnie uderzył.

Lecz gdy się nasze oczy spotkały,
Odleciał z krzykiem i szumem;
Bo się bał walczyć orzeł, choć śmiały
Z istotą — wyższą rozumem.

III.

KURHANY.

Choć okiem sięgniesz daleko, głucho na stepów
[równinie,
Bo tylko natury głos, cicho rozlega się tam;
Głos ten, z wiosną się budzi, błąka się w stepach
[i ginie,
Gdy mroźnej jesieni dzień, do czasu zbliży
[się bram.
Ale na stepie samotnym, wznoszą się liczne kur-
[hany,
Pomnik ostatni to już, od dawna ubiegłych lat;

Kto tam w ich łonie spoczywa? . . . i kto je sypał
[— nieznany,
Bo znikłych pamiątka chwil, zwiędła na grobie
[jak kwiat.
Któż dziś te prochy milczące, z letargu pustyń obudzi?
Któż nam objawi ich sen, co tyle wieków
[już trwał?
Ach! któż teraz odgadnie, jakich to szczątki są ludzi?
Gdy czas rozsypał na pył, ostatnią cząstkę
[ich ciał.
Co ziemskie, ziemią się stało, do niebios wzleciał
[duch lotny . . .
Tak zniknął wątek i ślad, bo zgasły wieści i
[pieśń . . .

Gdy dzieje patrzą i milczą, gdy milczy kurhan
[samotny,
Poeto! . . . twój to jest świat . . . wszak masz
[popioły i pleśń.

IV.

KWIATEK.

Ja.

Z kąd kwiatku w tak dzikiej zjawiłeś się stronie?
Tu ciebie sam oddech zabije lodowy;
Z kąd powiedz, z kąd wziąłeś, te farby, te wonie
Tak różne od braci stepowej?

Kwiatek.

Z dalekich wybrzeży, z cieplejszej krainy,
Porwała mnie burza i skrzydłem swem lotnem,
Przeniosłszy przez błonia, ogrody, doliny,
Rzuciła na stepie samotnym.

Mnie w domku rodzinnym kołysał koleją
To złoty motylek, to zefiru tchnienie;
A teraz sam jeden ja walczę z zawieją,
Przez puste szumiącą przestrzenie.

Tu, chwasty mnie głuszą, a trawy wysoko,
Gęstem się nademną spajają sklepieniem;
Ja trawy przebijam, by zwrócić me oko
Za słońca ostatnim promieniem.

Tu, stepów murawa jest moją pościelą,
Ranek mnie nie wita rosą, ale szronem,
A krople sperlone już wcześnie się bielą
Na czole, ku ziemi schylonem.

I czuję, — jak coraz gwiazdki moje bledną,
Schną listki, padają; wiatr rwie ich i pędzi . . .
O! jeśli tu zginę! . . . życzenie mam jedno,
Niech w twojej nie zwiędnę pamięci.

1837 r.

WCZORAJ I DZISIAJ.

(Improwizya.)

Wczoraj i dzisiaj — zda się przestrzeń nie daleka,
Tak jest, — lecz jak ważną jest w życiu człowieka.
Co wczora było wielkie, dziś małe, lub niema, —
Dziś karzeł z wczorajszego robi się olbrzyma.
Wczora, widziałem miasta co światu groziły,
Dziś cmentarz, na nim trawą porosłe mogiły;
Wczora, sterczał tu zamek, a dzisiaj już cegły
Rozbiły się w ruinę, i w strony rozbiegły.
Wczora, przyjaciół grono witało mnie pieśnią,
Dziś, ich serca i pamięć pokryły się pleśnią.
Wczora jeszcze jej serce dla mnie tylko biło,
Dziś się mojej kochance o lubym nie śniło.
Tak wszystko, dziwnem kołem na świecie się kręci
Co było, to już znika w morzu niepamięci;
Co nie było, to wstaje i w pełnej tchnie sile;
Jutro, czas znów zagrzebie w zapomnienia pyle,
Szczęśliwy — kto dziś owoc prac wczorajszych
[schował,
Kto kilka chwil ubiegłych, dzisiaj nie żałował.

1835 r.

DROBNE WIERSZE
PÓŹNIEJSZE.

GWIAZDA.

Z dalekich pustyń, w pielgrzyma odzieniu
Dążył podróżny, — błąkał się w ciemności.
Błysła mu gwiazda — w pierwszem uniesieniu,
Wziął ją za gwiazdę swej nieśmiertelności.

Świat mu się zaraz odmładnia i wdzięczy
Bo każdy promyk co nań z gwiazdy padał,
W myślach — kolory przyoblekał tęczy,
Na sercu — głoski ogniste układał.

Ale niepewność w myśl mu się zaplata,
Czy to nie ognik obłędny go drażni?
Czy to nie odblask piękniejszego świata,
Gościem po jego wionął wyobraźni?

I gdy w złudzenia leci kraj daleki,
Jeszcze nie zdołał marzeń w obraz wcielić,
Nie śmiał swych uczuć sam sobie udzielić,
Gdy piękna gwiazda, zgasła dlań na wieki.

Błądzi, — czarniejsze nakryły go chmury,
Pustynia w koło — nigdzie świateł niema;
On przecież wzrok swój podnosi do góry
I w całem niebie szuka jej oczyma.

Smoleńsk 1842 r.

Jest kraj, gdzie rośnie żyto i pszenica,
Kraj wzgórz i jezior, lasów i strumieni,
Wsie ma porządne, a pałac szlachcica
Nie raz na wzgórzu dumnie się czerwieni,
Bo w pospolitej ludu tego mowie,
Gromada cegły pałacem się zowie.
Kraj dość zamożny — tylko nie w pamiątki;
Ruin już niema, — ostatnie ich szczątki
Nie czas, lecz ludzie, by zyskać talary,
Zmienili — Boże odpuść — na browary.
Tak, szczęty dawnej przeszłości się starły,
Nawet wspomnienia zgłuchły i zamarły,
Nawet pieśń wiejskie kołysząca dzieci,
Ucha twojego z nikąd nie doleci.
A przecież obce ludy na tej ziemi
Niegdyś stąpały śladami krwawemi;
A przecież kilka uroczysk czy szańców,
Wyorywane z ziemi popielnice
Świadczą . . . .
Już o to wszystko nie pytaj mieszkańców,
Pług wszystko zrównał.

Gdzie spojrzysz, wszędy gospodarstwa nowe,
Owce, płodozmian, gorzelnie parowe.
Ów kraj jednakże nie jest bez zalety:
Młódz ma dorodną i piękne kobiety;
Ale . . . — tem „ale“ zakończę mój prolog,
Ja nie filozof żaden, ni teolog,
Gdzie brak jest serca, tam i myśl jałowa.
Ej! czytelniku, ciągniesz mnie za słowa,
Widzę ja dobrze jak tworzysz domysły
Że ów kraj leży gdzieś nad brzegiem Wisły;
Wierz, nie wierz, ale powiem ci otwarcie,
Że na pocztowej nie znajdziesz go karcie.

Miłość nasza! ach! gdzież do niej tony?...
Czuję, lutnia wypada mi z rąk;
To wir jakiś, namiętny, szalony,
W czarnoksiężki pochwycił nas krąg.

To ogniste wschodnich krain słońce,
W skwarnych zorzy wykąpane skrach;
To migotnych obrazów tysiące,
W gorączkowych wypieszczone snach.

To błękitne, pełne zjawisk morze,
Gdzie syreny z srebrnych wstają pian;
To blask łuny, gdy północne zorze
W grze iskrzących roztoczy się zmian.

Twe spojrzenie! — ach! rzut błyskawicy,
Gdy rozwidni mrocznych niebios tło;
Tak z za ogni twej ciemnej źrenicy,
Błyszczy miłość z całą krasą swą.

Pocałunek twój! — tu milkną tony,
Język bogów nie jest ludziom dan;
Wtenczas ziemia, niebo, gwiazd miliony,
Rwą się, pędzą w fantastyczny tan.

Minęła północ — sen strudzone oczy
Odbiega — myśli wciąż lecą ku tobie,
A serce taka ciężka tęskność tłoczy,
Że lżejszą by mi była ziemia w grobie.
Jakaż to dziwna, niepojęta siła,
Zgięła mą wolę i w proch ją rzuciła.

O! ty znasz jedna tajnik tej potęgi,
Co życie moje we śnie i na jawie
Opletła jakby wężowemi kręgi.
Cierpię — a przecież ja jej błogosławię,
Jako wyznawca wiary, gdy w zachwycie,
Z płomieni, w lepsze przenosi się życie.

POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur,
Z dolin i gór —
Zimowe, śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody
Wre życie.

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna;
Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki.
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak;
Miły to ptak —
Gdy na skrzydełkach zawieszon, śpiewa,
I cały urok rozkwitłej wiosny,
W swój śpiew miłosny —
Przelewa.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić . . .
Z uwiędłych marzeń znów się ocucić,
Kochać i nucić —
Jak z młodu!

DO WINCENTEGO POLA.

Bracie! — my z jednej niwy pracownicy,
Chociaż nie jedną szliśmy w zawód drogą;
Tyś ujął lutnię — i pielgrzymią nogą
Puścił się w obszar Lechickiej ziemicy;
Tyś trącił struny — i akordy czyste,
Echem od wszystkich polskich serc odbrzmiały;
Tyś trącił struny — i pierś nam owiały,
Łany pszeniczne i niebo ojczyste;
Tyś trącił struny — i z pod wieków pleśni,
Wystąpił orszak rycerskich postaci,
Których kraj cały ukochał jak braci. —
Bracie! — tyś perły złożył w skarbcu pieśni.

I jam się puścił, ale w kraj nieznany,
Między lud dziki, między huragany,
Gdzie jak świat stary, bój zacięty wiodą,
Człowiek — pył marny, z olbrzymią przyrodą.
Tam, mimowoli zgiąć musisz kolana,
A głos, co ci się wyrywa z płuc cieśni,
To już modlitwa do Zastępów Pana.
Jam, — grosz ten wdowi złożył w skarbcu pieśni.

Czyż nam o marne chodziło oklaski?
Względy krytyki — lub chwilowe blaski,
Któremi wieńczy ulubieńców — moda?
Nie, — dla śpiewaka to żadna nagroda.
Niech jedna ręka serdecznie cię ściśnie,
Niech jedno serce silniej ci uderzy,
I łza zapału w tęsknem oku błyśnie,
I młoda dusza, co w lepszy świat wierzy
Niech tylko jedną chwilę słodko prześni;
To jest najwyższa nagroda dla pieśni.

Warszawa, dnia 22 Czerwca 1858 r.

DO TEOFILA LENARTOWICZA.

Po latach tylu, po burzach tylu
Znów cię spotkałem mój Teofilu,
I mogłem dawnym bratnim zwyczajem
Dłoń twą serdeczną uścisnąć wzajem.
Śpiewaku sielski! między obcemi
Pod pięknem niebem, tęsknisz za swemi;
Chyba tem troskę swą uweselasz,
Że w bronz i w marmur myśl polską wcielasz,
Albo dobywasz czarowne dźwięki,
Ze złoto-strunnej swojej lirenki.
Śpiewaku serca! ty w rzewnej nucie,
Streściłeś całej Polski uczucie:
Jej wzniosłe cnoty, obyczaj stary,
Owiane czystym promieniem wiary;
Jej miłość, co jak gwiazda jaśnieje
W cieniach żywota. — Och! — i nadzieje,
Że duch niezgaśnie, tylko proch zrzuci,
Że tak się Polska z martwych ocuci.
Tyś lud ukochał, — pod wiejskie strzechy,
Z modlitwą, niosłeś słowo pociechy;

To co weseli i to co boli,
Ty mu śpiewałeś w jego niedoli.
A pragnąc natchnąć myślą ofiarną,
Rzucałeś uczuć wznioślejszych ziarno;
Zasiew niezginie, — później czy wcześniej,
Lud rozmiłuje się w twojej pieśni;
Na ścieżaj dla niej chaty otworzy,
Ze czcią ją przyjmie — bo w niej Duch Boży.
A gdy plon zbierze, jak skrzętny żeniec,
Z kwiatów swej niwy uwije wieniec,
Który na twojem dostojnem czole,
W promienną zmieni się — aureolę!

Florencya 1883 r

DO LIPY.

Lipo ty moja! nieraz w twoim chłodzie,
Samotnych marzeń przeszły mi godziny;
Powiedz, kto ciebie sadził w tym ogrodzie? . . .
Czy skrzętna ręka przodków mej rodziny?
Czy powiew wiatru od Czarnego lasu
Przyniósł cię ziarnkiem i rzucił do ziemi?
A rosa niebios i długi prąd czasu
Podniósł i okrył gałęźmi bujnemi?
Liści twych gęstwą jak kopułą wielką
Słonisz od spieku zieloność trawników;
Lipo! rozkoszna siedzibo słowików,
I pszczół wyroju wonna karmicielko!
Jak ty odległe pomnić musisz dzieje,
Ilu pokoleń troski i nadzieje? . . .
Ile burz nad twem czołem przeszumiało,
Ile serc pod twem cieniem przebolało?
Pień twój szczerniony, pleśnią lat okryty,
Od gromów, wichrów dotąd niepożyty
Dumnie konary wznosi pod błękity;
A jak koroną, z każdym wiosny przyjściem,
Coraz bujniejszym odziewa je liściem.

WISIENKI.

Gdy wiosna skrzydlata,
Z kwiatami ulata
I ptasząt unosi piosenki;
W twych sadów zieleni
Od letnich promieni
Barwami się stroją wisienki.

Te, w grona bursztynów,
Granatów, rubinów,
Te, błyszczą koralem śród drzewa;
A słońce, maluje,
Wciąż syci, cukruje,
Do każdej nektaru dolewa.

Oj! słodkie wisienki
Podane z twej ręki,
Gdy w ustach ich sok się roztoczy;
Tak miło, dziękować,
Po każdej, całować,
Twe rączki, twój uśmiech, twe oczy.

Oj! słodkie wisienki!
Lecz milszy dar ręki
Co czuciem serdecznem natchniona,
Łzę z oka osuszy,
Raj wniesie do duszy,
I do ust przychyli te grona.

Czerwiec 1879 r.

SCHYN-PAS I VIA-MALA,

w Szwajcaryi. [1])

1.

Od stóp Bernin, z Sylwaplany,
Drogą znaną przez Rzymiany,
Spuszczamy się z Engadinu,
W głębokie wąwozy Schynu,
Dzikie, ciemne — gdzie nad głową,
Skała piętrzy się pionowo,
A tuż za nią, grzbiet się jeży
Skał olbrzymich, gdzie śnieg leży.
Spojrzysz na dół — oko ginie
W tych przepaściach, — gdzie w głębinie,
Huczy rzeka, której fala,
Wstrząsa głazy i przewala.
Od przepaści w górę kroczy,
Z ciemną krasą swych warkoczy,

---

[1]) Schyn-Pas i Via-mala są dwa głębokie Alpejskie wąwozy, któremi: pierwszym Albuba, drugim Ren się przedziera i łączą się około miasteczka Tasio. Schynpas przez Tiefenkasten prowadzi do doliny Engadinu — Via-mala przez Splugen do Italii.

Zwartych jodeł las posępny,
Na brzeg stromy, niedostępny.
A z najwyższych górnych szczytów,
Niby szarfa śród granitów,
Pędzi strumień, jak kaskada
Skacze w otchłań — i przepada.
Droga jak wąż — to się wije
Po krawędziach, — to się kryje
Pod tunele, pod skał złamki,
Zawieszone jakby zamki,
Nad przepaścią, — to przez łuki
Jakby kunsztem diablej sztuki
Przerzucone z skał na skały.
Widok straszny i wspaniały!

2.

Gdzie Albula bieg swój kończy,
I swe wody z Renem łączy,
Ciemna śród skał rozpadlina,
Via-mala się zaczyna.
Mierzysz okiem pełnem grozy,
Te przepaście, te wąwozy,
Te jaskinie, gdzie świat cały
Dziki, skrzepły, skamieniały.
Wchodzisz w tę cieśń — dwie opoki,
Wązko, mkną aż pod obłoki;
Tam, nie zajrzy promień słońca,
Tam, wre potok i roztrąca
Zapienione, grzmiące wały,
O sterczące na dnie skały.

W górze — ledwie tyle nieba,
Ile duszy westchnąć trzeba.
Tu, wędrownej sfolguj nodze,
Bo po krętej ciasnej drodze
Piąć się musisz na skał ścianę,
To przez mosty zbudowane
Na przepaściach — to przez groty,
Cyklopejskich rąk roboty,
To pod ciężkie opok złamy,
Co się łączą jakby bramy
Nad twą głową. Radbym okiem
Z milszym spotkać się widokiem;
Próżno! — w tej skał rozpadlinie —
Przepaść, łomy i jaskinie.

3.

Gdy cię strach nie cofnie z drogi
Jeźliś pewny swojej nogi
Nad przepaścią — że nie zboczy,
Gdy cię zawrót nie zamroczy,
Nie przerazi wązka ścieżka;
Jeśli burza, co tam mieszka
Hukiem gromów cię nie zgłuszy,
Skał nad głową twą nie skruszy; —
Potok, w nagle wzdęte tonie
Nie pochwyci — nie pochłonie,
A lawina, jeśli ciebie
Żywcem w śniegi nie zagrzebie:
To zwalczywszy te przeszkody,
Sto przepaści, wieczne lody,

Ujrzysz w końcu, po za niemi
Najpiękniejszy kraj na ziemi.

4.

Tak przez życie kroczyć trzeba
Na szczyt sławy i do nieba,
Z wytrwałością i bez trwogi
Przepaściste przebyć drogi.
Gdy namiętność w głąb' nie strąci,
Obłęd — duszy nie zamąci,
Gdy się rozum nie zachwieje, —
Wiarę, miłość i nadzieję,
Wziąwszy w pomoc — dojdziesz śmiały,
Przez przepaście, strome skały
Przez lodowce, huragany,
Do tych wyżyn — gdzie wybrany,
Z każdą łamiąc się przeszkodą,
Laur lub palmę, ma nagrodą.

1876 r.

KUM ANTONI.

(Niedokończone).

Kum Antoni, człek już stary
Ale jeszcze krzepki, jary;
Bóg go, zdrowiem, szczęściem darzył.
Z ojca, z dziada gospodarzył,
W wiosce, która była pańska,
Choć osada to włościańska.

Kum Antoni, w młode lata,
Obszedł, zwiedził kawał świata.
Za parobka służył w dworze;
Lecz to było w owej porze,
Kiedy pierwsze tu Francuzy
Z szołdrą Niemcem poszły w tuzy.

Oj! zakurzyłoż się wtedy! . . .
A co strachu, a co biedy;
Antek, chłop już jak należy,
To go wzięli do żołnierzy,
Łeb ostrzygli, mundur wdziali
I za oczy w świat pognali.

A rodzice w chacie płaczą,
Że już Antka nie zobaczą;
Widać taka wola Boża,
Aby poszedł, het za morza,
Nie obaczył się ze swemi,
Głowę złożył w cudzej ziemi.

Już na ósme poszło lato,
Przed starego Kuby chatą
Stanął żołnierz — chłop jak świeca,
Wąsy czarne, śniade lica,
Znać od słońca ogorzałe,
Bo nad brwiami czoło białe.
Miał tłomoczek, na nim buty,
Kij sękaty i okuty;
Mundur na nim choć wytarty
Ale czysty, nie podarty,
A na piersiach krzyż ze wstążką,
Co to modra z czarną prążką. —
Wszedł do sieni — chwilę stoi
Drzwi otworzył — wejść się boi.
„Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus“ — rzekł nieśmiało,
I w drzwi niskie wszedł schylony,
A „na wieki wieków Amen“,
Parę głosów się ozwało.
Na przypiecku siedzą starzy,
Na żołnierza poglądają,
Takiej mowy, takiej twarzy
Pono w życiu kogoś znają.

„To mój Antek, syn mój drogi!“
Krzyknie stara i poskoczy,
A nim Kuba przetarł oczy
Antek ojcu padł do nogi.
Co radości, płaczu, łkania
I ściskania, całowania; —
Starzy Bogu dziękowali
Że się syna doczekali.

Od sąsiada do sąsiada,
Szybko przez wieś szła nowina,
Że odzyskał Kuba, syna.
Przyciągnęła wnet gromada,
Pełno w izbie i komorze,
Pełno w sieni i na dworze,
Każdy radby Antka witać,
I uściskać i popytać.

„Słuchaj Antku! — rzekł raz Kuba, —
Bogu dzięki, że się zguba
Nam znalazła — lecz my starzy,
Gospodarka się nie darzy,
Praca ciężka — a krzyż boli,
Człowiek próżnie się mozoli,
Nie zarobi tyle chleba
Ile dwojgu starym trzeba.
A tu jeszcze trzeba z chatki
Dać czynsz panu, dać podatki.
Tyś zdrów — teraz myśl o chlebie,
Pracuj na nas i na siebie.

Jam już z matką się naradził,
Bym cię w miejsce swe osadził;
Zdam ci chatę, rolę, zboże,
Zdam chudobę i załogi,
Wszystko zdam ci — szczęść ci Boże! . . .
Potem pójdziem upaść w nogi
Swemu panu — pan przystanie,
Boć nie traci na tej zmianie;
Gdy z kontraktem do dom wrócisz,
Toć nas z chaty nie wyrzucisz,
Bym się mieli poniewierać
Chleb proszony w torby zbierać;
My przy tobie złożym głowę,
Przyprowadzisz nam synowę,
Dobrą, rządną gospodynię;
A my starzy — przy kominie,
Gdy do pracy sił nie będzie:
Ja wam mogę skubać pierze,
Matka — z kilka sztuk uprzędzie.
Będziem mówić i pacierze,
A gdy Bóg nas zechce chować,
Będziem dziatki wam piastować.“

Antek sobie w głowie waży
Że coś nie źle mówią starzy;
Boć jest boskie przykazanie,
O rodzicach mieć staranie,
Gdy w starości lub chorobie,
Już nie mogą radzić sobie.
Antek dobrze to pamięta. —

Więc zdjął mundur, złożył, schował,
By go przywdziać mógł od święta;
Krzyż, nim odpiął, pocałował,
Bo to krzyż wojskowy polski, —
Chcąc nań spojrzeć w każdym razie,
Zawiesił go na obrazie
Matki Boskiej Częstochowskiej.
Wdział sukmanę — i z ochotą
W polu zajął się robotą.
Tak się wziął do gospodarki,
Boć nie święci lepią garnki,
Że aż patrzeć było miło:
Tylko w ręku się paliło!

* *
*

U sąsiada, u Zygmana,
Była dziewka urodziwa,
Pracowita i poczciwa,
Chrzesne imie jej — Uliana.
Jej rodzice — daj im Panie
Wieczny pokój, — krótko żyli,
I pomarli w biednym stanie,
Ją sierotkę zostawili.
Zygman, z ciotką jej żonaty,
Wziął dziewuchę do swej chaty,
Gdzie wyrosła taka hoża,
Jak na miedzy polna róża.
Mało tego — lecz w dodatek
Do urody łączy statek,
I pobożna i cierpliwa,

I do pracy nie leniwa.
Ciotką bo jej, Zygmanowa
Nie tak stara, lecz niezdrowa,
Rzadko z łóżka się podniesie,
Ciężkiej pracy ani tknie się;
Toćby Zygman przepadł przy niej
Gdyby nie miał gospodyni,
Takiej dobrej, jak Uliana.
Ona pierwsza wstanie z rana,
Idzie do krów i wydoi,
Da im paszy i napoi;
Czysto izbę, sień umiecie,
I nie przed próg rzuci śmiecie,
Ale niesie do obórki.
Potem w fartuch zbierze wiórki,
Na kominie ogień nieci,
I śniadanie przysposobi
Dla Zygmanów i ich dzieci; —
A co zrobi — dobrze zrobi.
Dzieci zbudzi i ubierze,
I pościele i opierze;
I rąk na krzyż nie założy,
Ani za piec się położy,
Lecz się w izbie ciągle krząta,
Czyści statki lub uprząta,
Bez przeklinań i hałasu,
I na wszystko znajdzie czasu.
Nawet w polu i w ogrodzie,
Nic jej w pracy na przeszkodzie,
A gdy jaka chwilka zbędzie,

To na płótno len swój przędzie.
Bo jej Zygman dał przysiewek
Aby miała przyodziewek.

To też zobacz ją w niedzielę,
Kiedy na mszy jest w kościele,
Jak starannie przyodziana,
Jak umyta, uczesana,
Kiedy wstążki albo kwiecie,
Między ciemny włos zaplecie;
A koszula jak śnieg biała
Uwydatnia kształt jej ciała.
Z wierzchu stanik modry wcięty
Leży gładko jak opięty;
A od bioder, z pod stanika
To spódnica się wymyka
W ciemne prążki i fałdzista;
I pończoszka zawsze czysta, —
Nawet trzewik choć skórzany,
Na jej nodze jak ulany.
Lecz nad ubiór — świeższe lice,
Jak dwie ciarki — jej źrenice,
Jak krew z mlekiem, jej jagody
I dołeczek pośród brody.
Słowem — żadna jej niezrówna,
Bo i gładka i szykowna.

Oj! z wsi całej, ba! i z obcej,
I dworacy i parobcy
To jej z oka nie spuszczają,

Jak na obraz, poglądają.
I nie jeden jużby swaty,
Do Zygmana posłał chaty;
Ale Zygman coś wydziwia —
Niby się on niesprzeciwia,
Ale jak wciąż gadać zacznie
Okolicznie i opacznie,
A ten taki, ten ów taki,
To próżniaki, to pijaki,
To tak w głowie zmąci dziewce,
Że o żadnym słuchać nie chce.
. . . .

TRZY USTĘPY
Z NIEDOKOŃCZONEGO RAPSODU:
„BITWA POD GRUNWALDEM“

W krzyżackiej ziemi, na rozległem polu
Stał król Jagiełło, a za nim w półkolu
Przedniejsi wodze, — a jak okiem sięga
Słowiańskich plemion zebrana potęga.
Widać tam, pełne rycerskiej ochoty
Jezdne, piechotne w szyk sprawione roty;
Nad nimi włóczni gęsty las wzniesiony
Śród rozwiniętych chorągwi i znaków;
Rzekłbyś — łan zboża kłosem najeżony
Zakwitł w bukiety różnobarwnych maków.

Król stał na wzgórzu, zbroja na nim lśniąca,
Cały w promieniach wschodzącego słońca,
Chwycił chorągiew, upadł na kolana,
I miał modlitwę do Zastępów Pana:

«Boże! ty serca mego znasz pokorę,
«Bo tajnie myśli, wszystkich ludzi znasz;
«Ja ciebie dzisiaj na świadectwo biorę,
«A ty świadectwo tylko prawdzie dasz,

«Że do tej wojny nie dałem powodu,
«Anim się do niej tak skwapliwie wziął;
«Lecz wróg, przez krzywdy mojego narodu
«Gwałtem mnie zmusił bym za oręż jął.

«On — lud niewinny pobił, pomordował,
«Lud, który Panie zdałeś pod mą piecz;
«Świątynie Twoje złupił i popsował,
«Włości me zniszczył przez ogień i miecz.

«I ja krzywd tyle, zlanych krwią i łzami
«Mamże przypuścić? . . . Boże, Ojcze nasz,
«Racz sam rozeznać dziś pomiędzy nami
«I kto ma lepszą sprawiedliwość — wskaż.

«Ufny w mą słuszność, o Panie! . . . podnoszę
«Na wrogów moich, sztandar, w imię Twe;
«Was, wszyscy Święci, przyczyńcie się proszę,
«A ciebie Boże błagam — wesprzyj mnie.»

Amen! wyrzekli wodzowie ze łzami
Amen! — z ust do ust pomiędzy hufcami
Jak błysk przeleciał — aż z wszystkich ust
[dzwięczny
«Gromem się rozległ — Amen stutysięczny.

(inny ustęp.)

Jak kiedy stado wędrowne, łabędzie
Z krzykiem, pobrzeża jeziora obsiędzie,
Tak, po nad Drwęcą, na błoniu kwitnącem,
Zbrojnemi w koło otoczone wozy,

Mnogie, krzyżackie stanęły obozy,
I zabielały namiotów tysiącem.
Cała dolina, wzgórza i parowy
Zawrzały życiem, chrzęstem zbrój i broni,
Gwar tylu mężów, rżenie tylu koni,
Ćma ludu, różnych zwyczajów i mowy,
Różnych ziem, krajów, zatknięte znamiona,
Jedna myśl, która zbrojne tłumy zbliża,
Myśl — aby wszystkie zachodu plemiona
Pod czarne godło skupiły się krzyża,
I wyruszyły, w święte Imie Pańskie
Łupić, pustoszyć, dzielnice słowiańskie.

Dzień długi, znojny zbliżał się do końca;
Ognista tarcza lipcowego słońca
Kryła się w górach, ostatnim promieniem
Złocąc po blankach, Kurzętnika mury,
Co się olbrzymiem w dół spuszczając cieniem,
Czerniały, na tle zachodniej purpury.
W obozach — na raz scichły głośne gwary,
Pacierz, z ust spędził światowe piosenki,
Bo nad doliną przeciągały dźwięki
Wieczornych dzwonów, nowomiejskiej fary,
Która, pod ścianę doliny wsunięta,
Z grodem strzeżonym murem i basztami,
Stała jak macierz, pod której skrzydłami,
Tulą się drobne, gromadką pisklęta.

Niebo wciąż gasnąc, gęstsze ćmy spuściło,
Kilka gwiazd rańszych, blado się zatliło,

Kiedy po wzgórzach, parowach, na łące,
W obozie ognisk zapełgło tysiące;
Jak gdyby ziemia w tej walce z cieniami
Zdjętemi z niebios błysnęła gwiazdami.
I blask dolinę oświecił, jaskrawy;
Stropy niebieskie, potok łuny krwawej
Oblał szeroko, — a z za tej zasłony
Przebijał księżyc posępno-czerwony.
Tam zaś przy blasku łuny i księżyca,
Z gęstwy, po górach piętrzących się lasów
Podobna widmu upłynionych czasów,
Wyjrzała — groźna Bratjanu wieżyca.

Na wzgórzu, z drogich szkarłatów uszyty,
Z zatkniętą w górze chorągwią, co biała
Dumnie, ze znakiem krzyża powiewała,
Mistrza zakonu, stał namiot rozbity.
Rzęsiste światła gorzały w namiocie,
Na stołach, suto jadłem zastawionych,
Śród blasku bogactw z tylu ziem złupionych;
Cudne naczynia, w misternej robocie
Ze złota, srebra — łupy Sławian ziemi;
Czary, sadzone kamieńmi drogiemi;
Złotem przetknięte kosztowne opony;
Cały rycerski przybór rozwieszony
Na ścianach — tarcze, szyszaki i zbroje;
Które z pracowni wyszły mediolańskiej,
Co jak robaczki w nocy Święto-Jańskiej
Z każdego zgięcia siały iskier zdroje.
Wszystko co przepych wymyślił, co zbytek

Zgromadzić zdołał, razem się tam mieści,
Tak, że nie namiot był to, lecz przybytek
Zaczarowany arabskich powieści.
Bo Mistrz dnia tego zaprosił pospołu
Do zaszczytnego, który trzymał stołu,
Komturów, wszystkich zamków bez różnicy,
Książąt Szczecinu i na Oleśnicy;
Zacnych pielgrzymów, którzy z obcej ziemi
W pomoc przybiegli; a pomiędzy niemi
Posłów cesarskich, co właśnie w tej chwili
Z obozu króla polskiego przybyli.

Już mnogie w koło krążyły puchary,
Kiedy Mistrz powstał, — wziął jeden do ręki
I spełnił zdrowie: za obrońców wiary!
Powstali wszyscy i w miejsce podzięki
Dobyli mieczów, na znak że gotowi
Mścić krzywd zakonu, — i przysięgli razem
Wojnę na zabój polskiemu królowi,
Niszcząc kraj jego ogniem i żelazem;
I okrzyknęli śród zgiełków i wrzawy
Wielkiego mistrza na wodza wyprawy.

„Ha! mistrz zawołał — więc będziem mieć wojnę.
Czas aby zakon z poniżenia dźwignąć,
Czas, spór odwieczny z Polaki rozstrzygnąć,
Czyli to plemie, dumne, niespokojne
Ma nam żelaznej udzielać opieki;
Czy też . . . co pewniej będzie, że krzyż święty
Orężem przez nas w tych ziemiach zatknięty

Ma nieskalany pozostać na wieki.
Cóż nam dobrego, zacni posłańnicy,
Z obozu króla niesiecie? . . . z milczenia
Wnoszę . . . że nowe dla nas poniżenia!
Lecz wiedzcie, mieczem zdobytej granicy
Zakon nie cofnie . . . raczej wszystko straci
W gruzach się zamków zagrzebie — w pustynię
Kraj kwitnący zamieni — i pierw zginie
Nim, choć najlichszy z zakonnej mej braci
Przyjmie hańbiący pokoju warunek! . . .“

„Mistrzu! — rzekł Gara Węgrzyn — „znasz cesarza
Mojego pana — wiesz ile poważa
Wasz zakon, i jak wysoki szacunek
Dla twych Ulrychu wielkich ma przymiotów.
On, co jest całych Niemiec naczelnikiem
Jak ojciec — duszą i sercem niemieckiem
Czuwa, nad każdem Germanii dzieckiem;
On, waszych sporów chce być pośrednikiem;
Lecz prędzej Polskę wojną zniszczyć gotów,
Niż ścierpi, aby w toczącej się sprawie
Zakon, uszczerbek miał w ziemiach lub sławie.
Nam zlecił, spełnić to wielkie zadanie.
Ty wiesz Ulrychu, — ile do tej chwili
Myśmy i czasu i trudów użyli
By wrócić zgodę, — kiedy niespodzianie
Snać, za przyczyną Najświętszej Dziewicy
Znajdujem w królu zmianę uczuć dziwną,
Że mistrzu! zamiast zbrojnej rękawicy,
My ci gałązkę przynosim oliwną.“

Po mowie posła nastało milczenie,
Zerwał się Ulrych i groźne spojrzenie
Rzucił na całe koło biesiadnicze,
Jakby chciał każde wybadać oblicze;
Snać, że dopatrzył myśl przychylną wojnie,
Bo wybuch słowa, zamknął w swojem łonie,
A choć wzrok jego dzikim blaskiem płonie,
Ustom dał słodycz — i mówił spokojnie:

„Jakież warunki król polski nam kładzie?
Może szlachetnym gościom przy biesiadzie,
Zamiast rokowań pokojowej treści,
Byłyby milsze rycerskie powieści.
Ale w tak ważnej dla zakonu chwili
Wybaczą — że ich wezwiem do narady,
By nam bezstronne zdanie otworzyli:
Czy mamy przyjąć, czy zerwać układy.
Słuchamy posła.“ . . .

. . . .

(inny ustęp.)

Przy Kurzętniku, jak zasięgnie oko
Obóz królewski rozsiadł się szeroko.
Wieczór. — W powietrzu zabrzmiał „Anioł Pański“;
I naraz zcichła wrzawa obozowa,
Umilkły pieśni, urwała się mowa;
To czas modlitwy, — a więc lud chrześciański,
Padł na kolana i pochylił głowy
Przed majestatem Anielskiej Królowej,

Błagając o Jej najświętszą przyczynę
Do Boga — teraz i w śmierci godzinę.

W tej właśnie chwili krótkiego milczenia,
Z namiotu króla, uroczyste pienia
Słyszeć się dały; — tam licznie zebrani
Na nabożeństwo zeszli się kapłani.
Król, nim się z błędów oczyścił pogaństwa,
Nim zgasił Znicza ogień poświęcony,
W ważnych zdarzeniach — gdy granice państwa
Wróg naszedł, albo w kraj puścił zagony,
W Wilnie na zamku — jak obyczaj stary,
Złożywszy krwawe swym bogom ofiary,
Śmiało z swym ludem uderzał na wrogi,
Ufny, że Litwy opiekuńcze bogi
Z nim się uzbroją i do walki staną.
Lecz gdy przed prawdą korne zgiął kolano
I uczcił chrześcian prawdziwego Boga,
Co niewidzialny, widzi i przenika
Do najskrytszego serc ludzkich tajnika, —
To króla święta ogarnęła trwoga:
Czy w strasznej walce, którą zwieść zamierza
Chrystusowego jest wzorem rycerza;
Czy duszę jego, — co w kale pogańskim
Grzęzła lat tyle — czy w obliczu Pańskiem
O tyle wzniosła, odrodziła skrucha,
Że Bóg jej prośby przyjmie i wysłucha; —
Czy grzechy krolów, którzy światem władną
Z ich winy na lud niewinny nie spadną.
Król leżąc krzyżem, mówił: „Panie! Panie!

Jeśli za winy chcesz karę wymierzyć,
To strzałą gniewu we mnie chciej uderzyć,
A nad mym ludem pokaż zmiłowanie".
A chór kapłanów, który klęczał kołem,
Z myślą ku niebu wzniesioną — a czołem
W ziemię schylonem — powtarzał ze łzami:
„Panie nad Pany, zmiłuj się nad nami!" —

MODLITWA DLA POLAKÓW.

Ty co na krzyżu w cierniowej koronie,
Za ludzkość dałeś Ojcu z krwi ofiarę,
Do Ciebie wznosim dziś błagalne dłonie,
Kielich goryczy, łez, krwi przebrał miarę.

My wciąż gnieceni, ale stali w wierze,
Nie trwożym serca przed morderstw widokiem,
W miłości bratniej zakuci pancerze,
Ufni, jak dzieci pod ojcowskiem okiem.

My krzyż Twój Panie! dźwigamy w pokoju,
Bez jęku, skargi, nawet bez zwątpienia,
Ty z czoła otrzyj nam krwawy pot znoju,
Dodaj otuchy w razie sił zwątlenia,

Przyjmij o Panie! przyjmij krew niewinną,
Którą wytoczył wróg z piersi narodu;
Usłysz o Panie! usłysz pieśń dziecinną,
Co brzmi żałobnie wśród Zygmuntów grodu.

I nie wódz nas, nie wódz na pokuszenie,
Świeć nam Twej łaski promyki boskiemi,
I męczennikom wieczne daj zbawienie,
A bratnią miłość obudź w Polskiej ziemi.

1861 r.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

DROBNE WIERSZE PÓŹNIEJSZE.

OMYŁKI W DRUKU.

Strona	wiersz	zamiast	ma być:
6	22 od góry	r. 1749	r. 1794
11	23 od góry	odczytaniem	oczytaniem
17	21 od góry	nie	się
35	20 od góry	bezgraczy	bazgraczy
40	16 od góry	dawnej	dawniej
47	13 od góry	Dziewickiego	Drzewickiego
95	11 od góry	Ostaiki	Ostiaki
148	10 od góry	Ludwika	Ludmiła
191	17 od góry	duchem	z duchem
193	16 od góry	„Kizgiza“	„Kirgiza“
202	10 od góry	bo	co
—	24 od góry	głosił	nosił
229	3 od dołu	niewruszy	niewzruszy
232	13 od góry	twoja	twoją
238	8 od góry	się uśmiecha	uśmiecha
—	10 od góry	westnienia	westchnienia
245	1 od góry	wrażeń	marzeń
250	3 od góry	wkraczasz	skracasz
251	3 od dołu	rzadko	rzadka
297	5 od góry	zaciszu	zacieniu
328	1 od dołu	1883 r.	1878 r.

BERLINER BUCHBINDEREI WÜBBEN & Co. G. M. B. H. BERLIN, S.W.